

Glyn Elinor

Ewelina

(W miłosnej rozterce)



Ewelina od najmłodszych lat wie, że odziedziczy majątek po swojej opiekunce. Lecz gdy ta umiera okazuje się, że spadkobiercą zostaje ktoś inny. Najlepszym wyjściem z tej sytuacji jest małżeństwo. Kandydatów do jej ręki nie brakuje. Jednak Ewelina, widząc w swym otoczeniu mężów tyranów i mężów pantoflarzów, nie spieszy się do ślubu. Dwudziestoletnia panna bez rodziny i posagu - obdarzona za to przez los ładną buzią, zgrabną figurką i istic ognistym charakterem - postanawia zostać... awanturnicą. Oczywiście, gdy pojawia się ten jedyny, z którym skłonna jest dzielić życie, zmienia zdanie i energicznie walczy o swoje szczęście.

BRAUCHES PARK

3 listopada 1904 r.

Jestem ciekawa, czy to zabawne być awanturnicą, bo prawdopodobnie będę musiała zostać kimś w tym rodzaju. Dużo czytałam o tym w książkach; trzeba być koniecznie urodziwą, nie mieć z czego żyć i lubić się bawić — a ja właśnie lubię. Nie mam też z czego żyć, bo nie można liczyć tych trzystu funtów rocznie, i jestem bardzo ładna, i wiem o tym doskonale, i umiem czesać się twarzowo, wkładać dobrze kapelusz i umiem wszystkie rzeczy tego rodzaju, więc oczywiście będę awanturnicą! Właściwie to ta jola nie była mi przeznaczona z góry, bo pani Carruthers zaadoptowała mnie, żeby zapisać mi majątek, ponieważ w owym czasie pokłóciła się właśnie ze swoim spadkobiercą. Ale że później okazała się zupełnie niekonsekwentna i nie zapisała mi nic, więc tamten człowiek dostanie wszystko!

Mam dwadzieścia lat i aż do przedostatniego tygodnia, kiedy pani Carruthers zachorowała i umarła w ciągu jednego dnia, żyłam bez trosk, a chwilami nawet dosyć przyjemnie, w rzadkich chwilach kiedy bywała w dobrym humorze.

Nie ma zwyczaju, nawet jeżeli ktoś umrze, pisać szczerze, co się o nim myśli. Muszę przyznać, że przeważnie nienawidziłam pani Carruthers. Należała do tego rodzaju osób, którym nie sposób dogodzić. Nie miała żadnego poczucia sprawiedliwości, nie dbała o nic poza własną wygodą, a ludzi oceniała według tego, na ile mogli się jej na coś przydać albo sprawić jej jakąś przyjemność. Jeżeli zdecydowała się coś dla mnie zrobić, to dlatego że kiedyś kochała się w moim tacie, a kiedy

tato ożenił się z moją mamą — osobą bez nazwiska—i wkrótce potem umarł, ofiarowała się wziąć mnie do siebie, żeby upokorzyć mamę, jak często mi to powtarzała. Ponieważ miałam dopiero cztery lata, nie miałam nic do powiedzenia w tej sprawie; jeżeli mama zgodziła się mnie oddać, to była jej rzecz. Ojciec mamy był lordem, a jej matka nie wiadomo kim i zapomnieli pobrać się ze sobą, a więc takim sposobem biedna mama nie miała żadnych krewnych. Po śmierci taty wyszła za mąż za oficera stacjonującego z pułkiem w Indiach, pojechała tam z nim i także umarła, a ja nigdy już jej więcej nie widziałam — toteż nie ma, tak, nie ma ani jednej duszy na całym świecie, która troszczyłaby się o mnie albo ja o nią i nic nie mogę poradzić, muszę zostać awanturnicą i myśleć sama o sobie, bo cóż mam robić?

Pani Carruthers co pewien czas kłóciła się ze wszystkimi sąsiadami, toteż bywały tylko grzecznościowe wizyty w krótkich okresach przyjaźni; poza tym nie widywałam prawie nikogo. Czasem przyjeżdżały do nas stare, bardzo światowe panie, aleja nie lubiłam żadnej z nich, a młodych przyjaciółek też nie miałam. Nieraz o szarej godzinie, kiedy siedzę sama, myślę sobie, jak by to było, gdybym miała przyjaciółki; ale chyba jestem takim kotem, który chodzi własnymi drogami i nie umie zaprzyjaźnić się z nikim — może nawet tak jest najlepiej, tylko dobrze byłoby mieć kogoś, kogo można by kochać; to byłoby rozkosznie!

Pani Carruthers nie uznawała takich uczuć: „Nonsens” powiedziałyby zaraz albo „sentymentalna głupota”. Zawsze mnie uczyła, że powinnam sobie wyszukać przyzwoitego męża, a w ostatnich latach postanowiła sobie, że mam wyjść za jej znenawidzonego spadkobiercę, Krzysztofa Carruthersa, ponieważ on odziedziczy po niej dobra, a ja pieniądze. Jest on dyplomata i mieszka kolejno w Paryżu, w Rosji i w innych równie interesujących miejscach, więc bardzo rzadko przyjeżdża do Anglii. Nigdy go nie widziałam. Jest już zupełnie stary, ma więcej niż trzydzieści lat i nawet podobno ma szpakowate włosy. Teraz on jest tutaj panem, a ja muszę wyjechać, chyba że jutro po południu zaproponuje mi małżeństwo, czego prawdopodobnie nie zechce zrobić! W każdym razie nic w tym nie będzie złego, jeżeli postaram się jutro wyglądać tak ładnie, jak tylko to możliwe w obecnych okolicz-

nościach, to jest w żałobie i w zmartwieniu moimi sprawami. Ponieważ mam i tak zostać awanturnicą, więc muszę się nauczyć postępować jak najkorzystniej dla siebie.

Piękne uczucia są dla ludzi, którzy mają tyle pieniędzy, że mogą żyć, jak im się podoba. Gdybym miała dziesięć tysięcy rocznie albo chociażby pięć, pokazałabym figę wszystkim mężczyznom i powiedziałabym im: „Nie, moi panowie, ułożę sobie teraz życie, jak mi się będzie podobało, zajmę się nauką, literaturą, sztuką, będę pielęgnować idee honoru i egzaltowanych uczuć, a może wreszcie kiedyś ulegnę szlachetnej i wzniosłej miłości”. Ale w mojej sytuacji, jeżeli pan Carruthers ofiaruje mi siebie na męża, tak jak mu to przykazywała ciotka, ja naturalnie odpowiem mu: tak — i zostanę tutaj, i będę przynajmniej miała wygodny dom. Zanim ta rozmowa się odbędzie, nie warto nawet porządnie się pakować.

Jakie to szczęście, że mi do twarzy w czarnym kolorze! Mam taką białą, aż śmiesznie białą, skórę; przypnę też sobie pęk fiołków do sukni (mam nadzieję, że nie będzie to wyglądało na brak serca). Ale jeżeli on zapyta, czy smutno mi po śmierci pani Carruthers, to nie będę mogła skłamać. Naturalnie zresztą jest mi smutno, bo śmierć jest zawsze okropna, a umierać w ten sposób, ganiąc wszystkich i mówiąc wszystkim naokoło przykre rzeczy, to musi być straszne — ale ja nie mogę jej żałować. Nie było dnia od mojego wczesnego dzieciństwa, żeby mi nie dokuczyła, i to nie tylko językiem, ale lubiła mnie też szczypać, kiedy byłam mała, i ciągnąć za uszy, dopóki doktor Garrison nie powiedział, że mogę od tego ogłuchnąć; wtedy przestała, bo twierdziła, że głusi ludzie są bardzo nudni i nieznośni i ona nie może z nimi wytrzymać. y Wolę nie zagłębiać się w przeszłość. Jest cała masa rzeczy, których wspomnienie jeszcze teraz doprowadza mnie do wściekłości.

Tylko jednego roku wyjeżdżałam stąd na dłużej. Pani Carruthers dostała silnego bronchitu, kiedy miałam osiemnaście lat i miałyśmy pojechać na sezon do Londynu; powiedziała, że pobyt w mieście zmęczyłby ją, więc pojechałyśmy do Szwajcarii. Przez całą jesień jeździłyśmy z miejsca na miejsce, a całą zimę pani Carruthers kaszlała i jęczała; później znowu nie chciała wyjeżdżać, tak że tylko miesiąc wszystkiego byłam w Londynie. Z bronchitu wyleczyła się zupełnie; zabił

ją atak serca, który nastąpił z powodu wybuchu złości, gdy Tomasz stłukł rodzinną wazę Carruthersów.

Nie będę opisywać jej śmierci ani znalezienia testamentu, ani tej niemiłej niespodzianki, że mi się nic nie dostanie, tylko tysiąc funtów i pierścionek z brylantem.

Teraz, kiedy jestem awanturnicą, zamiast być dziedziczką, nie ma potrzeby pisać o tym wszystkim! Wystarczy, żeby pan Carruthers nie posłuchał jej polecenia i nie poprosił mnie

o rękę dziś po południu, a będę musiała pakować manatki

i wyjeżdżać w sobotę — ale dokąd, to jedni bogowie wiedzą!

Przyjeżdża pociągiem o trzeciej dwadzieścia i przed czwartą będzie już w domu; nieznośna pora — nie można podać herbaty i nie wiadomo co robić; będzie to zarazem nudne i denerwujące.

Pozornie przyjeżdża po to, żeby objąć majątek, ale przypuszczam, że głównie po to, aby mnie obejrzeć i przekonać się, czy potrafi spełnić życzenie ciotki. Ciekawa jestem, jak to jest, jeżeli się wychodzi za kogoś, kogo się nie zna i kto się nie podoba. Nie bardzo umiem obchodzić się z mężczyznami. Nie bywali tu tacy panowie, których można by nazywać naprawdę mężczyznami — tylko czasem, w jesieni, zjawiali się starzy nudziarze polować na bażanty i grać w brydża z panią Carruthers. Cudem wydawało mi się, że w ogóle potrafili coś zabić, takie to były stare graty! Kilku polityków i eks-am-basadorów i w ogóle postaci tego rodzaju, a wszyscy zepsuci, jak tylko to można sobie wyobrazić. Mieli zwyczaj chodzić przez korytarz na palcach, aż do szkolnego pokoju, i pić herbatę ze mną i z mademoiselle, a co przy tym wygadywali! Jestem przekonana, że większość tych rzeczy, jakie mówili, miała podwójne znaczenie, bo mademoiselle zwykle tak chichotała! Ta mademoiselle, którą miałam przez ostatnie cztery lata, była całkiem ładna, ale ja jej nie cierpiałam. Żaden z tych panów, co przyjeżdżali, nie był młody ani taki, żeby się mógł liczyć.

Spodziewałam się, że kogoś spotkam, kiedyśmy pojechały do Londynu, ale przybyłyśmy tam tak późno, że już wszyscy byli zajęci i nikt się we mnie nie zakochał. Co prawda wychodziłyśmy bardzo mało, a do tego przez większą część czasu miałam spuchnięty nos od piłki tenisowej w Ranelagh — a nikt nie patrzy na dziewczęta ze spuchniętym nosem.

Jestem ciekawa, dokąd pojedę i gdzie będę mieszkać. Może w Paryżu — naturalnie jeżeli wyjdę za pana Carruther-sa. Zdaje mi się, że to nie musi być nudne zostać mężatką. W Londynie wszystkie zameżne panie zdawały się spędzać czas bardzo przyjemnie i nie bardzo się troszczyły o swoich mężów.

Pani Carruthers zawsze mnie zapewniała, że miłość nie ma żadnego znaczenia w małżeństwie. Ma się kogoś kochać z obowiązku, ale sama świadomość, że się jest z tym kimś związanym, niszczy w nas uczucie. Trzeba na miłość patrzeć jak na odrę albo inną chorobę dziecięcą, którą koniecznie trzeba przejść, więc lepiej odbyć to wcześniej i powrócić do poważnych spraw życia. Ale jak ona sobie wyobrażała, że ja to przejdę wcześniej, tego nie wiem, bo nigdy nie zrobiła tak, żebym mogła kogoś widywać.

Pewnego dnia zapytałam ją, co będzie, gdy mi się spodoba ktoś inny, jak już zostanę żoną pana Carruthersa, a ona roześmiała się tym swoim nieprzyjemnym śmiechem i odpowiedziała, że prawdopodobnie zrobię to, co wszyscy w takich wypadkach. Ale co wszyscy robią? — jestem ciekawa. No, trudno, kiedyś się dowiem. Naturalnie jest prawdopodobieństwo, że Krzysztof — czy podobałoby mi się imię Krzysztof? — otóż, że Krzysztof nie zechce poddać się jej woli.

Wiedział o tym planie już od kilku lat, tak jak i ja wiedziałam, ale mężczyźni to takie dziwne istoty... Przy tym może poczuć do mnie antypatię. Nie jestem typem, który by się mógł wszystkim podobać. Mam zanadto czerwone włosy, lśniące, ciemnoognistego koloru, jak kasztan, co świeżo wypadnie z łupinki, tylko mieniące się jak metalowe nitki. Gdybym miała zwykle w takich wypadkach jasne rzęsy, byłabym po prostu okropna, ale dzięki Bogu, jakimś dziwnym kaprysem natury mam rzęsy czarne i gęste, a jak się patrzy na mnie z boku, widać, że są zakręcone i nieraz, jak spojrzę na siebie w lustrze, to myślę, że jestem naprawdę bardzo ładna — ale, jak już przedtem powiedziałam, nie jestem typem, który by się mógł każdemu podobać.

Pani Carruthers zawsze twierdziła, że taka kombinacja, jaką ja mam, musi być niepokojąca. „Z taką mieszaniną, Ewelino — mawiała często — powinnaś bać się o swój los i starać się go jak najprędzej ustalić.

Porządne dziewczęta nie

miewają takiego kolorytu". Więc jeżeli już od urodzenia jestem przeznaczona na straty, to i tak wszystko jedno, co będę robić — zawsze się obróci na złe. Oczy mam zielone jak blade szmaragdy, podłużne i opuszczające się ku dołowi w kącikach, z wyrazem Madonny, jak u Cecylii Parker, córki wikarego, ze sławnego obrazu. Nie wiem jeszcze, co jest złe, a co dobre, może się dowiem, jak zostanę awanturnicą albo żoną Carruthersa.

Wszystko, co wiem, to tyle, że chcę żyć, i czuję, że w żyłach płynie mi gorąca krew. Chcę robić to, co mi się podoba i nie musieć być grzeczną, kiedy się palę z wściekłości. Chcę mieć prawo wstawać późno, jeżeli będę miała ochotę spać, i chcę mieć prawo siedzieć długo w nocy, jeżeli nie będę miała ochoty iść do łóżka! A że mężatki mogą robić, co im się podoba, więc nawet chciałabym się podobać panu Carruthersowi, bo wtedy wszystko będzie dobrze! Jak posłyszę turkot, pójdę na górę i niech pan Barton, adwokat, sam go przyjmuje. Dopiero gdy będą w holu, zacznę niedbale schodzić na dół. Będzie to wejście bardzo efektowne. Moja powłóczysta, żałobna suknia i te wspaniałe szerokie schody — dom jest bardzo piękny — i jeżeli on ma oczy głowie, to musi zauważyć moje nóżki na każdym stopniu schodów po kolei! Nawet pani Carruthers mówiła, że mam najpiękniejsze nogi, jakie w życiu widziała. Jestem bardzo podniecona. Zadzwońię na Weronikę i zacznę się ubierać!... Nie mogę już dłużej pisać.

Czwartek, wieczorem

Teraz jest wieczór i ogień jasno się pali na kominku w moim saloniku, gdzie siedzę i piszę. Powiedziałam w *moim* saloniku? „W saloniku pana Carruthersa” powinienam była powiedzieć, bo to jest jego salonik, a w sobotę, to znaczy pojutrze, muszę go pożegnać na zawsze. Bo tak — nie ma co ukrywać — sprawa nie poszła dobrze. Pan Carruthers spokojnie, lecz stanowczo oznajmił, że nie ma zamiaru usłuchać woli ciotki i w ten sposób będę musiała zostać starą panną! Muszę wrócić do popołudnia, żeby wszystko szczegółowo opisać; czuję, że mnie uszy palą, jak myślę o tym.

A więc zadzwoniłam na Weronikę i włożyłam moją nową czarną suknię, którą dopiero co rozpakowałam. Niedbale wetknęłam za pasek pęk fiołków. Włosy kręciły mi się jak zwykle, ale nie były aż tak dalece rozsypane, żeby to wyglądało na zrobione umyślnie; w ściśle oznaczonym momencie zaczęłam schodzić na dół. Pan Carruthers był już w holu. Strasznie przystojny, wysoki mężczyzna, z gładko wygoloną twarzą i z rysami jakby wykutymi w kamieniu. Mocny podbródek, gładka skóra, a w kącikach oczu drwiące iskierki. Powierzchowność ma bardzo dystyngowaną i taki sposób noszenia ubrania, jak gdyby już się urodził w tych wszystkich rzeczach. Sposób bycia ma zimny i bardzo powściągliwy, a przy tym ma w sobie coś rozkazującego i nawet aroganckiego, co sprawia, że chciałoby się od razu mu sprzeciwić; ale trzeba przyznać, że głos ma prześliczny, dźwięczny a subtelny. Od razu widać, że mówi wieloma językami, a przy tym wcale nie połyka końcówek. Widocznie to cecha dyplomatów, bo nawet niektórzy z tych starych ambasadorów mieli podobny rodzaj głosu.

Stał odwrócony plecami do ognia, a światło z wielkiego okna, za którym zachodziło słońce, padało mu prosto na twarz, tak że mogłam go doskonale widzieć. Powiedziałam sobie, że nie ma sensu niczego udawać, jeżeli się pisze dla siebie samej, żeby to sobie później odczytywać w starości; będę więc tu pisała tylko prawdę — będę tu pisała zupełnie co innego, niż gdybym opowiadała komuś innemu, opisując mu tę scenę. Bo wtedy powiedziałabym, że uznałam go za bardzo pociągającego i że prawie nie zwróciłam na niego uwagi. A w rzeczywistości zwróciłam na niego baczną uwagę i nabrałam od razu wewnętrznego przekonania, że mógłby być nawet bardzo pociągający, gdyby tylko chciał. Spojrzał w górę, a ja zesłam na dół z najswobodniejszą miną. Pan Barton nerwowo przedstawił mi go i podaliśmy sobie ręce. Czekałam, aż pierwszy się odezwie.

— Okropnie zimny dzień dzień — rzekł niedbale. To był rzeczywiście obiecujący i czysto angielski początek rozmowy.

Tak, istotnie — odparłam. — Pan dopiero przyjechał?

I dalej prowadziliśmy banalną rozmowę, a pan Barton kręcił się jak na szpilkach najwyraźniej pragnąc, żebyśmy jak najprędzej przeszli do rzeczy. Wtrącał tu i ówdzie uwagi,

które przyczyniały się jeszcze do pogorszenia tej niezręcznej sytuacji. Wreszcie pan Carruthers powiedział do pana Bartona, że chciałby obejrzeć dom, a ja wtrąciłam, że gdy powrócą, herbata będzie już gotowa. Odeszli.

Policzki mnie paliły, a ręce miałam strasznie zimne, byłam rozdrażniona i niezgrabna. Sprawa nie przedstawiała się nawet w połowie tak prosto, jak mi się to wydawało na górze.

Kiedy zupełnie się ściemniło i zapalono lampy, oni powrócili do holu, a pan Barton zaraz powiedział, że nie chce pić herbaty i że pójdzie do biblioteki przejrzeć pisma.

Nalałam panu Carruthersowi herbaty, zadałam mu zwykłe pytania o cukier i śmietankę. On patrzył na mnie jakby z politowaniem i nawet jakby pogardliwie, a ja poczułam, że gniew ściska mnie za gardło. Gdy skończył pić, natychmiast wstał i znowu stanął przed ogniem. Potem zaczął mówić z namysłem i nawet z pewnym wysiłkiem, jak człowiek, który za wszelką cenę chce spełnić swój obowiązek:

— Pani zna życzenie albo raczej polecenie, jakie zostawiła mi moja ciotka — rzekł — oświadczyła przy tym, że i panią wychowywała od dzieciństwa w tym przekonaniu. Przykro mówić o takich rzeczach z obcą osobą, ale może lepiej będzie jak najprędzej z tym skończyć i nawet dlatego umyślnie przyjechałem tu dzisiaj. Polecenie to brzmiało, że mam się z panią ożenić. — Przerwał na chwilę. Ja nie odzywałam się ani słówkiem. Złożyłam ręce na kolanach i niewinny wzrok utkwiłam w jego oczach. On, widząc, że nic nie odpowiadam, zaczął mówić dalej z jeszcze większym przymusem. Ale ja umyślnie nic nie mówiłam. Nie chciałam mu dopomóc; owszem, było mi przyjemnie robić mu na złość! — Dziwaczna to myśl, by w naszych czasach rozporządzać w podobny sposób ludzkim losem i jestem pewien, pani zgodzi się ze mną, że takie małżeństwo jest niemożliwe.

— Naturalnie, że się zgadzam — odpowiedziałam, kłamiąc najswobodniej w świecie. Przez tyle lat musiałam wobec pani Carruthers ukrywać moje prawdziwe uczucia, czy to przyjemne, czy przykre, że nabrałam wprawy. — Cieszę się, że pan to tak przyjmuje — mówiłam słodko. — Sama nie wiedziałam, jak to panu napisać, ale skoro pan już tu jest, sądzę, że łatwo

nam będzie dojść do porozumienia. Cokolwiek pani Carruthers postanowiłaby o moim losie, ja nie miałam zamiaru jej słuchać, ale że na nic nie zdałoby się mówić jej o tym, więc czekałam, aż przyjdzie czas, kiedy będę mogła mieć własne zdanie. Może jeszcze herbaty? Patrzył na mnie z natężeniem, prawie gniewnie, po czym rzekł z westchnieniem ulgi:

— Skoro więc zgadzamy się, nie musimy więcej o tym mówić.

— Nie musimy — odpowiedziałam i także uśmiechnęłam się, chociaż gniew wrzał we mnie. Sama nie wiedziałam dobrze, na kogo się gniewam—czy na panią Carruthers, która była sprawczynią tej sytuacji, czy na Krzysztofa, że pozostał nieczuły na moje powaby, czy na siebie samą, że chociaż przez chwilę mogłam mieć nadzieję. Bo jeżeli się nad tym spokojnie zastanowić, czy on może chcieć się ze mną ożenić? Z awanturką bez grosza, z jakimś dziwnym rudowłosym i zielonookim, którego nigdy przedtem w życiu nie widział. Musiał myśleć, że z natury mam takie żywe rumieńce, bo od chwili kiedy zaczęłam się ubierać, policzki wciąż mnie pałą i pałą. Mógł stąd przypuszczać, że wzruszyłam się całą tą sceną, a właśnie tego nie powinien się nigdy dowiedzieć! Przyjął filiżankę herbaty, ale nie pił jej i z tego domyśliłam się, że i on nie jest taki spokojny, jak się wydaje!

— Ale chodzi jeszcze o coś innego — powiedział — było teraz jakieś dziwne ociąganie się w jego głosie. — Mam pani coś powiedzieć, chociaż pan Barton mógłby to załatwić za mnie; wolę jednak powiedzieć to wprost pani, a mianowicie, że musi pani pozwolić złożyć na jej ręce taką sumę, jakiej miałyby pani słuszne prawo spodziewać się od mojej ciotki, wobec obietnic, jakie zawsze pani czyniła...

Tym razem nie czekałam, by skończył! Zerwałam się z miejsca — wstrząsnęło mną jakieś niewytłumaczone uczucie, jakby zranionej dumy, ale i jeszcze czegoś innego.

— Pieniądze! Pieniądze od pana! — wykrzyknęłam. — Nie! Nawet gdybym miała zdechnąć — i usiadłam znowu, zawstydzona własną gwałtownością. Jak on to sobie wytłumaczy! Ale to mną tak wstrząsnęło, a jednak jeszcze godzinę temu gotowa byłam przyjąć go za męża! Skąd ten bunt na myśl o odszkodowaniu w złocie? Naprawdę jestem gąską. I nawet

w tym wzburzeniu myśli musiałam uznać, że nie ma nic bardziej niestałego niż uczucia młodej dziewczyny.

— Niechże pani nie będzie nierozsądna — odrzekł zimno. — Mam zamiar złożyć te pieniądze na pani imię, czy pani sobie tego życzy, czy nie, więc nie musi się już o to troszczyć.

Coś tak rozkazującego i aroganckiego było w jego głosie, że wszystko co buntownicze w mojej naturze wzburzyło się znowu.

— Nie znam się nic na prawie ani na interesach, może pan złożyć, ile się panu podoba, ale ja nigdy tego nie dotknę — odpowiedziałam tak spokojnie, jak tylko mogłam — więc zdaje mi się, że to byłoby śmieszne tak marnować pieniądze. Prawda? Może pan jeszcze nie wie, że ja mam zupełnie dosyć własnych pieniędzy i wcale nie potrzebuję pańskich. On stawał się coraz zimniejszy, ale najwyraźniej był rozdrażniony.

— Jak się pani podoba — rzekł uszczypliwie, a że na szczęście pan Barton wszedł w tej chwili do pokoju, więc rozmowa urwała się i zostawiłam ich samych.

Och, nie potrafię opowiedzieć, co czułam i w jakim byłam nastroju, gdy znowu wchodziłam po schodach na górę. Nagle zdałam sobie sprawę, jak upokarzająca jest dla mnie cała ta sytuacja! Jak ja mogłam nawet przez chwilę myśleć o wyjściu za mąż za zupełnie obcego i nieznanego człowieka, tylko dlatego, żeby sobie zapewnić wygodne, spokojne życie? Wydaje mi się to teraz takie dziwaczne i nieprawdopodobne. Może dlatego byłam skłonna do czegoś podobnego, że zostałam już wychowana w tej myśli i nie wydawała mi się ona nigdy dziwaczna, dopóki nie stanęłam twarzą w twarz z tym człowiekiem. Na szczęście on się nigdy nie domyśli, że byłam gotowa go przyjąć.

Umiałam dobrze udawać. Teraz ożywia mnie tylko jedna myśl. Muszę być tak miła i czarująca wobec pana Carruthersa, jak tylko potrafię. Celem mojego życia stanie się to, żeby pożałował swej decyzji. Kiedy usłyszę go błagającego mnie, żebym za niego wyszła, odzyskam być może trochę szacunku dla siebie samej! A co do małżeństwa, to nie chcę na razie mieć nic do czynienia z tą okropną rzeczą! Och, nie! Pojadę w świat wolna i będę sobie szczęśliwą awanturnicą! Czytałam *Trzech muszkieterów*

i *W dwadzieścia lat później*, i przypominam sobie, że milady miała tylko trzy dni czasu, żeby zmiękczyć serce swego strażnika, który jej tak nienawidził, podczas gdy pan Carruthers wcale mnie nie nienawidzi, więc i ten jeden wieczór czasu może się liczyć. Zrobię, co będę mogła!

Czwartek, w nocy

Byłam na dole w bibliotece i najspokojniej czytałam sobie książkę, gdy wszedł pan Carruthers. Wyglądał jeszcze lepiej w wieczorowym ubraniu, ale zdawało mi się, że jest w złym humorze i najwidoczniej cała sytuacja wydawała mu się niemiła i niewygodna.

— Prawda, jaki to piękny dom? — spytałam aksamitnym głosem, by przerwać ciszę i okazać mu, że nie podzielam jego zmieszania. — Pan go już chyba bardzo dawno nie widział?

— Nie, od czasu gdy byłem chłopcem — odpowiedział, siląc się na uprzejmość. — Ciotka była skłócona z moim ojcem, a to ona była właściwą spadkobierczynią tego wszystkiego i wyszła za swego kuzyna, za najmłodszego brata mego ojca. Ale pani naturalnie zna całą tę rodzinną historię?

— Tak.

— Nie cierpieli się oboje z moim ojcem.

— Pani Carruthers nie cierpiała wszystkich swoich krewnych — odrzekłam z namysłem.

— I mnie między innymi?

— Tak — odpowiedziałam wolno i pochyliłam się, by światło lampy padło na moje włosy. — Mówiła zawsze, że jesteście oboje zbyt podobnych charakterów, byście mogli kiedykolwiek zostać przyjaciółmi.

— Czy to ma być komplement? — zapytał z błyskiem w spojrzeniu.

— Nie można mówić źle o umarłych — odrzekłam wymijająco.

Zdawało mi się, że jest podrażniony, jeżeli po takich dyplomatach można cokolwiek poznać.

— Ma pani rację — rzekł — zostawmy ją w spokoju. Przez chwilę panowało milczenie.

— Co pani teraz pocznie ze swoim życiem? — zapytał.

Było to dość zuchwałe pytanie.

— Zostanę awanturnicą — odpowiedziałam poważnie.

— Czy-ym? — zawołał ściągając czarne brwi.

— Awanturnicą. Czy to nie tak się nazywa? Osoba, która zna życie i stara się urządzić je sobie jak najprzyjemniej. Roześmiał się.

— Ty dziwna, mała panienko! — powiedział, a jego irytacja gdzieś rozpierzchła. Kiedy się śmieje, można dojrzeć, jakie ma równe zęby, ale dwa boczne ma dłuższe i ostre, jak u wilka.

— Może w końcu lepiej by było dla pani, gdyby pani wyszła za mnie.

— Nie, to by mi podcięło skrzydełka — odpowiedziałam szczerze, patrząc mu prosto w twarz.

— Pan Barton mówił mi, że pani ma zamiar wyjechać stąd w sobotę. Błagam, niech pani tego nie robi — i proszę, niech pani uważa ten dom za swój, tak długo jak pani zechce, przynajmniej dopóki pani się jakoś nie urządzi. Pani wygląda tak młodziutko, jakże pani pójdzie sama w świat! Pochylił się i patrzył mi z bliska w oczy. Ton jego głosu był jakiś dziwny.

— Mam dwadzieścia lat i bardzo często mnie strofowano — odpowiedziałam spokojnie — to doskonale przygotowuje do życia. Cieszę się, że będę mogła robić, co zechcę.

— A co pani zechce robić?

— Najpierw pojedę do hotelu „Claridge”, a potem się rozejrzę.

Poruszył się niespokojnie.

— Ale czy pani nie ma żadnych krewnych? Nikogo, kto by się o panią troszczył?

— Zdaje mi się, że nie. Moja matka, wie pan, nie była nikim znakomitym. Nazywała się Tonkins.

— Ale ojciec pani? — Usiadł na sofie obok mnie; w jego spojrzeniu widniało rozbawienie i zarazem zgorszenie — widocznie zdumiewałam go. — Tatuś? Och, tatuś był ostatnim z rodziny—byli to bardzo przyzwoici ludzie, ale już ich nie ma.

Odrzucił na bok jedną z poduszek.

— Ależ to jest fatalna sytuacja dla młodej dziewczyny — taka zupełnie sama. Ja nie mogę na to pozwolić. Czuję się odpowiedzialny za panią.

Ostatecznie to byłoby zupełnie

dobrze, gdyby pani wyszła ze mnie — nie mam usposobienia domatora i bardzo mało będę przebywał w domu — więc może pani tu mieszkać i będzie pani miała pewne stanowisko w świecie, a ja będę przyjeżdżał od czasu do czasu, by zobaczyć, czy wszystko dobrze idzie. Nie można było zrozumieć, czy on sobie żartuje, czy nie — I o zbytek dobroci z pańskiej strony — odpowiedziałam bez żadnej ironii- aleja lubię swobodę i gdyby pan był często w domu, to mogłoby być nudne i...

Pochylił się w tył i roześmiał się wesoło.

— Pani jest w każdym razie bardzo szczerą — rzekł

W tej chwili wszedł do pokoju pan Barton z mnóstwem przeprosin za spóźnienie. Natychmiast potem wszedł ze zwykłymi ceremoniami kamerdyner i oznajmił uroczyście— Obiad podany, sir. Jak prędko służba poznaje nowego pana Pan Carruthers podał mi ramię i wolno poszliśmy przez galerię z obrazami do holu, a stamtąd do sali jadalnej i siedzieliśmy dookoła małego okrągłego stoliczka, który zawsze w moich oczach wygląda jak wysepka na jeziorze.

Rozmawiałam z ożywieniem przez cały obiad. Byłam pełna godności, poważna i jednocześnie zupełnie swobodna Pan Carruthers na pewno się nie nudził. Kucharz przeszedł samego siebie, pragnąc widocznie, żeby nowy pan go zatrzymał Nigdy w życiu nie byłam taka podniecona.

Po obiedzie drzemałam, siedząc w bibliotece pod wielką lampą z jakimś tomikiem głupich wierszy w ręku — gdy ukazał się pan Carruthers i przeszedł przez pokój. Nie otworzyłam oczu. Patrzył na mnie przez całą minutę — jak ja to dokładnie obliczyłam! Potem rzekł:

— Pani ślicznie wygląda śpiąc!

W jego głosie nie było ani odrobiny pieszczotliwości ani uznania; mowil tak, jakby coś go zmusiło do stwierdzenia faktu. Pozwoliłam sobie obudzić się bez drgnienia.

— Czy porto z czterdziestego siódmego roku było tak dobre, jak się pan spodziewał? – zapytałam z zyczliwym zainteresowaniem.

Usiadł. Już przedtem tak ustawiłam moje krzesło, żeby w jego sąsiedztwie nie było żadnego innego. W ten sposób

musiał siedzieć w pewnym oddaleniu i mógł podziwiać moją sylwetkę w całości.

— Porto z czterdziestego siódmego — a, tak! Ale nie będziemy rozmawiać o porto. Chciałbym, żeby pani opowiedziała mi coś o sobie i o swoich planach.

— Nie mam żadnych planów — prócz tego jednego, żeby zobaczyć świat.

Wziął jakąś książkę i zaraz ją położył; w ogóle był niespokojny.

— Chyba nie puszcze pani. Bardziej jeszcze niż przedtem jestem w tej chwili przekonany, że pani musi mieć kogoś, kto by się panią opiekował; pani nie jest takim typem, który by mógł bezpiecznie kręcić się sam po świecie.

— Och, jeżeli chodzi o mój typ — powiedziałam przeciągle — to wiem coś o tym. Pani Carruthers zawsze mówiła, że nikt z taką kombinacją kolorów nie może być dobry, więc nawet nie próbuję. Ale to będzie całkiem proste i łatwe. Podniósł się żywo z krzesła i stanął przed wielkim ogniem płonącym na kominku.

— Pani jest najdziwniejszym dzieckiem, jakie w moim życiu widziałem.

— Nie jestem dzieckiem, ale chciałabym jak najwięcej rzeczy zobaczyć i poznać. Podeszedł znowu do sofy i zaczął układać poduszki — są tam wielkie, wspaniałe, grube poduszki kryte staroświeckim włoskim brokatem, aż sztywne od złota i srebra. — Proszę tu przyjść — poprosił — proszę usiąść obok mnie i porozmawiamy; siedzi gdzieś pani o całe mile ode mnie, a ja chciałbym... chciałbym pani przedstawić moje racje. Wstałam i powoli podeszłam, by usiąść na wskazanym miejscu.

Umyślnie wybrałam stojącą w samym świetle purpurową srebrzystą poduszkę i na niej oparłam głowę.

— A teraz niech pan mówi — rzekłam i przymknęłam oczy. Och!

Jakżeż ja byłam zadowolona! Pierwszy raz w życiu znajdowałam się sam na sam z prawdziwym mężczyzną. Oni — ci wszyscy starzy ambasadorowie, politycy i generałowie — przepowiadali mi zawsze, że wyrosnę na niezwykle pociągającą kobietę. I chciałam teraz się przekonać, co też ja potrafię.

Pan Carruthers milczał, ale siedział tuż obok mnie i patrzył — patrzył mi prosto w oczy.

— Niechże pan mówi — odezwałam się znowu.

— Wie pani, że pani jest osobką bardzo niepokojącą — rzekł wreszcie w formie wstępu.

— Co to znaczy? — zapytałam.

— To znaczy taką kobietą, która, gdy się na nią patrzy, ma ci myśli patrzącego. Widzę teraz, że nie mogę pani nic powiedzieć — albo za wiele.

— Nazywał mnie pan dzieckiem.

— A powinienem był nazwać panią zagadką. Zapewniałam go, że nie jestem w najmniejszym stopniu skomplikowana i że zawsze pragnęłam tylko najprostszycy rzeczy, a teraz pragnę być zostawiona w spokoju i żeby mnie nie zmuszano do małżeństwa ani do słuchania kogokolwiek. Potem zaczęliśmy rozmawiać bardzo miło.

— Pani nie może wyjechać w sobotę — odezwał się nagle ni stąd, ni zowąd. — I ja chyba także nie wyjadę jutro do Londynu. Chciałbym, żeby pani pokazała mi ogrody i wszystkie swoje ulubione kryjówki.

— Jutro zajmę się pakowaniem — odpowiedziałam poważnie — i chyba nie będę panu pokazywać ogrodów. Są tam w nich rzeczywiście zakątki, które bardzo lubiłam i przykro mi będzie żegnać się z nimi.

W tej chwili właśnie wszedł do pokoju pan Barton, zmieszany i zakłopotany. Twarz pana Carruthersa skamieniała, a ja podniosłam się i obu panom powiedziałam dobranoc.

Gdy otwierał mi drzwi, żebym przeszła, rzekł:

— Proszę mi obiecać, że pani jutro rano zejdzie na śniadanie i należy mi kawy. — *Qui vivra verra** — odpowiedziałam i wybiegłam do holu.

Poszedł za mną i patrzył, jak wchodziłam na schody.

— Dobranoc — powiedziałam miękko, znalazłszy się na szczycie schodów, i cicho zaśmiałam się — sama nie wiem, dlaczego.

Wbiegł na schody, przeskakując po trzy stopnie, i zanim zdążyłam zamknąć za sobą drzwi, już stał przede mną.

— Ja nie wiem, co pani ma w sobie — zaczął mówić szybko — ale pani doprowadza mnie do szaleństwa — będę nalegał i starał się wszelkimi siłami, żeby ostatnia wola mojej

Qui vivra verra (franc.) — pożyjemy, zobaczymy.

ciotki została spełniona! Ożenię się z panią i już nigdzie nie puszcze pani od siebie ani na chwilę — czy pani słyszy?

Och, jakież dziwne uczucie podniecenia i upojenia ogarnęło mnie — dotąd je czuję. Zapewne jutro będzie już myślał inaczej, ale w każdym razie poruszyć do tego stopnia tę kamienną bryłę, zmusić ją do powiedzenia podobnych słów, to po prostu cudowne!

Spojrzałam na niego spod rzęs.

— Nie, nie ożeni się pan ze mną — rzekłam spokojnie — ani nie zrobi pan nic takiego, co mi się nie będzie podobało, a teraz dobranoc!

Wśliznęłam się do mego pokoju i zamknęłam drzwi. Słyszałam, że przez kilka minut nie ruszał się z miejsca. Potem zszedł na dół po schodach i oto jestem sama z moimi myślami.

Moje myśli! Jakie one właściwie są? I co ja takiego zrobiłam, że to wywarło na nim takie silne, wrażenie? Chciałam coś zrobić i zrobiłam, ale sama nie wiem, co i jak. W każdym razie ta rzecz jest bez konsekwencji. Wystarcza mi poczucie, że znowu mogę mieć szacunek dla samej siebie i że mogę teraz z czystym sumieniem wyjechać stąd i oglądać świat.

On prosił mnie, żebym za niego wyszła, a *ja* odpowiedziałam, że nie chcę!

LIST PANA CARRUTHERSA DO PRZYJACIELA (List ten dostał się później w posiadanie Eweliny, która go umieściła w swym dzienniku na tym miejscu).

„BRAUCHES PARK Wieczorem, 3 listopada 1904 r.

Drogi Bobie — wydarzyła mi się osobliwa przygoda! Przyjechałem tutaj, aby obejrzeć dom i miejsce i by stanowczo powiedzieć pannie Travers, że nie chcę się z nią ożenić — i zobaczyłem ją z tymi rudymi włosami, ze skórą białą jak mleko, z parą zielonych oczu, które patrzą na człowieka spod najgęstszych w świecie rzęs i rzucają tysiące obietnic. I wobec tego wszystkiego nie zdziw się, jeżeli popełnię jakieś szaleństwo. Czytałem, że kiedyś we Włoszech, w czasach *cinquiccinto*,

bywały takie kobiety, ale w życiu dotychczas nie widywałem podobnych. Nie pobędzie zaledwie dziesięciu minut w pokoju, a już człowiek czuje się jakoś nieswojo, już się czegoś pragnie — właściwie nie wiadomo czego, ale chyba przede wszystkim, żeby jej dotknąć, żeby ją objąć! Dobry Boże! Co za cera! Czyste mleko i najdelikatniejsze róże — a usta, jak czerwony łuk Kupida! Najlepiej przyjedź tu sam (prawdopodobnie będzie to w granicach twoich możliwości) i ocal mnie od popełnienia jakiegoś idiotyzmu. Sytuacja jest zupełnie wyjątkowa: mianowicie jesteście zupełnie sami w całym domu, bo stary Barton przecież się nie liczy. Ona nie ma zupełnie dokąd pojechać i, o ile wiem, nie ma na świecie nikogo bliskiego. Czuję, że powinienem wyjechać stąd, dopóki ona tu bawi, i spróbuję wyjechać w poniedziałek, ale tymczasem przyjedź jutro pociągiem o czwartej.

Twój Krzysztof

Ps. Porto z czterdziestego siódmego roku, a podobno i jakieś dwie czy trzy marki szampana, które są specjalnością tutejszej piwnicy — zupełnie wyjątkowe. Tak twierdzi stary Barton. Musimy spróbować. Wysłałam list ekspresem, więc zdąży jeszcze na czas, byś mógł przyjechać o czwartej.

BRAUCHES Piątek w nocy, 4 listopada

Dziś rano pan Carruthers samotnie pił swoją kawę. Pan Barton i ja zjedliśmy śniadanie wcześnie, jeszcze przed dziewiątą, i właśnie stojąc w holu zwoływałam psy na spacer, już zupełnie ubrana do wyjścia, gdy pan Carruthers zaczął schodzić z wielkich schodów, ze zmarszczką na czole.

— Już tak wcześnie pani wychodzi? — zaczął. — A więc nie należy mi pani herbaty?

— Zdaje mi się, że wczoraj mówił pan o kawie! Nie, nie należę panu, bo wychodzę — i poszłam przez korytarz, a psy poszły za mną.

— Pani wcale nie jest uprzejmą gospodynią — zawołał za mną.

— Nie jestem wcale gospodynią — odpowiedziałam przez ramię — tylko gościem.

Poszedł za mną.

— W takim razie jest pani bardzo osobliwym gościem, który zupełnie nie dba o przyjemność gospodarza.

Nic nie odpowiedziałam, tylko schodząc z szerokich marmurowych schodów spojrzałam na niego przez ramię. Spojrzałam i roześmiałam się, tak jak wczoraj wieczorem.

Wrócił do holu bez słowa i nie widziałam go aż do drugiego śniadania. Bardzo niemilo jest żegnać się z miejscem, w którym przeżyło się tyle lat, toteż wzruszenie ścisnęło mnie za gardło w różnych punktach mej pożegnalnej pielgrzymki. Wszystko to jest śmieszne i trzeba o tym zapomnieć. Kiedy skręcałam na rogu tarasu, silny powiew wiatru po prostu rzucił mnie w ramiona pana Carruthersa. Wstrętną pogodę mamy tej jesieni.

— Gdzie się pani podziewała przez cały ranek? — zapytał, gdyśmy po tym zderzeniu doszli do siebie. — Posyłałem po panią, szukali pani wszędzie i ja sam szukałem.

— Zaraz widać, że pan nie zna tej miejscowości, bo inaczej znalazłby mnie pan na pewno — odpowiedziałam i chciałam odejść.

— Nie, teraz już pani nigdzie nie pójdzie — wykrzyknął i zatrzymał mnie. — Dlaczego pani nie chce choć odrobinę być dla mnie uprzejma i postarać się, żebym się czuł dobrze w domu.

— Przepraszam pana, jeżeli byłam nieuprzejma — odpowiedziałam z całą szczerością. Pani Carruthers zawsze bardzo pilnowała, żebym miała dobre maniery.

Potem przez całe pół godziny rozmawiał ze mną o Brauches Park.

Zdawało się, że zupełnie zapomniał o swojej wczorajszej gwałtowności. Wypytywał mnie o najrozmaitsze rzeczy, wykazał delikatność i uczuciowość, jakich nie mogłam się spodziewać po jego twardej, zimnej twarzy. Toteż żałowałam, gdy odezwał się gong i musieliśmy iść na śniadanie.

Nie układałam sobie żadnego planu — byłam po prostu upojona tym wypróbowywaniem — po raz pierwszy w życiu — swej władzy na innej ludzkiej istocie. Doznawałam

wprost rozkosznych dreszczów, widząc jego nadskakiwania na drugi dzień po szorstkim odrzuceniu mojej ręki.

Przy śniadaniu kilkakrotnie zwracałam się do pana Bartona, który był zachwycony moimi względami i rozgadał się na dobre.

Po śniadaniu zaczął padać deszcz i bił w szyby z jakąś gniewną zawziętością. Nie sposób było myśleć o dalszej pielgrzymce po miłych zakątkach. Wymknęłam się na górę, podczas gdy pan Carruthers rozmawiał z piwnicznym, i zaczęłam pomagać Weronice w pakowaniu. Chaos i rozpaczliwe zamieszanie panowały w moich przytulnych, ślicznych pokoikach.

Właśnie klęczałam nad wielką drewnianą skrzynią, bezskutecznie usiłując pomieścić w niej wszystkie książki, gdy energicznie zapukano do drzwi i nie czekając na pozwolenie mój gospodarz — tak, on już jest tutaj gospodarzem — wszedł do pokoju.

— Wielki Boże, co to wszystko znaczy? — zawołał. — Co pan robi?

— Pakuję się — odpowiedziałam nie wstając.

— Zrobił niecierpliwy ruch.

— Nonsens! — rzekł. — Pani wcale nie musi się pakować.

Powiedziałem już, że pani nie puszczę. Ożenię się z panią i zatrzymam tu panią na zawsze.

Usiadłam na podłodze i zaczęłam się śmiać.

— Pan tak na serio myśli?

— Tak.

— Nie może pan mnie przecież zmusić, żebym za pana wyszła, jak się panu zdaje? Ja chcę zobaczyć świat, nie chcę, żeby jakiś nudny mąż plątał się koło mnie. Jeżeli kiedykolwiek wyjdę za mąż, to tylko wtedy, och — wtedy... — urwałam i zaczęłam bawić się książką.

— Kiedy?

— Pani Carruthers zawsze mówiła, że to jest szaleństwo, ale jednak ja tylko wtedy wyszłabym za mąż, jeślibym kochała. Och, wiem, że i panu wyda się to śmieszne — i przerwałam mu, gdy chciał coś powiedzieć — ale nawet, gdyby to miało nie trwać długo, to dobrze jest, jeżeli z początku czuje się coś podobnego; nie sądzi pan?

Rozejrzał się po pokoju i zajrzał nawet przez otwarte na oścież drzwi do sypialni, gdzie Weronika wciąż pakowała.

— Pani mieszka tu bardzo wygodnie — rzekł wreszcie — byłoby szaleństwem wynosić się stąd.

Wstałam z podłogi, przeszłam się do okna i z powrotem. Nie wiem dlaczego poczułam się nagle wzruszona. Ogarnęło mnie bardzo wyraźne poczucie wygody i przytulności kącika. Za oknem świat był taki mokry i szary... — Dlaczego pan powiedział, że się pan ożeni ze mną, panie Carruthers? — zapytałam. — Pan oczywiście żartował?

— Nie żartowałem. Mówiłem zupełnie poważnie. Gotów jestem spełnić żądanie mojej ciotki. Zresztą powinna była pani już się oswoić z tą myślą i ma pani chyba tyle zdrowego rozsądku, by zdać sobie sprawę, że to jest możliwie najlepsze wyjście dla pani. I ja też mogę pani pokazać ten świat, który pani tak pragnie zobaczyć.

Był bardzo przystojny w tej chwili, kiedy tak stał z Jwarzą zwróconą do światła. A gdybym tak wzięła go za słowo?

— Ale cóż tak nagle zmieniło pańskie poglądy od wczoraj? Przecież specjalnie przyjechał pan po to, by mi wytłumaczyć, że nie może spełnić polecenia ciotki — To było wczoraj — odrzekł. — Wtedy jeszcze nie obejrzałem pani dobrze. Dzisiaj myślę inaczej.

— To tylko dlatego, że zrobiło się panu mnie żal. Muszę wydawać się panu bardzo osamotniona — szepnęłam.

— Bo to jest zupełnie niemożliwe, to, co pani zamyśla, żeby wyjechać stąd i zamieszkać w jakimś hotelu. Czuję, że oszaleję na samą myśl o tym. — Ależ to będzie cudownie! Od rana do nocy będę robiła, co mi się spodoba, i nikt nie będzie miał prawa mi rozkazywać!

— Posłuchaj mnie, dziecko — zaczął mówić i usiadł przy tym w fotelu.

— Powinna pani wyjść za mnie, a ja zabiorę panią do Paryża, albo dokądkolwiek pani będzie chciała i także nie będę pani rozkazywał — nie pozwolę tylko tym zwierzętom, mężczyznom, patrzeć na panią. Aleja odpowiedziałam, że to byłoby bardzo nudne. — Nigdy do tej pory nie miałam tej przyjemności, żeby ktoś na mnie patrzył — rzekłam — i chciałabym się przekonać, czego się przy tym doświadcza. Pani Carruthers zawsze dowodziła, że jestem bardzo ładna, wie pan, tylko dodawała przy tym, że na pewno źle skończę z powodu mojego nieszczęsnego typu urody, chyba że bardzo wcześnie wyjdę za mąż, bo wtedy,

bylebym tylko umiała dobrze się urządzić, nic mi nie zaszkodzi. Ale ja się z nią nie zgadzam. Zerwał się z krzesła i chodził niecierpliwie po pokoju.

— Właśnie, że tak jest — zawołał. — Toteż ja chcę być pierwszym—
wolę, żeby pani zaczęła ode mnie. I czuję w sobie dość siły, żeby
później nie dopuścić do dalszego ciągu.

— Co to znaczy „zacząć od pana?” — zapytałam z niewinną miną. —
Stary lord Bentworth mówił mi, że powinnam zacząć od niego, kiedy tu
polował na bażanty zeszłej jesieni. Mówił, że to nic nie zaszkodzi, bo on
jest taki stary, ale ja nie chciałam...

Pan Carruthers znowu się rzucił.

— Czego pani nie chciała? Dobry Boże, do czego on panią namawiał?
— zawołał gwałtownie.

— No, cóż — odpowiedziałam powoli i spuściłam na chwilę oczy, bo
poczułam jakieś takie głupie zawstydzenie — chciał, żebym go
pocałowała.

Pan Carruthers najwidoczniej poczuł wielką ulgę. Jakie to dziwne!

— Stary niegodziwiec! Ładne towarzystwo moja ciotka przyjmowała u
siebie! — zawołał. — I ładnie opiekowała się panią, skoro pozwoliła ją
znieważać swoim gościom.

— Nie przypuszczam, żeby lord Bentworth chciał mnie znieważać.

Mówił tylko, że nigdy nie widział takich czerwonych i tak kapryśnie
wyciętych ust jak moje i mówił też, że diabli mnie i tak wezmą kiedyś z
tymi ustami i z takimi włosami, toteż mogłabym zacząć od pocałowania
jego — on mi wszystko wytłumaczył. — I pani się na niego nie
rozniewała? — zapytał szorstko. — Nie, nie bardzo; nie mogłam się
gniewać, bo trzęsłam się ze śmiechu. Gdyby pan mógł widzieć tego
starego biedaka, podobnego do małpy, z łysiną i monoklem w oku, nie,
to naprawdę było zbyt komiczne! Opowiadam to panu, bo pan
powiedział takie samo zdanie, żeby „zacząć od pana”, więc chciałam się
dowiedzieć, czy to jest to samo. Oczy pana Carruthersa miały taki jakiś
dziwny wyraz: było w nich rozbawienie i zmieszanie, i coś innego
jeszcze. Podszedł bliżutko do mnie.

— Bo jeżeli tak — ciągnęłam dalej — jeżeli zawsze początek musi być
taki, to ja nie chcę żadnych początków. Nie mam

najmniejszej ochoty całować kogokolwiek — jestem pewna, że nie cierpiałabym tego. Pan Carruthers roześmiał się.

— Och, widzę, że koniec końców pani jest tylko małym dzidziusiem — rzekł.

To mnie rozdrażniło. Powstałam z wielką godnością.

— Herbata będzie podana w białym saloniku — rzekłam sztywno i poszłam do sypialnego pokoju. On poszedł za mną.

— Niech pani wyprawi służącą i każe przynieść herbatę tu na górę — rzekł cicho. — Tak lubię ten pani salonik.

Ale ja nie miałam ochoty tak łatwo zastosować się do jego żądania i umyślnie zawołałam Weronikę i dałam jej nowe polecenie.

— Biedny pan Barton pewnie czuje się bardzo osamotniony — rzekłam wychodząc na korytarz. — Pójdę dopilnować, żeby mu dali dobrą herbatę — i spojrzałam i1a pana Carruthersa przez ramię. Naturalnie poszedł za mną i razem zeszliśmy ze schodów.

W sali spotkał nas służący i wręczył panu Carruthersowi list. Pan Carruthers rozerwał pieczęć niecierpliwym ruchem. Po przeczytaniu miał bardzo niezadowoloną minę.

— Mam nadzieję, że to pani nie przeszkodzi — rzekł — ale dziś po południu przyjeżdża mój przyjaciel, lord Robert Varassour. Jest on... ee... wielkim znawcą malarstwa. Zapomniałem zupełnie, że go zaprosiłem, by przyjechał obejrzeć tutejsze obrazy... Zupełnie mi to wyszło z głowy...

Odpowiedziałam, że on jest tu gospodarzem, a ja nie mogę mieć nic przeciwko temu, żeby sobie zapraszał gości, jakich mu się podoba.

— Zresztą ja jutro wyjeżdżam—dodałam. — Jeżeli Weronika skończy z pakowaniem.

— Nonsens — kiedy pani nareszcie zrozumie, że ja pani stąd nie puszczę. Nic na to nie odpowiedziałam — spojrzałam tylko na niego wyzywająco. Pan Barton czekał na nas cierpliwie w białym saloniku i najwyżej od pięciu minut chrupaliśmy grzanki i pili herbatę, gdy rozległo się klaskanie kopyt na zwirowanym podjeździe — okna tego pokoju wychodzą właśnie na podjazd — i pr2zerwało naszą rozmowę.

1Sans *gêne* (franc.) — bez ceremonii, bez żenady.

2Sans *gêne* (franc.) — bez ceremonii, bez żenady.

— To na pewno przyjechał Bob — odezwał się pan Carruthers i z niejakim ociąganiem wyszedł do holu na spotkanie przyjaciela. Zaraz zjawili się obydwaj i pan Carruthers przedstawił mi lorda Roberta. Jakiż on przystojny! Co za postawa. Zupełnie Apollo Belwederski, zupełnie! Lubię takie figury cienkie w pasie i szerokie w ramionach, a przy tym jego ruchy robią takie wrażenie, jak gdyby był giętki jak wąż, a jednocześnie mógł łamać podkowy, jak pan Rochester w *Jane Eyre*. Ma wielkie, senne, niebieskie oczy z jakimś żalonym wyrazem i maleńkie czarujące wąsiki zakręcone w kącikach ust, a są to usta najpiękniejsze, jakie można sobie wyobrazić. Patrząc na jego ruchy, patrząc na tył jego głowy myśli się ciągle o pięknym, wspaniale wytrenowanym, pełnej krwi koniu. Sama nie wiem dlaczego. Natychmiast — w jednej chwili — gdyśmy tylko spojrzeli na siebie, poczułam, że będę lubić „Boba”. On nie ma wcale twardego cynicznego wyrazu pana Carruthersa i przypuszczam, że jest od niego o wiele młodszy. Ma najwyżej dwadzieścia siedem lat. Od razu poczuł się tu jak u siebie; usiadł, dostał herbaty i zaczął rozmawiać w najnaturalniejszy, przyjazny sposób Pan Carruthers zdawał się zawadzać, pan Barton stawał się coraz banalniejszy — a mnie to wszystko niesłychanie bawiło. Nieraz za dawnych dni przy pani Carruthers marzyłam o przygodach, a teraz mam je naprawdę. Bo cóż to za sytuacja! Przypuszczam, że ludzie uważaliby ją za bardzo nieprzyzwoitą! Ja sama w domu z tymi trzema mężczyznami! Naprawdę, powinnam już raz wyjechać — ale dokąd! Tymczasem mam wielką ochotę pobawić się jak można najlepiej. Lord Robert i ja mielibyśmy sobie tysiące rzeczy do powiedzenia. Jak ja lubię jego głos, a przy tym on jest tak zupełnie sans *gêne*³, że nie ma żadnej trudności w zżyciu się z nim. Nim zdążyliśmy wypić herbatę, byliśmy już starymi przyjaciółmi.

³Sans *gêne* (franc.) — bez ceremonii, bez żenady.

Pan Carruthers był coraz grzeczniej szy i coraz bardziej sztywny, aż wreszcie zerwał się i przynagłał swego przyjaciela, by poszedł z nim do palarni.

Taką piękną sukienkę włożyłam do obiadu! Taką milutką, a najprostszą, jaką sobie można wyobrazić. Tylko kawałeczek skóry przeświecał przez nią pod szyją. Nie można sobie wyobrazić nic bardziej twarzowego i milszego; tylko moje włosy nie chciały się porządnie zachowywać i wszędzie dookoła twarzy miałam pełno niesfornych loczków.

Uważałam, że lepiej będzie nie schodzić za wcześnie i zbiegłam ze schodów dopiero wtedy, gdy wiedziałam, że już podano do obiadu.

Oni obaj stali przed kominkiem. Zawsze zapominałam o panu Bartonie.

I on naturalnie tkwił w jakimś krześle, ale nie zauważyłam go.

Pan Carruthers jest wyższy — przynajmniej o cal; musi mieć więcej niż sześć stóp, bó przecież i ten drugi jest także bardzo wysoki, ale gdy tak stali obok siebie, twarz pana Carruthersa wydawała się dziwnie sztywna i sucha i nie jest wcale taki cienki w pasie. Ciekawam, czy i mężczyźni z innych narodów mają ten wygląd tak *soigné*⁴ jak Anglicy w wieczorowym ubraniu. Jestem pewna, że nie. Naprawdę, obaj są ślicznymi i wspaniałymi okazami, każdy w swoim rodzaju i sama jeszcze nie wiem, który z nich podoba mi się bardziej.

Tak zajmująco spędziliśmy czas przy obiedzie. Byłam tak wyzywająca, jak tylko mogłam być, jednocześnie zachowując się zupełnie poważnie i z sympatyczną uwagą wysłuchując długich historii pana Bartona; tylko od czasu do czasu rzucałam spod rzęs spojrzenia to na jednego, to na drugiego. Przez cały czas rozmawiałam tak rozsądnie, że nawet Katarzyna Montgomeire — jedna z naszych sąsiadek — całkowicie zaaprobowałaby moje zachowanie.

Nikt nie mógłby powiedzieć, że nie potrafię się obejść bez opieki i że nie dam sobie rady w każdej sytuacji.

— Wspaniały ten portwajn, Krzysztofie — rzekł lord Robert, gdy „czterdziesty siódmy rok” zaczął krążyć dookoła stołu. — To dla spróbowania jego zaprosiłeś mnie tutaj?

⁴*Soigné* (franc.) — zadbany; wypielęgnowany.

— Sądziłam, że dla wydania sądu o tutejszych obrazach? — zawołałam zdziwiona. — Pan Carruthers mówił, że pan jest wielkim znawcą malarstwa.

Spojrzeni po sobie.

— Och — a... tak — rzekł wreszcie lord Robert, najwidoczniej kłamiąc.

— Obrazy są bardzo interesujące. Czy zechce pani pokazać mi je po obiedzie?

— Światło jest tu wieczorem za słabe, żeby koneser mógł je dokładnie obejrzyć — odrzekłam.

— W najbliższym czasie każę to wszystko oświetlić elektrycznością.

Pisałem już dzisiaj w tej sprawie — oznajmił uroczyście pan Carruthers.

— Ale ja sam pokażę ci jutro obrazy, Bobie.

To mnie natychmiast zdopingowało, żeby jeszcze dziś wieczorem oprowadzić lorda Roberta, i powiedziałam mu to jak najbardziej aksamitnym głosem, gdy uwagę pana Carruthersa odciągnął na chwilę pan Barton.

Tak długo siedzieli w jadalni po moim odejściu, że miałam już iść spać, gdy wreszcie zjawili się w holu i z trudnością zdołali mnie namówić do pozostania jeszcze kilka chwil.

— Naprawdę, tak mi strasznie przykro — mówił lord Robert — ale po prostu nie mogłem się wyrwać. Nie mam pojęcia, co opętało Krzysztofa. Chciał koniecznie próbować wszystkich win i opowiadał najrozwicklejsze historie, aż wreszcie po prostu mu powiedziałem, że chcę iść do pani. I oto jestem, a pani chce iść spać — ale pani jeszcze zostanie — ja tak proszę... tak proszę...

Miał takie śliczne, niebieskie oczy i taki żalony wyraz jak zrozpaczone dziecko, że zupełnie nie sposób było mu się oprzeć! Toteż poszliśmy razem do galerii obrazów. Naturalnie, że nie umiał odróżnić Canaletta od Turnera i nawet nie próbował udawać, że go to interesuje. Wreszcie, gdy doszliśmy do końca galerii, gdzie wiszą dawni malarze włoscy, a ja mu zaczęłam wysławiać przedziwnej piękności Madonny, przerwał mi: — Te wszystkie Madonny wyglądają jak gdyby miały morską chorobę i zupełnie są pozbawione figur.

Potem powiedział mi, że bardzo lubi obrazy, ale nie tego rodzaju.

— Lubię, żeby ludzie wyglądali po ludzku nawet na płótnie — tłumaczył mi. — Ci wszyscy to zupełnie jak gdyby przeszli żółtą febrę w Afryce. Nie znoszę tych aureoli dookoła głowy i tych wszystkich rzeczy, a mężczyźni znowu są starzy i łysi. Ale niech pani nie uważa mnie za jakiegoś barbarzyńcę. Pani nauczy mnie rozumieć ich piękno, a wtedy z pewnością je polubię.

Odpowiedziałam mu, że i ja sama niewiele dbam o nie. Podoba mi się tylko koloryt.

— Och! Jakże się cieszę! — odrzekł. — Chciałbym, żeby nam się podobały te same rzeczy; ale żadne obrazy z najpiękniejszym kolorytem nie mogą mi się tak podobać jak pani włosy. To jest największe cudo, jakie widziałem w moim życiu, a przy tym pani je tak ślicznie układa. Tak mnie ucieszyły te słowa! Lord Robert ma taki miły sposób bycia i przy tym jest bardzo obyty i ma dużo wiadomości; nie jest ani trochę głupi ani tępy, tylko taki bardzo prosty i bez pretensji. Rozmawialiśmy poufnie i przyciszonymi głosami przez dłuższą chwilę i czuliśmy się zupełnie szczęśliwi. Pan Carruthers uwolnił się nareszcie od pana Bartona i przyszedł do nas. Usadowiłam się jeszcze wygodniej na aksamitnych poduszkach. Czerwone aksamitne poduszki i także portiery w tej galerii to stare, pocziwe relikwie z epoki wczesnej młodości królowej Wiktorii. Umeblowanie tego domu jest przeważnie okropne, ale te poduszki, te portiery zawsze mi się podobały.

Twarz pana Carruthersa była kamienna jak posagu Cezara Augusta. Wyobrażam sobie, że mnisi w czasach inkwizycji musieli podobnie wyglądać. Ciekawa byłam, co powie, ale lord Robert nie dał mu dojść do słowa. — Idź sobie stąd, Krzysztofie — rzekł po prostu. — Panna Travers wyklada mi o włoskich Madonnach i nie potrafię skupić uwagi, jeżeli ktoś trzeci będzie przy tym.

Przypuszczam, że gdyby pan Carruthers nie był dyplomata, to zakląłby w tej chwili, ale widocznie ten rodzaj wykształcenia uczy przybierać dowolny wyraz twarzy. Toteż nasz gospodarz uśmiechnął się słodziutko i zajął najbliższe krzesło.

— Nie zostawię was samych, Bobie — zaczął. — Nie uważam, żebyś był stosownym towarzyszem dla panny Eweliny. Jestem za nią odpowiedzialny i muszę się nią opiekować.

- Jeżeli lord Robert nie jest osobą godną zaufania, nie powinien pan go być tutaj zapraszać - wtrąciłam z niewinną minką - a zresztą włoskie Madonny mogą uszlachetnić i uwznioślić jego myśli. Poza tym ta „odpowiedzialność” jest wymyślona przez pana samego. Jestem jedyną osobą, która za mnie odpowiada i której powinnam słuchać - i energicznym ruchem oparłam się o aksamitne poduszki.

— Niestosownym towarzyszem! — wykrzyknął lord Robert. — Co u licha, Krzysztofie. Dobrze wiesz, że w całej gwardii konnej nie mam sobie równego.

Obaj się roześmiali i zaczęliśmy się we troje przekomarzać.

Wypowiedzi pana Carruthersa były subtelne, ostre i cienkie jak ostrze noża, a lorda Roberta śmiałe, proste, szczere i wszystkie wygłaszane z miną rozbawionego dziecka.

Kiedy uznałam, że jest im bardzo dobrze i że bardzo chcieliby jeszcze być ze mną, wtedy właśnie wstałam i powiedziałam im dobranoc.

Obaj odprowadzili mnie przez galerię, a w holu każdy z nich nalegał, żebym zapaliła świecę od jego świecznika. Obaj bowiem trzymali świeczniki i podawali mi je z przesadnymi ukłonami. Zirykowało mnie to, sama nie wiem dlaczego, toteż nagle zmarszczyłam się, ukłoniłam się obu, bardzo sztywno powiedziałam im dobranoc i z największą, na jaką mnie było stać, godnością weszłam na schody. Mogłam tylko dojrzeć, że brwi lorda Roberta podniosły się jeszcze żałośniejszym wyrazem niż zwykle i że przechylił piękny, srebrny świecznik tak, że krople stearyny kapały na dębową posadzkę.

Pan Carruthers stał całkiem spokojnie i odstawił swój świecznik na stół. Wyraz twarzy miał raczej rozbawiony i jakiś cyniczny. Sama nie wiem, dlaczego czułam w sobie coraz większą irytację i nieodwracalnie postanowiłam jutro wyjechać — ale dokąd? Los czy szatan tylko wiedział.

Gdy doszłam do mego pokoju, ścisnęło mnie coś za gardło. Weronika już się położyła, zmęczona całodziennym pakowaniem.

Poczułam się nagle strasznie osamotniona i całe podniecenie gdzieś znikło. Przez chwilę nienawidziłam tych dwu, tam na dole. Wyraźniej odczułam dwuznaczność całej sytuacji, a tak mnie bawiła jeszcze godzinę temu!

Wiem, że to jest głupie i śmieszne i że potem nos brzydko się czerwieni, ale jednak musiałam trochę popłakać przed położeniem się do łóżka.

BRAUCHES Sobota po południu, 5 listopada

Dziś rano obudziłam się z bólem głowy, a przez okno zobaczyłam, że pada deszcz i że jest mgła. Bardzo odpowiednia pogoda na dzień piątego listopada. Nie chciało mi się schodzić na śniadanie. Weronika przyniosła mi je na górę i ustawiła na stoliku przed kominkiem.

Po śniadaniu ze spartańską determinacją zabrałam się do pakowania i pracowałam przez cały ranek. «

Okolo dwunastej otrzymałem bilecik od lorda Roberta. Oto co zawierał: „Droga Pani, dlaczego Pani się ukrywa? Czy obraziłem czymś Panią wczoraj wieczorem, czy może znudziłem? Proszę mi przebaczyć i zejść na dół. A może to Krzysztof zamknął Panią w jej pokoju? Jeżeli tak jest, zamorduję go!

Szczerze pani oddany Robert Varassour"

„Nie mogę, pakuję się" nabazgrałam ołówkiem na kopercie i oddałam ją Karolowi, który czekał na odpowiedź w korytarzu. W dwie minuty potem lord Robert wszedł do pokoju przez drzwi, które służący zostawił otwarte.

— Przyszedłem pani pomóc — odezwał się tym swoim kochanym głosem, w którym brzmi pewność, że jest miły i pożądanym; nie sposób się na niego dąsać — ale dokąd pani jedzie?

— Sama nie wiem — odpowiedziałam trochę smętnie i z zapalem zaczęłam układać fotografie.

— Och, przecież pani nie może jechać sama do Londynu! — rzekł gwałtownie. — Proszę posłuchać, pojedę z panią i zawiozę panią do mojej ciotki, lady Merrenden. To taka dobra, miła kobieta i jestem pewien, że jak jej wszystko opowiem o pani, z największą radością zaopiekuje się panią przez ten czas, zanim pani sobie czegoś nie obmyśli.

Wyglądał tak pocziwie, a twarz miał taką dziecinną, że poczułam się wzruszona.

— Och, nie, lordzie Robercie! Ale w każdym razie dziękuję panu. Nie chcę nikomu mieć nic do zawdzięczenia — dodałam stanowczo. — Pan

Carruthers podaje mi sposób wyjścia z trudności — mianowicie chce, żebym wyszła za niego i została tutaj na zawsze. Nie wiem, czy tak naprawdę myśli, ale twierdzi, że tak.

Usiadł na brzeżku stołu założonego książkami; naturalnie przechylił stół i większa część książek spadła na podłogę.

— A więc ten stary lis Krzysztof chce się z panią żenić? — zapytał z takim przejęciem, że w ogóle nie zwrócił uwagi na spustoszenie, jakie zrobił w literaturze. — Ale pani nie robi tego, prawda? Zresztą, u diabła, nie powinienem tak mówić. Krzysztof to mój dobry kolega, diabelnie dobry kolega.

— Nie powinien pan tak często przeklinać, lordzie Robercie; mnie to bardzo razi przy moim wychowaniu — powiedziała z miną aniołka.

— Czyja przeklinałem? — zapytał zdziwiony. — Ależ nie, to są tylko takie niewinne ornamenty przy rozmowie. Ale nie będę tak mówił, jeżeli pani sobie tego nie życzy.

Potem pomógł mi ułożyć książki i był taki wesoły i miły, że i ja się rozpogodziłam, a pracowaliśmy tak, że do drugiego śniadania wszystko było skończone. Pozostawało tylko poobwiązywać kufry, pozabijać skrzynie i wszystko powy-nosić. Weronika także zrobiła wielkie postępy w sąsiednim pokoju i kiedy tam weszłam, stała właśnie przy toalecie sztywne i jakaś niezadowolona. Z szacunkiem i ostrożnie zaczęła mnie wypytywać po francusku, czy mam już jakieś plany, bo jak mi wyjaśniła, jej własna pozycja jest niewyraźna, ale ponieważ była przy mnie przez pięć lat, więc czuje, że nie powinna zostawiać mnie samej w podobnych okolicznościach. Ma jednak nadzieję, że panienka poweźmie jakąś stosowną decyzję i obawia się, aby się nie przewlekła (powiedziała to z całym szacunkiem) *une si drôle de position pour une demoiselle du monde*, zupełnie samej *avec ces messieurs*⁵.

⁵*Une si drôle...* (franc.) — ta niezwykła sytuacja dla panienki z towarzystwa [zupełnie samej] z tymi panami.

Nie mogłam się gniewać, bo to, co mówiła, było aż nadto prawdziwe. — Pojadę jeszcze dziś wieczorem do hotelu „Claridge”, Weroniko — zapewniałam ją — tym pociągiem o piątej piętnaście. Zatelegrafujemy do nich po śniadaniu.

Wydawała się zadowolona, lecz dodała, tak sobie ogólnikowo, że bogate małżeństwo byłoby najlepszym losem dla mademoiselle i jest pewna, że wielkie szczęście i najpiękniejsze klejnoty przypadłyby w udziale mademoiselle, gdyby zechciała pójść za jej radą. Nie ma nic świętego ani tajnego dla własnej pokojówki. Naturalnie wie już wszystko o panu Carruthersie. Biedna, stara Weronika! Mam dla niej obszerny i ciepły kącik w sercu — niekiedy traktuje mnie z lodowatym respektem niby jakąś królową, innym razem jestem znowu jej *enfant*, jest dla mnie prawdziwie macierzyńska i taka tkliwa! Znosi doskonale moje humory, a kiedy jestem najgorsza, pieści mnie, jakbym była dzieckiem.

Lord Robert opuścił mnie ociągając się i to dopiero wtedy, gdy odezwał się gong na drugie śniadanie.

— Czy nie było nam razem dobrze? — pytał z zupełną pewnością w głosie, że i ja muszę to samo odczuwać. To bardzo sympatyczna jego cecha, a ja jeszcze więcej sympatii czuję do niego, gdy patrzy mi w oczy swoimi błękitnymi, sennymi oczyma. A rzęsy to ma takie długie i zakręcone jak Cyga-niątko.

Gdy weszłam do jadalni, pan Carruthers był w niej sam. Wyglądał właśnie przez okno, a gdy weszłam, odwrócił się gwałtownie. Jestem pewna, że kiedy był chłopcem, lubił męczyć muchy. Oczy miał jak ze stali.

— Gdzie pani była przez cały czas? — zapytał, gdyśmy już sobie podali ręce i powiedzieli dzień dobry.

— Na górze, w moim pokoju, pakowałam się — odrzekłam z prostotą.

— Lord Robert był tak uprzejmy, że mi pomagał; skończyliśmy już prawie zupełnie, więc czy mogę poprosić o konie na ten pociąg piąta piętnaście? — Naturalnie, że nie! Co u diabła z tym lordem Robertem? Co on ma tam do roboty? — zawołał pan Carruthers. — Pani nie pojedzie. Ja pani nie puszczę. Drogie, śmieszne, śliczne maleństwo — mówił to zupełnie zmienionym ze wzruszenia głosem. — Ty naprawdę nie możesz iść w świat sama sa-

miusieńka, Ewelino, dlaczego nie chcesz wyjść za mnie? Ja — słuchaj mnie — ja sędzę... że będę cię naprawdę kochać.

— Ja muszę być *zupełnie pewna*, że człowiek, który żeni się ze mną, kocha mnie naprawdę, panie Carruthers — odpowiedziałam z namysłem — inaczej nigdy nie zdecyduję się ułożyć życia w ten sposób.

Nie miał czasu odpowiedzieć, bo właśnie pan Barton i lord Robert weszli do pokoju.

Nad śniadaniem wisiała jakaś czarna chmura. Zdarzały się ciągle pauzy w rozmowie, a lord Robert miał jeszcze żałośniejszy wyraz twarzy niż zwykle. On ma bardzo piękne, kształtne ręce, ale takie same ma pan Carruthers i obaj wyglądają jak prawdziwi dżentelmeni.

Zanim wstaliśmy od stołu, przyniesiono dla mnie list. Był on od lady Katarzyny Montgomeire. Píše w nim, że jest bardzo zmartwiona moim osamotnieniem i dlatego pyta, czy nie zechciałabym spędzić z nimi dwóch tygodni w Tryland Court?

List nie był zbyt zręcznie ułożony i co prawda nie przepadałam nigdy za lady Katarzyną, ale to bardzo uprzejmie z jej strony i pasuje do moich planów. Prawdopodobnie posłyszała coś o przybyciu pana Carruthersa i była zgorszona, że jestem sama z nim w domu.

Kiedy przeczytawszy list podniosłam oczy, dostrzegłam, że obaj panowie patrzą pilnie na mnie.

— Lady Katarzyna Montgomeire zaprasza mnie do Tryland — powiedziałam — więc wybaczą mi panowie, że wstanę, aby zaraz odpowiedzieć i napiszę jej, że przyjeżdżam dziś po południu — i wstałam od stołu.

Pan Carruthers wstał także i poszedł za mną do biblioteki. Zamknął starannie drzwi i podszedł do stołu, przy którym siedziałam.

— Dobrze, puszcę panią do niej na kilka dni, ale powie jej pani, że jesteśmy zaręczeni i że pobierzemy się jak tylko będzie można najprędzej.

— Nie, na pewno jej tego nie powiem — odrzekłam stanowczo. — Nie wyjdę teraz za męża, ani za pana, ani za nikogo, panie Carruthers. Co pan sobie myśli o mnie? Czy pan sobie wyobraża, że ja wróciłabym tu na zawsze i żyłabym z panem, kiedy nie znam pana ani odrobinę? I musiałabym może znosić,

żeby pan mnie całował i... i... inne rzeczy w tym rodzaju! To po prostu strach pomyśleć.

Roześmiał się tak, jakby był zły na siebie samego, że musi się śmiać.

— Ale gdybym obiecał, przypuśćmy, że nie będę pani całował?

— Nawet wtedy — odparłam i mimo woli zaczęłam gryźć koniec pióra — mogłoby się przecież tak zdarzyć, że ja nabrałabym ochoty całować kogoś innego. I co by wtedy było? Kiedy się jest zameżną, wszystko miłe staje się złem.

— Ewelino. Ja cię nie puszczę... z mojego życia, ty dziwna, mała czarodziejko... wzburzyłaś mnie, odmieniłaś zupełnie; nie mogę dojść do równowagi, nie mogę nic robić! Ja tak strasznie pragnę cię mieć przy sobie.

— Pfff! — roześmiałam się i zaraz zrobiłam nadąsaną minkę.

— Pan ma wszystko, co może wypełnić życie; stanowisko, bogactwo, przyjaciół, nie potrzebuje pan zielonookiej awanturnicy.

Siadłam i odpisałam lady Katarzynie. Zapewniłam ją, że będę u niej na pewno o szóstej po południu i najpiękniejszym swym stylem podziękowałam jej za zaproszenie.

— Jeżeli panią puszczę, to tylko na bardzo krótki czas — rzekł pan Carruthers, gdy podpisywałam się pod listem. — Ja nalegam i jeszcze raz nalegam, żeby pani wyszła za mnie.

— I znowu powtórzę *qui vivra verra* — roześmiałam się i powstałam z listem w ręku.

Lord Robert był bliski płaczu, kiedy mu powiedziałam, że wyjeżdżam dziś po południu.

— Ale ja wkrótce zobaczę się z panią — rzekł. — Lady Katarzyna jest krewną męża mojej ciotki, lorda Merrenden. Co prawda nie znam jej wcale.

Nie wierzę mu. Jakim sposobem mógłby się ze mną zobaczyć? Młodzi ludzie często mówią takie głupstwa!

— Przyjadę w piątek popatrzeć, jak tam pani jest — rzekł pan Carruthers. — Proszę, niech pani będzie w domu.

Obiecałam, że będę i poszłam na górę.

I tak skończyło się moje życie w Brauches. Zaczynam nową fazę egzystencji, mój pierwszy rozdział z żywota awanturnicy!

Jak zupełnie mogą się zmienić czyjeś pojęcia i plany w ciągu kilku dni. Trzy tygodnie temu pani Carruthers jeszcze żyła. Dwa tygodnie temu dowiedziałam się, że nie jestem spadkobierczynią jej majątku — a jeszcze trzy dni temu zupełnie spokojnie rozważałam możliwość wyjścia za pana Carruthersa. Za to dzisiaj — dzisiaj, wielkie nieba! — nie byłabym zdolna wyjść za nikogo. Och! Ja muszę zobaczyć świat, poznać mnóstwo różnych ludzi, muszę zbadać mechanizm tego olbrzymiego, potężnego zegara życia; dlaczego jego wskazówki posuwają się naprzód? I chcę tańczyć i śpiewać, i śmiać się, i żyć, i... i... może... tak, może kiedyś pocałować kogoś, kogo będę kochać!

TRYLAND COURT, HEADINGTON Środa, 9 listopada

Dobry Boże! Spędziłam tu całe cztery dni i wciąż pytam siebie, jak będę zdolna przeżyć resztę tych dwóch tygodni. Jeszcze przed wyjazdem z Brauches zaczęło mnie ssać w sercu, takie przykre i wzruszające były pożegnania z oficjalistami i ze służbą, która знаła mnie od dziecka; nie cierpię doświadczać czegoś podobnego, a szczególnie się rozgniewałam, gdy pod koniec tej sceny, kiedy jeszcze na dobre byłam zapłakana, wszedł pan Carruthers, a za nim lord Robert i zobaczyli to wszystko! Mrugałam i mrugałam oczami, ale łzy leciały mi jak groch, a nos robił się coraz czerwieńszy. Była to strasznie nieprzyjemna chwila.

Pan Carruthers bardzo się troszczył o moje wygody w podróży, ale mówił jeszcze zimniejszym tonem niż zwykle. Nalegał też, żebym koniecznie wypila trochę wiśniówki. Troszczył się o każdy szczegół i robił dużo hałasu... Było to zupełnie niepodobne do jego zwykłego sposobu bycia. Toteż przypuszczam, że i dla niego to był bardzo przykry i denerwujący kwadrans.

Lord Robert nawet nie próbował ukryć swego smutku; podszedł do mnie i wziął mnie za rękę, podczas gdy Krzysztof rozmawiał ze służącym, który miał mnie odwieźć i opiekować się moimi rzeczami.

— Pani jest takie kochane stworzenie — powiedział—i proszę pamiętać, bo to murowane, że przyjadę do lady Katarzyny

i zabawię tam jakiś czas, dopóki pani nie wyjedzie, żeby pani nie czuła się sama między obcymi.

Podziękowałam mu, a on tak serdecznie uścisnął mnie za rękę. Lubię lorda Roberta.

Bardzo prędko rozweseliłam się, a kiedy odjeżdżałam, ujrzeli mnie uśmiechającą się z okna karety i z tym uśmiechem niknącą we mgle.

Obaj stali na schodach ganku i kłaniali się.

Było już po herbacie, kiedy przybyłam do Tryland po długiej, posępnej podróży. Tłumaczyłam lady Katarzynie, jak mi przykro, że tak późno przyjechałam i prosiłam ją, żeby sobie nie robiła kłopotu z herbatą, ale nalegała, więc podano naprędce jakąś szkaradną herbatę z nie gotowanej wody i musiałam przełknąć całą filiżankę tej okropności; na dodatek była to cejlońska herbata, a ja nienawidzę cejlońskiej herbaty! Pan Montgomeire grzał się przed ogniem i zakrył go sobą całkiem, a my drżałyśmy z zimna, siedząc na ustawionych w półkole wielkich fotelach z wysokimi poręczami.

Ma taki dziwaczny zwyczaj wydymania policzków i wydaje wtedy jakiś osobliwy głos, coś w rodzaju: „Brrrr!", co brzmi bardzo groźnie, tym bardziej że zwykle bezpośrednio potem mówi coś ordynarnego lub nieprzyjemnego pod adresem któregoś z obecnych. A chociaż mnie jest bardzo dobrze z rudymi włosami, to jednak uważam, że czerwonowłosy mężczyzna jest chyba czymś najbrzydszym na świecie. Twarz ma czerwoną, a policzki i nos zupełnie purpurowe. i szorstkie, najeżone wąsy; tak najeżone, że mogłyby przestraszyć kota po ciemku!

Był dawniej bogatym szkockim fabrykantem, a biedna lady Katarzyna, wtedy uboga panna, musiała wyjść za niego; chociaż przypuszczam, że ponieważ sama jest Szkotką, to nie widzi całej jego szorstkości.

Mają dwóch synów i sześć córek: jedna zameżna, cztery dorosłe i jedna w szkole w Brukseli, a wszystkie mają czerwone włosy, ale proste i grube jak druty, a do tego piegi i białe rzęsy. Toteż bardzo to uprzejmie ze strony lady Katarzyny, że mnie zaprosiła.

Dobre są wszystkie i szczerze jak złoto i bardzo pracowite: jedna robi sznurkowe torebki, druga oprawia książki, trzecia haftuje obrusy na ołtarze, a czwarta robi trykoty na drutach

wszystko to na cele dobroczynne i jak tylko ktoś się zjawi w ich domu, zaraz go proszą, żeby coś kupił z ich prac na dochód ubogich. Ta, która haftuje, i ta, która robi na drutach, to znaczy Krysia i Joasia, siedziały razem z nami, a ta, co oprawia książki, i ta, co wiąże siatki, to znaczy Małgosia i Jessie, mają osobny pokój przy saloniku, swój „warsztat”, jak go nazywają. Musiały tam jeszcze pracować, jak przypuszczam, bo nie widziałam ich aż do obiadu. Od wieków spotykałyśmy się z nimi raz do roku u pani Carruthers w czasie Bożego Narodzenia i pamiętam, że nie cierpiałam ich tarlatanowych szarf, a przy tym wszystkie zawsze miały katar i newralgię w głowie, a jednego roku wszystkich pozarażały świnką, tak że na następny rok wcale ich nie zaproszono. Krysia, ta co haftuje na ołtarze, jest w moim wieku, trzy inne są starsze.

Naprawdę trudno mi było znaleźć coś do powiedzenia i dobrze rozumiem prostych ludzi, że kręcą się niespokojnie, kiedy są w takim niezręcznym położeniu. Nie kręciłam się na krześle od ośmiu lat, kiedy to pani Carruthers nakręciła mi za to uszy. Gdyśmy się rozchodzili ubierać do obiadu, pan Montgomeire zapytał mnie wprost, czy to prawda, że pan Carruthers przyjechał? Biedna lady Katarzyna już od kwadransa krążyła dyplomatycznie dookoła tego pytania.

Odpowiedziałam po prostu, że tak, ale to mu nie wystarczyło i zadawał mi mnóstwo pytań przeplatanych licznymi: Brrr! Czy pan Carruthers będzie polować na bażanty w listopadzie? Czy postanowił zatrzymać szefa swej kuchni? Czy wyrzeknie się dyplomacji? Powiedziałam, że naprawdę nic nie wiem o tym wszystkim, bo widywałam go tak mało...

Lady Katarzyna potakiwała głową, mierząc szal, który robiła szydełkiem, aby się przekonać, czy jest już dostatecznie długi.

— Wyobrażam sobie, jak okropny był dla ciebie ten jego przyjazd, moje dziecko; to było bardzo nietaktowne z jego strony, ale przypuszczam, że pilno mu było jak najprędzej obejrzyć dziedzictwo.

O mało się nie roześmiałam pomyślawszy, jaką to właściwie część dziedzictwa przyjechał obejrzyć. Lady Katarzyna pewno nie słyszała, że pani Carruthers oddała mu mnie w swojej ostatniej woli.

— Miałaś przynajmniej swoją starą guwernantkę przy sobie — ciągnęła, gdy szłyśmy po schodach — tak że mogłaś czuć się trochę spokojniejsza. To chyba najokropniejsza sytuacja dla młodej panny być samej w domu z nieżonatym mężczyzną.

Powiedziałam, że pan Barton był tam także, ale nie miałam odwagi opowiedzieć o lordzie Robercie. Wspomniałam tylko, że pan Carruthers miał przyjaciela, który był wielkim znawcą malarstwa i że go prosił, by ocenił jego obrazy.

— Och, to pewno jakiś rzeczoznawca! Mam nadzieję, że nie ma zamiaru sprzedawać Correggiów — wykrzyknęła.

— Nie, nie przypuszczam — odpowiedziałam, zostawiwszy kwestię rzeczoznawcy na boku.

Najbardziej zdawało się ją martwić to, że pan Carruthers jest nieżonaty, bo zanim doszliśmy do drzwi mojej sypialni, znów powróciła do tego tematu.

— Słyszałam jakieś pogłoski u panny Sheriton (sklep z włó- * czkami w Headington, najbliższym naszym miasteczku) — rzekła — i dlatego zaraz dzisiaj napisałam do ciebie. Wyobrażałam sobie, jakie by to musiało być okropne dla którejś z moich dziewczynek, gdyby ją tak zostawiono samą z kawalerem— dziwię ci się nawet, moje dziecko, że nie zamknęłaś się na klucz w swoich pokojach. Podziękowałam jej za życzliwość i nareszcie zostawiła mnie samą. Gdyby ona wiedziała! Ci kawalerowie, którzy zapuszczali się do dziecinnego pokoju, żeby poflirtować z mademoiselle, nie byli ani w połowie tak frywolni, jak ci, którzy przyjeżdżali z żonami. Lord Bentworth był żonaty i chciał, żebym go pocałowała, podczas gdy pułkownik Grimston nie miał żony i nigdy nie umiał powiedzieć ani be, ani me! I jestem ciekawa, co ona myślała, że pan Carruthers mi robi, kiedy mówiła, że lepiej byłoby zamknąć się w swoich pokojach. Może ona myśli, że dyplomaci, ponieważ mieszkają w cudzoziemskich krajach, są czymś w rodzaju dzikich zwierząt.

Mój tutejszy pokój wydał mi się okropny po ślicznych różowych kretonach w Brauches. Szkaradne, żółte, drewniane meble, źle podobierane, jak gdyby każdy był z innego kompletu, ale ponieważ są duże szafy, Weronika jest zadowolona.

Wszyscy siedzieli w salonie, kiedy zesłam na dół, a Malcolm, starszy syn, który jest w pułku górskiej obrony krajowej, właśnie przyjechał pociągiem o siódmej.

Doznałam niemiłego uczucia, że się bardzo spóźniłam i że pan Montgomeire, czekając na mnie, musiał przeklinać, chociaż była dopiero minuta po kwadransie na dziewiątą.

Kilka razy powtórzył swoje: „Brrr!” i popędził do jadalni, ciągnąc mnie ucepioną jego ramienia i mruczając, że kucharz nie ma szczęścia, bo obiad przestał się tak długo. Nic więc dziwnego, że spodziewałam się jakiegoś nadzwyczajnego jedzenia, tymczasem nie było ani w połowie tak dobre jak w Brauches. A służący nie są jednakowego wzrostu i ich liberie nie leżą tak dobrze jak u naszych; pani Carruthers bardzo zwracała na to uwagę.

Malcolm jest przezabawnym człowiekiem. Niższy ode mnie, cienki jak patyk i robi takie wrażenie, jak gdyby jego kolana były za blisko siebie. Musi okropnie wyglądać w spódniczce szkockich żołnierzy i jestem pewna, że gdy dmie wiatr, on się trzęsie i chwieje. Przynajmniej na to wygląda. Nie lubię tych spódniczek ani w ogóle stroju szkockich żołnierzy, chyba że ludzie, którzy go noszą, są wszyscy silni, jak ulani z brązu, i zbudowani tak, że nie muszą się wstydzić swoich gołych nóg.

Widziałam kiedyś w Edynburgu maszerujące takie piękne okazy, o jakich mówię; szli wspaniale, a w marszu powiewali spódniczkami jak piękne panie w Lasku Bulońskim. Kiedy przechodzili aleją, pani Carruthers zawsze mówiła mnie i mademoiselle, żebyśmy próbowały iść tak samo.

Lady Katarzyna mówiła podczas obiadu bardzo wiele o polityce i o różnych swoich filantropijnych dziełach, a cztery dziewczyny słuchały z takim szacunkiem i z takim zainteresowaniem! Za to pan Montgomeire sprzeczał się z nią i oponował, ile razy tylko mógł. Byłam zadowolona, kiedyśmy wreszcie wrócili do salonu.

Pierwszy wieczór był najgorszy ze wszystkich, bo byliśmy sobie tak zupełnie obcy; po pewnym czasie nawet w najgorszych warunkach człowiek się trochę aklimatyzuje.

Lady Katarzyna zapytała, czy nie mam jakiejś zaczętej robótki. Joasia zaczęła już swoje trykoty, a Krysia haftowała dalej obrus.

— Pozwól, niech Małgosia pobiegnie do twojego pokoju i przyniesie ci robótkę — rzekła.

Musiałam jej powiedzieć, że nigdy nie zajmuję się żadnymi robótkami.

— Ale za to umiem... umiem ubierać kapelusze — powiedziałam.

Zaczęło mi się to wydawać wstydem, że nie umiem nic robić tak jak one i czułam, że muszę to powiedzieć niejako we własnej obronie.

Jednak lady Katarzyna uznała, że to nie jest zbyt odpowiednie zajęcie dla młodej damy.

— Jaka ty musisz być zręczna! — zawołała z radością Krysia. — Jak ja bym chciała to umieć! Ale czy nie sądzisz, że to jest trochę mało praktyczne? Nie możesz przecież ciągle ubierać kapeluszy, bo ci ich nie wystarczy. Czy nie czujesz potrzeby ciągłego zajęcia?

Musiałam im powiedzieć, że dotychczas nie czułam tej potrzeby, ale nie mogłam im powiedzieć, że najlepiej lubię siedzieć spokojnie, nic nie robiąc.

Jessie i Małgosia układały pasjansy na dwóch rozkładanych stolikach, a robiły to z tak mechaniczną wprawą i z takimi minami, że na pewno musiały robić to samo co wieczór, i przez cały czas mojego tutaj pobytu będę co wieczór widziała te dwa stoliki rozstawione na tych samych kwadratach podłogi. Robią to, jak przypuszczam, dlatego, że nie mogą swoich sieci i warsztatu introligatorskiego przynosić do salonu.

— Może zechcesz nam coś zagrać? — zapytała żałośnie lady Katarzyna. Najwidoczniej nie wolno było nic nie robić; wstałam więc i podeszłam do pianina.

Na szczęście umiem grać dużo utworów z pamięci i lubię grać, toteż grałabym i grała bez końca, żeby jakoś ten czas zapełnić, ale oni po każdym skończonym utworze mówili mi chórem: „Dziękuję” i to mnie zupełnie zbijało z tropu.

Pan Montgomeire i Malcolm całe wieki marudzili w jadalni i widziałam, że lady Katarzyna jest z tego powodu niespokojna. Kilka drobiazgów przy obiedzie dało mi poznać, że ci dwaj panowie nie są ze sobą w najlepszych stosunkach; lady Katarzyna obawiała się, że teraz wybuchnie między nimi burza. Szkoci, jak mawiała pani Carruthers, mają zawsze

takie szorstkie obyczaje, że inne narody z trudnością mogą z nimi wytrzymać.

Wrócili nareszcie i pan Montgomeire był całkiem purpurowy na twarzy, a Malcolm bladozielony, ale żadnych sińców na sobie nie miał; można było zaraz poznać, że się musieli okropnie kłócić.

Jednak wysokie urodzenie zawsze coś znaczy, choćby się nawet pochodziło z barbarzyńskiego kraju. Lady Katarzyna tak dobrze się zachowała: mówiła o polityce i o filantropii płynniej niż kiedykolwiek i nie zostawiła im po prostu czasu na dalsze wybuchy, chociaż słyszałam różne „diabły” i „czorty” zmieszane z licznymi „brrr!” i te diabły nie były tak wypowiedane jak niewinne „ornamenty” lorda Roberta.

Jakiż to był straszny wieczór.

Środa, 9 listopada (dalszy ciąg)

Następnego dnia, gdyśmy szli do kościoła, Malcolm szedł obok mnie. Był trochę mniej przygnębiony, a ja jeszcze starałam się go rozweselić. Nie powiedział mi, jakiego rodzaju były jego kłopoty, ale wspomniała mi o tym Joasia, gdy dziś rano przyszła do mego pokoju zobaczyć, czy jestem gotowa. Jak się zdaje, ma on kłopoty z powodu konia imieniem Angela Grey. Joasia dowiedziała się o tym od lady Katarzyny, która mówiła jej, że ojciec dlatego tak się gniewa na niego, że wydał bardzo dużo pieniędzy na tego konia.

Według mnie wcale to nie brzmi jak imię konia i tak też powiedziałam Joasi, ale ona była okropnie zgorszona i powiedziała, że to musi być koń, bo oni nie znają żadnej Angeh Grey i nawet nie słyszeli o żadnych Greyach, a więc to na pewno jest koń!

Myszę, że to śmieszny argument, a pani Carruthers zawsze mówiła, że młodzi ludzie znają różne osoby, których znać me powinni i śmieszne byłoby robić historie z tego powodu; nic na to nie można poradzić, zresztą byłoby bardzo nudno, gdyby młodzi ludzie byli rozważni jak młode dziewczęta.

Przypuszczam jednak, że lady Katarzyna zapatruje się na te rzeczy inaczej niż pani Carruthers, a córki są do niej podobne. Zapytam lorda Roberta, gdy go zobaczę, czy to jest koń, czy nie. Malcolm nie jest pociągający, toteż byłam zadowolona, że do kościoła niedaleko.

Nie wolno używać powozu w niedzielę, więc szliśmy piechotą, a gdyśmy wracali, zaczął padać deszcz i nie mogliśmy obejść stajen, co, jak myślę, jest tutaj stałym zwyczajem w każdą niedzielę.

Wszystko tu się robi, bo taki zwyczaj, a nie dlatego, że to kogoś bawi. — Kiedy pada deszcz i nie możemy iść do stajen — mówiła Krysia — oglądamy stare „Ilustrowane Nowości Londyńskie”, a po południowym nabożeństwie oglądamy dalej.

Nie miałam specjalnej ochoty na to zajęcie, więc możliwie najdłużej pozostawałam w swoim pokoju. Wszystkie dziewczęta siedziały dokoła szerokiego stołu w holu, a każda miała przed sobą ogromny i bardzo gruby tom ilustracji. Pewno znają już wszystkie rysunki, jeżeli oglądają te tomy w każdą dżdżystą niedzielę, a cały okrągły rok spędzają w Anglii!

Joasia zrobiła mi miejsce obok siebie.

— Jestem właśnie w „sześćdziesiątych latach” — powiedziała.

Skończyłam „pięćdziesiąte” na Wielkanoc.

A więc widocznie i to robią metodycznie.

Zapytałam ją, czy nie ma jakichś nowych książek wartych przeczytania, ale odpowiedziała mi, że lady Katarzyna nie lubi, żeby przeglądały miesięczniki powieściowe albo czytały powieści, chyba że je sama wpierw przejrzy; ale że ma mało na to czasu, więc pozostało im tylko kilka książek, które czytają stale w niedziele między herbatą a obiadem. W tej chwili poczułam, że muszę popełnić jakieś szaleństwo. Gdyby się nie odezwał gong na śniadanie, kto wie, co by się stało.

Pan Montgomeire był dla mnie bardzo uprzejmy i nawet zaczął prawić mi komplementy, gdy zjawiły się sery i portwajn. Dziewczęta wyglądały na bardzo zgorzone, a lady Katarzyna siedziała nieruchomo z kamienną twarzą. Pewnie dlatego tak postępował, że jest żonaty. Jestem ciekawa, czy młodzi żonaci mężczyźni są podobni do starych, bo nie znałam żadnego.

Wieczorem, w poniedziałek, zaczęło mi się wydawać, że chyba zbliża się koniec świata. Ależ to jeszcze gorsze niż ukrywanie moich uczuć przed panią Carruthers i ciągle uleganie jej. Dziesięć razy gorsze! Bo ona przynajmniej mówiła do mnie od czasu do czasu cyniczne, interesujące rzeczy, albo rozmawiała ze swymi przyjaciółmi tak, że można się było uśmieć. I czuło się w każdym razie, że ona robi wszystkich dookoła zależnymi od siebie, dlatego że jest tak bardzo samolubna, ale że naokoło świat jest wolny, byle się tylko stąd wyrwać. Ale lady Katarzyna i całe to *müieu6* Montgomeire'ow robią wrażenie, że wszystko i wszyscy muszą być ograniczeni prawidłami i że nikt nie ma prawa do indywidualnej opinii, nikt i w żadnej sferze społecznej. Człowiek po prostu zapomina się śmiać, bo oni oczadzają cię, zatruwają ci duszę. Nie mogę się doczekać przyjazdu pana Carruthersa. Miał przyjechać dzisiaj po południu. Nieraz rozpamiętuję dni pobytu w Brauches; jakie to było podniecające spędzać tam czas z tymi dwoma i jak ja bym chciała, żeby to wróciło!

Próbowałam być grzeczną i przyjazną dla nich, ale nie widać wcale, żeby im to sprawiało jakąś przyjemność.

Malcolm wciąż mi się przygląda baraniami oczyma. Ma oczy wodnistoniebieskie z dziedzicznymi białymi rzęsami (jakże różnymi od rzęs lorda Roberta!). Maniery ma poprawne, ruchy wymierzone, słowa też, nigdy nie używa najmniejszego słówka z żargonu studenckiego, artystycznego czy żołnierskiego. Powinien być właściwie młodym wikarym i nie mogę go sobie wyobrazić, wydającego pieniądze na jakąś Angelę Grey, bez względu na to, czy to jest koń czy nie.

Rozmawia ze mną jak tylko może najczęściej i zaprasza mnie do spacerów dookoła terenu, na którym grywają w golfa. Dziewczeta grywają co dzień rano przez godzinę i trzy kwadranse. Niczym się nie bawią i niczym nie cieszą — całe ich życie jest solidnym obowiązkiem. Siedzę teraz w swoim pokoju, a Weronika była taka mądra, że wcześniej rozpałała ogień na kominku. Przypuszczam, że pan Carruthers nie przyjedzie przed czwartą, więc trzeba

jeszcze godzinę czekać. Powiedziałam, że muszę napisać listy, jakoś się wymknęłam i nie musiałam iść na codzienną przechadzkę.

Mam nadzieję, że będzie na tyle sprytny i zapyta o mnie, nawet gdyby lady Katarzyna nie powróciła jeszcze do domu.

Dziś rano było takie czyste, świeże i mroźne powietrze, że wstąpił we mnie jakiś diabełek. Byłam taka rozbawiona, że gdy Malcolm odezwał się swoim zwykłym, cedzonym, przesadnym głosem: „Miss Travers, czy będę dziś miał przyjemność zabrania pani na małą przechadzkę”, zerwałam się i nie pytając o zdanie lady Katarzyny zbiegłam na dół, porwałam jakieś pierwsze lepsze okrycie i wyszliśmy.

Miałam uczucie, że robię coś bardzo złego i że wszyscy sobie właśnie to pomyśleli, no i naturalnie zrobiłam się jeszcze gorsza. Mówiłam Malcolmowi dużo miłych rzeczy i co chwila patrzyłam na niego spod rzęs. Tak że gdy doszliśmy do przełazu w płocie, koniecznie chciał mi pomóc przejść, a oczy miał zupełnie głupie. Ma taki chichotliwy dyszkantowy śmieszek i wybucha nim w zupełnie niespodziewanej chwili, kiedy nie ma się z czego śmiać. Chyba dlatego, że jest Szkotem, dopiero po bardzo długiej chwili chwytą znaczenie jakiegoś żartu. Na nic się nie zda mówić do niego rzeczy tego rodzaju, co do lorda Roberta albo do pana Carruthersa, bo zapomniałoby się już dawno o czym była mowa, a on dopiero wtedy zrozumiałby, o co chodzi, jeżeli w ogóle by rozumiał. Był taki stary sir Tomasz Farquarson, który nieraz przyjeżdżał do Brauches i zawsze w lot pojmował najcieńsze żarty pani Carruthers, tak cienkie, że nawet ja ich wcale nie rozumiałam — i był Szkotem! Widocznie Szkoci są tacy tępi tylko wtedy, jeżeli mają czerwone włosy.

Kiedy usiadłam na płocie, Malcolm nagle odezwał się: „Słyszałem, że pani stąd pojedzie do Londynu. Mam nadzieję, że pozwoli mi pani odwiedzić się, chociaż wolałbym, żeby pani tutaj została na zawsze”.

— Niech Bóg broni! — zawołałam i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że to nie wyszło bardzo grzecznie, a oni przecież byli tacy życzliwi dla mnie. — Bo, widzi pan — jękałam się — tutaj okolica jest bardzo nudna — czy **pan** nie uważa, że **tak na** stałe to byłoby tu nudno? — Tak — odpowiedział z przesadą — dla mężczyzn oczywiście tak, ale w tym otoczeniu chciałbym zawsze widzieć kobiety, które szanuję.

— Czy miasta są tak niebezpieczne i przewrotne? — zapytałam tym swoim głosem małego aniołka. — Niech mi pan opowie o ich zasadzkach, żebym ich łatwiej mogła uniknąć.

— Niech pani przede wszystkim nie słucha, jak różni ludzie będą pani mówić, żeby pani z nimi „zaczęła”, tak, jak mi to już pani raz opowiadała. Osoba tak młoda znajdzie, obawiam się, ścieżkę swojego życia najeżoną samymi pokusami.

— Och, niech mi pan o nich opowie — błagam. Ja zawsze tak chciałam się dowiedzieć, czym są pokusy. Proszę, niech pan powie. Jeżeli na przykład pan przyjdzie do mnie, to czy będzie pan pokusą? Albo może pokusa to jest rzecz, nie osoba?

Patrzyłam na niego uważnie i badawczo; zakaszłał z pompatyczną miną. Tak, zdaje mi się, że ja byłym pokusą — rzekł skromnie. — Pokusy są to... hm! hm! Och, naprawdę... wie pani... sam nie wiem, jak to powiedzieć.

— Och, co za szkoda — zawołałam z żalem. — Tak się spodziewałam dowiedzieć wszystkiego od pana — tym bardziej że pan jest jednym z tych ludzi... wie pan...

Wyglądał na bardzo zadowolonego, ale jeszcze był zmieszany.

— Widzi pani, jak pani będzie sama w Londynie, to jakiś mężczyzna mógłby się w pani zakochać.

— Och, czy pan *naprawdę* tak myśli? — zapytałam pośpiesznie. — To byłoby okropne, gdybym tak znalazła się z nim sama w pokoju. Czy to nie byłoby dobrze, jak pan myśli, żebym zostawiła drzwi od saloniku otwarte i umieściła Weronikę w drugim pokoju?

Spojrzał na mnie bystro, ale zobaczył tylko słodką twarzyczkę bezbronnego aniołka i uspokoiwszy się, że mówię poważnie, zdecydował:

— Tak, to mogłoby być bardzo dobrze.

— Zdziwił mnie pan swoim poglądem na miłość — rzekłam znowu — nie przypuszczałam, żeby to mogło być coś tak gwałtownego. Zawsze myślałam, że miłość zaczyna się od poważnych względów i wielkiego szacunku — a po całych latach konkurów, po ofiarowywaniu kwiatów, po unizonych

komplementach, po wielu herbatkach z kanapkami dżentelmen klęka wreszcie na jedno kolano i powiada: „Klaro Mario, ubóstwiam cię, bądź moja”, a ona podaje mu białą jak lilia rączkę, czerwieni się i prosi go, żeby powstał — ale pan widocznie nie jest tego rodzaju i... i... jeszcze mi pan nie wyjaśnił, co to jest pokusa⁹

— Pokusa jest wtedy, gdy się mniej lub bardziej silnie pragnie czegoś, czego się pragnąć nie powinno.

— Och, w takim razie — rzekłam — ja co chwilę doznaję pokus, a pan nie? Na przykład bardzo często mam ochotę podrzeć haftowane obrusy Krysi, porwać trykotowe arcydzieła Joasi, okładki Małgosi i siatki Jessie.

Wyglądał na okropnie zgorszonego i urażonego, więc dodałam jeszcze: — Naturalnie, to musi być bardzo miło umieć robić takie rzeczy. To są bardzo poczciwe dziewczęta i takie rozsądne, a ja jeżeli doznaję podobnych uczuć, to tylko dlatego, że jestem zupełnie odmienna. Spojrzał na mnie krytycznie.

— Tak, pani jest zupełnie odmienna; chciałbym, żeby pani spróbowała być trochę bardziej podobna do moich sióstr. Wtedy nie denerwowałbym się tak bardzo tym pani wyjazdem do Londynu.

— To naprawdę zbyt uprzejmie z pana strony, że pan się tak o mnie troszczy — rzekłam chłodno — ale nie sądzę, żeby zachodziła potrzeba niepokojenia się. Mam bowiem silne podejrzenie, że doskonale potrafię sama sobie dawać radę — pochyliłam się do niego, roześmiałam mu się prosto w twarz i zeskoczyłam z płotu na drugą stronę.

Wyglądał tak niepozornie, jak wyrostek, kiedy gonił za mną, ale widocznie próżność mężczyzn, bez względu na ich wzrost, jest zawsze jednakowo wielka. Wyobrażał sobie, jestem pewna, że byleby tylko zaczął mówić o miłości, a natychmiast, jak dojrzała brzoskwinia, wpadnę mu prosto w usta.

Dokuczałam mu przez całą powrotną drogę, aż do samego śniadania, tak że w końcu nie wiedział, gdzie ma głowę, a gdzie nogi! I akurat, gdy doszliśmy do drzwi, powiedział:

— Ja myślałem, że pani na imię Ewelina. Dlaczego pani powiedziała, że Klara Maria?

— Dlatego, że tak nie jest! — roześmiałam się przez ramię i weszłam do domu.

Został na schodach z bardzo zakłopotaną miną i gdyby był chłopcem sklepowym, na pewno podrapałby się w głowę.

Muszę już przerwać to pisanie i ubierać się. Włożę czarną wizytową sukienkę; jest bardzo elegancka. Pan Carruthers zobaczy, że nie zaraziłam się brakiem szyku od moich gospodarzy!

W nocy

Myślę, że mężczyźni są naj wstrętniejszymi stworzeniami na świecie; nie można wierzyć temu, co mówią, ani polegać na nich, choćby przez pięć minut! Pani Carruthers miała rację, gdy mówiła: „Ewelino, pamiętaj, że już dość trudno jest wierzyć sobie samej. Nie potrzeba jeszcze w dodatku wierzyć mężczyźnie”.

Jakież ja miałam popołudnie! To nieznośne uczucie oczekiwania na coś i na próżno, wciąż na próżno. Bo pan Carruthers wcale się nie zjawił.

Tak żałuję, że przebierałam się i czekałam na niego.

Prawdopodobnie gratulował sobie po moim wyjeździe, że mu się udało szczęśliwie wyplątać z tego interesu. Jestem pewna, że sam nie wierzył w to, co mówił do mnie. Nie musi się niepokoić! Nie mam zamiaru rzucać mu się na szyję — chciałabym tylko go zobaczyć, bo jest podobniejszy do ludzi i nie taki jak ci wszyscy tutaj.

Naturalnie z lordem Robertem będzie to samo i prawdopodobnie nigdy już żadnego z nich nie zobaczę. Bo i jakżeby mógł lord Robert tutaj przyjechać, skoro wcale nie zna lady Katarzyny. Tak tylko sobie mówił, by mi powiedzieć coś przyjemnego na wyjeździe, ale jest taki sam wstrętny jak pan Carruthers.

Gratuluje sobie, że nic nie powiedziałam lady Katarzynie; dopiero bym teraz miała głupią minę. Och, co ja zrobię ze sobą, co ja zrobię! Nie mam zupełnie pojęcia, ile co kosztuje. Może trzysta funtów na rok to jest bardzo biednie. Zdaje mi się, że moje najlepsze suknie kosztowały po pięćset i po sześćset franków każda, a w hotelach pieniądze płyną jak woda. Na razie jednak jestem bogata, bo pan Barton był tak uprzejmy,

że dał mi awansem znaczną część mego dziedzictwa. Pojadę, och, i nareszcie zobaczą życie, więc czy to jest sens się smucić? Pójdę spać i zapomnę o dzisiejszej przykrości.

W przyszłym tygodniu odbędzie się tutaj polowanie na bażanty. Ciekawa jestem, czy przyjadą sami starzy jegomoście. Nie znam nazwisk gości, których się tu spodziewają.

Lady Katarzyna rozmawiała ze mną o tym po obiedzie. Powiedziała, że obawiała się zrobić mi przykrość tym zaproszeniem gości z powodu mojej ciężkiej żałoby i że wobec tego wcale nie będą na mnie nalegać i nie wezmą mi za złe, jeżeli będę jadała w swoim pokoju.

Ależ ja nie chcę jadać w swoim pokoju! Pomyśleć tylko, jakie by to było nudne! I może jeszcze słuchać śmiechów dolatujących z dołu?

Bardzo lubię przyglądać się obcym twarzom. Doskonale się tym bawię. Toteż podziękowałam jej; powiedziałam, że to będzie zupełnie niepotrzebne, bo muszę się przyzwyczaić do widywania ludzi w najbliższej przyszłości, a nie mogę liczyć na to, że zawsze spotkam gospodynię tak uważającą i tak uprzejmą.

Zgodziła się z moim zdaniem, ale bardzo chłodno.

Jutro przyjeżdża pani Mackintosh, najstarsza córka, z czworgiem dzieci. Przypominam sobie jej wesele przed pięcioma laty. Od tego czasu nie widziałam jej. Pamiętam, że była bardzo wysoka i cienka i garbiła się okropnie, a pani Carruthers zawsze mówiła, że Opatrzność i tak jest łaskawa dając jej męża. Ale co prawda, gdy zobaczyłam tego pana Mackintosha, drepczącego przez kościół obok niej, a sięgającego jej ledwie do łokcia, byłam innego zdania.

Taki mały, drewniany człowieczek, tylko go wziąć pod pachę i nosić. Och, nie zniosłabym, żeby być związana z kimś podobnym! Zresztą być z kimkolwiek związanym nie musi być bardzo przyjemnie. Sama się sobie dziwię, jak mogłam kiedyś myśleć o wyjściu za mąż za pana Carruthersa, tak sobie, od ręki!

Teraz czuję, że przez wiele lat nie mogłabym wyjść za mąż, po prostu nie mogłabym. Naturalnie nie myślę zostać starą panną! Ale przede wszystkim muszę zobaczyć życie!

TRYLAND, czwartek, 10 listopada
„BRAUCHES, środa

Droga Pani, niewymownie żałuję, że nie mogłem dziś przyjechać do Tryland, ale myślę, że uda mi się to zrobić, zanim Pani stąd wyjedzie. Mam nadzieję, że Pani dobrze się miewa i że się Pani nie zaziębiła w podróży.

Bardzo oddany Krzysztof Carruthers".

To właśnie dostałam dziś rano. Proszę!

Dobrze, nie będzie mnie w domu, kiedy przyjedzie — wyobrażam sobie, jaki musi być zadowolony, że pokusa usunęła się z drogi (przyszła mi na myśl rozmowa z Malcolmem); na pewno cieszy się, że mu się udało wykręcić, bo nie jestem żadną znakomitością.

Listy przyszły wcześniej, jak zwykle tutaj, ale były w torbie, którą tylko pan Montgomeire może otwierać; trzeba czekać, aż wszyscy usiądą przy śniadaniu, a on dobierze klucz, otworzy i rozda wszystkim.

Do mnie był tylko list od pana Carruthersa, a na kopercie było wydrukowane: Brauches, co zwróciło uwagę pana Montgomeire, toteż zaczął swoje: „Brrr!” i nie dał mi prawie przeczytać listu, tylko zaczął rozmowę o Brauches i o panu Carruthersie, chcąc mnie w ten sposób skłonić do zakomunikowania mu treści listu. To bardzo ciekawy człowiek.

— Carruthers jest doskonałym towarzyszem i mówią mi też, że dobrze strzela. Mogłabyś napisać do niego, Katarzyno, czy jest sam w Brauches —jednym okiem spojrział pytająco na mnie.

Milczałam.

— Może wyjechał do Londynu? Udawałam bardzo zajętą piciem kawy.

— Najlepsze polowanie na bażanty w całym hrabstwie, a było zupełnie dawniej niedostępne; spodziewam się, że będzie bardziej po sąsiedzku usposobiony i że będzie strzelał do bażantów jeszcze przed grudniem? Smarowałam grzanek masłem. Wtedy zaczęły się niezliczone: „Brrr!”

— Mimo woli dojrzałem, że list pani był z Brauches. Czy ma pani jakieś nowiny od Carruthersa?

Ponieważ zwrócił się wprost do mnie, byłam zmuszona odpowiedzieć.

— Nie mam żadnych informacji. To list tylko w interesie — i znowu zaczęłam jeść grzanki.

„Brrr” rozlegało się częściej niż kiedykolwiek, ale już przestał o tym mówić i otworzył któryś z własnych listów.

— Co ja teraz zrobię, Katarzyno? — odezwał się nagle. — Ten przeklęty Champion wymyka mi się i nie obiecuje przyjechać na przyszły tydzień, a to moja najlepsza strzelba. W tak krótkim terminie nie będę mógł go zastąpić myśliwym tej samej klasy.

— Tak, mój drogi — odpowiedziała lady Katarzyna tonem, z którego jasno wynikało, że nie ma pojęcia, o co chodzi — była zagłębiona w czytaniu swoich listów.

— Katarzyno! — ryknął pan Montgomeire — czy nie zechcesz łaskawie słuchać, kiedy ja mówię — brrrr! — i uderzył pięścią w stół.

Porcelana zabrzęczała, a biedna lady Katarzyna aż podskoczyła.

— Przepraszam cię, Andersonie — rzekła pokornie. — Co mówiłeś?

— Champion odrzucił moje zaproszenie — wyjaśnił pan Montgomeire.

— W takim razie może ja będę miała coś dla ciebie — rzekła z ulgą lady Katarzyna, powracając do swoich listów. — Zofia Merrenden pisze właśnie do mnie i między innymi donosi mi o swoim siostrzeńcu, lordzie Robercie Varassour — wiesz, ten przyrodni brat księcia Torquillstone. Powiada, że to jest najmilszy młody człowiek i doskonały myśliwy, a nawet poddaje projekt (zajrzała do listu), że może mógłby nam być użyteczny, jeżeli brakuje nam strzelb.

— Niech ją diabli wezmą — mruknął pan Montgomeire. Mam nadzieję, że nie zauważyli, jak nagle drgnęłam z radości, a policzki — czułam to — silnie mi się zaczerwieniły.

— Merrenden, jak wiesz, jest najlepszym znawcą polowania w całej Anglii — ciągnęła lady Katarzyna urażonym głosem — toteż wątpię, czy Zofia polecałaby nam swego siostrzeńca, wiedząc, że nie potrafiłby spełnić naszych wymagań.

— Ale przecież ty nie znasz tego gagatka, Katarzyno. Serce we mnie zamarło.

— To nie ma żadnego znaczenia; jesteśmy przecież nawet spokrewnieni. Merrenden jest moim ciotecznym bratem; zapomniałeś o tym, jak mi się zdaje.

Na szczęście lady Katarzyna obraziła się i zacięła. Wypiłam jeszcze trochę kawy. Och, jak to cudownie, że lord Robert tu przyjedzie! Pan Montgomeire robił swoje „Brrr!” jeszcze częściej niż zwykle, ale lady Katarzyna obchodziła go zręcznie ze wszystkich stron i zanim skończono śniadanie, już zapadła decyzja, że napisze do lorda Roberta i zaprosi go na polowanie.

Później, gdyśmy wszystkie stały w oknie patrząc na deszcz, posłyszałam, jak mówiła do męża zniżonym głosem:

— Doprawdy, Andersonie, musimy czasem myśleć o dziewczętach. Torquilstone jest starym kawalerem i do tego kaleką. Prędzej czy później Robert na pewno zostanie księciem.

— No to złap go, jeżeli potrafisz — mruknął pan Montgomeire. On jednak naprawdę bywa czasem za szorstki.

Nie pozwalałam sobie za dużo myśleć o lordzie Robercie, bo pan Carruthers dał mi dobrą lekcję, ale jeżeli rzeczywiście tu przyjedzie, wątpię, czy lady Katarzynie spodoba się to, że nic nie wspomniałam o naszej znajomości, gdy pierwszy raz mówiła o nim. Teraz już za późno i nic na to nie poradzę.

Rodzina Mackintoshów przyjechała dziś po południu. Widocznie małżeństwo różnie działa na różnych ludzi. Znałam bardzo dużo miłych mężatek w Londynie i, jak słyszałam, przeważnie zyskały i wyładniały po ślubie, ale Mary Mackintosh jest po prostu okropna. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia siedem lat, ale wygląda na co najmniej czterdzieści; i do tego taka chuda i niezgrabna, i wszystko ma w złych proporcjach, i tam gdzie powinny być wypukłości jest płaska, a wszystkie wypukłości ma w nieodpowiednich miejscach. I czworo dzieci! Dwoje starszych wygląda, jak gdyby były w tym samym wieku, trzecie jest trochę mniejsze, najmłodsze to jeszcze niemowlę, a wszystkie są niesłychanie wrzaskliwe i grymaśnei chociaż mają całe mnóstwo nianiek i opiekunek, pan Mackintosh też musi być czymś w rodzaju niańki. Nosi je i prowadzi, i daje im swoje chustki, kiedy kichają — ale może

robi to tak chętnie z dumy, że człowiek takiego wzrostu jak on może być ojcem czworga takich rosłych dzieci, w ogóle jakichkolwiek dzieci.

Ale to wszystko razem jest po prostu okropne.

Popołudniowa herbata była istnym piekłem. Cztery ciotki rozpływały się nad bębniami, opychały je ciastkami, szczebiotały cały czas: „Caca, lala, cium-cium, bla-bla” i wydawały inne tego rodzaju dźwięki. Jestem przekonana, że kiedy będą starsze, nauczą się tak jak i ich ojciec mówić: „Brrrr!” Jestem ciekawa, czy i przez czas polowań dzieci będą każdego popołudnia schodzić na dół? Wyobrażam sobie, jaka to będzie przyjemność dla gości!

Powiedziałam Joasi, gdyśmy szły na górę, że małżeństwo wydaje mi się czymś okropnym i zapytałam ją, czy i jej także? Ale ona była zgorszona i powiedziała, że nie, że małżeństwo i macierzyństwo są najświętszymi obowiązkami i że ona zazdrości swej siostrze!

Ja nie taki mam pogląd na szczęście. Dwoje bardzo dobrze wychowanych dzieci to może być miłe, ale czworo wrzeszczących diabląt prawie w jednym wieku to jest strasznie *bourgeois*⁷ i niezbyt właściwe dla damy.

Przypuszczam, że odpowiedź od lorda Roberta nie może nadejść przed sobotą. Jestem ciekawa, jak on to urządził. Jak to sprytnie z jego strony. Lady Katarzyna powiada, że ten pan Champion jest w tym samym trzecim pułku lejbgwardii, co lord Robert. Może to... ale nie ma powodu wciąż o tym myśleć — nie wiem tylko, dlaczego czuję się dzisiaj wesoła i już nie wydaje mi się, że jestem biedna. Byłam w takim dobrym humorze, że postanowiłam podrażnić się troszkę z Malcolmem. Udałam, że bardzo mnie interesuje układanie pasjansa i ani na chwilę nie odrywałam oczu od kart.

Próbował mi mówić różne rzeczy i wszelkimi sposobami namawiał, żebym podeszła z nim do pianina, ale udawałam, że nie zwracam na to uwagi. Na rogu wielkiego chippendale'ow-skiego biurka stoi wazonie palma, a Jessie jakoś przypadkiem ustawiła swój stolik do pasjansów właśnie za tym biurkiem, tak że inni nie mogli widzieć wszystkiego, co się tam

⁷ *Bourgeois* (franc.) — mieszczańskie.

działo. Malcolm w końcu usiadł bardzo blisko mnie i chciał mi pomagać w układaniu kart, aleja nie znoszę, żeby ludzie mnie dotykali, więc przechyliłam stolik i wszystkie karty upadły na ziemię. Krysia grała właśnie na fortepianie i jakimś cudem grała coś wesołego — zdaje się cake-walka — i ja pod wpływem tej muzyki poczułam, że chcę się ruszać — tańczyć — kołysać się całym ciałem, sama nie wiem dlaczego, i zaczęłam trochę falować ramionami w takt muzyki. Malcolm wstrząsnął się jak gdyby miał dreszcze i jakimś wlokącym się głosem powiedział mi prosto w ucho:

— Wie pani, chyba jest pani szatanem, a ja...

I urwał, bo ja pierwszy raz tego wieczoru spojrzałam na niego; zrobiłam bardzo zgorzowaną i zdziwioną minę.

— Naprawdę, panie Montgomeire, nie wiem, co pan przez to rozumie...

— Ja... co ja przez to rozumiem... ja strasznie chcę panią pocałować.

— Ale ja ani troszkę nie chcę pocałować pana — rzekłam szeroko otwierając oczy i patrząc na niego ze zdumieniem.

Wyglądał w tej chwili jak zmokła kura, a że na szczęście w tej chwili Jessie powróciła do swego pasjansa, nie mógł już dodać ani słowa.

Lady Katarzyna i pani Mackintosh zaszły do mego pokoju po drodze do łóżka. Lady Katarzyna chciała mianowicie pokazać Mary, jak pięknie sobie tu urządzili — bo to był jej pokój z czasów panieńskich.

Oglądały wszystko po kolei i obicie koloru zeschniętych żółtych lilii, i także meble, ale, jak zauważyłam, ich oczy coraz częściej kierowały się na moją nocną koszulę rozłożoną na łóżku i na szlafroczek wiszący na poręczy krzesła przy ogniu.

— Och, lady Katarzyno — zaczęłam się tłumaczyć — pani pewnie się dziwi, że noszę różowy jedwab będąc w żałobie, ale nie miałam jeszcze czasu zrobić sobie białego szlafrocza.

— To nie o to chodzi, kochanie — odrzekła lady Katarzyna poważnym tonem — mnie się tylko zdaje, że... że to nie jest nocna koszula odpowiednia dla panienki.

— Och, ja jestem bardzo zahartowana i nigdy się nie przeziębiam — odparłam.

Mary Mackintosh uniosła ją dwoma palcami z miną pełną nagany i niesmaku. Naturalnie koszula miała krótkie rękawki

i falbanki z walansjenek i była ślicznie haftowana, z cieniuteńkiego lnianego batystu i bardzo wycięta. Pani Carruthers zawsze bardzo dbała o moje nocne koszule i sama wybierała je u Douceta w Paryżu. Mówiła, że człowiek nigdy nie wie, kiedy się może znaleźć w ogniu.

— Droga Ewelino, jesteś bardzo młoda, więc prawdopodobnie tego nie rozumiesz — rzekła Mary — ale ja uważam, że to ubranie stanowczo nie nadaje się dla młodej dziewczyny ani w ogóle dla żadnej przyzwoitej kobiety. Matko, mam nadzieję, że moje siostry tego nie widziały!!

Miałam zmieszaną minę.

Oglądała szczegółowo koszulę i podłożywszy rękę przekonała się, że widać przez nią ciało.

— Co by to Aleksander powiedział, gdybym ja włożyła na siebie coś podobnego!

Ta myśl zdawała się przygniatać je obie; patrzyły na siebie zmartwione i zgorzzone.

— Naturalnie na ciebie byłaby za obcisła — wyjaśniłam pokornie — ale poza tym to jest bardzo dobry materiał i nie rozdziera się przy wkładaniu. Pani Carruthers zrobiła scenę u Douceta, bo moje poprzednie koszule podarły się bardzo prędko i wymienili je na te.

Przy wzmiance o mojej zmarłej opiekunce obie panie aż się wyprostowały. — Wiemy, że pani Carruthers miała bardzo złe przyzwyczajenia — rzekła sztywno lady Katarzyna — ale ty, Ewelino, masz chyba dość rozsądku, żeby sama zrozumieć, że... to... że taka bielizna... jest zupełnie nieodpowiednia.

— Och, dlaczego, droga pani? — zawołałam. — Gdyby pani wiedziała, jakie one są twarzowe!

— Twarzowe? — zawołała piskliwie Mary Mackintosh. — Ależ żadna przyzwoita kobieta nie potrzebuje w łóżku mieć na sobie nic „twarzowego”. Cała sprawa była dla nich tak przykra, że nakryłam moją nieszczęsną „nocną” szlafroczkiem i zakaszłam. To przerwało rozmowę i obie wycofały się, pożegnawszy się bardzo zimno.

I oto jestem sama. Ale nie rozumiem, dlaczego to ma być złe starać się ładnie wyglądać w łóżku — tym bardziej, że nikt przecież tego nie widzi!

TRYLAND COURT Poniedziałek, 14 listopada

Nie miałam sił do pisania; te ostatnie dni były takie jakieś nudne, mdłe, po prostu lepiące się. Nie kończące się rozmowy o dzieciach i z dziećmi. Gorzej, bo wciąż niby dziecinne szczebiotanie. Ciągłe rozprawy o metodach wychowania, o ząbkowaniu, o niegodziwości nianiek i ich szelmowskich sztuczkach, o patentowanych odżywkach, buteleczkach, smoczkach i tak dalej! Dosyć, by kogoś na całe życie zrazić do małżeństwa. A Mary Mackintosh, taka niekształtna i nieładna, siedzi i rozprawia wciąż o teoriach nie mających zastosowania w praktyce, bo przecież nie sposób wyobrazić sobie gorzej wychowanych dzieci niż jej własne!

Czasami nadużywają cierpliwości nawet lady Katarzyny, jak mogą zauważyć; na przykład, gdy dwoje starszych, które przychodzą co dzień regularnie podczas śniadania, oblizuje łyżkę od powideł, pakuje palce do miodu i rozmazuje to potem na sukienkach, albo robi coś równie okropnego. Wczoraj wsadziły palce do salaterki z miodem, którego właśnie nabierał sobie pan Montgomeire, i wysmarowawszy go (brrr! brzmiało po prostu okropnie) zaczęły uciekać dookoła stołu, nie dając się złapać, i smarowały wszystkie poręcze u krzeseł i klamkę u drzwi, tak że nie można było niczego dotknąć, żeby się nie zabrudzić.

— Drogi Aleksandrze — rzekła Mary — Olesiowi trzeba obetrzeć buzię.

Biedny pan Mackintosh musiał wstać, połapać te diabły i zabrudzić sobie całą serwetę.

— Zabierzcie je na górę, brrrr! — zahuczał kochający dziadek.

— Och, ojczy, biedne maleństwa nie są przecież niepotrzebne! — odezwała się obrażona Mary. — Lubię, żeby były z nami możliwie najwięcej. Myślałam, że to będzie dla ciebie taka przyjemność!

Na to dzieci, usłyszawszy widocznie, co im zagraża, dostały istnego ataku wściekłości, a Oleś, czteroletni cherubinek, leżał na podłodze, wierzgał nogami i wrzeszczał, aż zrobił się zupełnie czarny na twarzy. Pan Mackintosh jest za mały i za słaby, żeby mógł wyprowadzić aż dwoje dzieci.

Malcolm zrobił się taki śmieszny! Zdaje mi się, że jest naprawdę mną zajęty. Ile tylko razy nadarzy mu się sposobność, daje mi do zrozumienia, że się we mnie kocha, ale robi to śmiesznie i niezgrabnie. Zresztą i sposobność nieczęsto się zdarza, bo ile razy idziemy na spacer, zawsze lady Katarzyna dodaje nam którąś z dziewcząt, a gdy jesteśmy w salonie, sama przychodzi i siada obok nas. Jestem z tego zadowolona, bo nudzą mnie te jego wynurzenia.

Ale jaka ona zabawna. Zna się na mężczyznach jeszcze mniej niż ja—te jej manewry mają tylko ten skutek, że jeszcze bardziej podniecają Malcolma.

Dla mnie jest to znakomita lekcja pogładowa. Z panem Carruthersem poszłoby mi trudniej, gdybym go kiedyś spotkała, bo on nie ma matki, która by dla niego wyczyniała te wszystkie sztuczki.

Odpowiedź lorda Roberta nadeszła w sobotę po południu. Wszystko to zaaranżowała lady Merrenden.

Pisał, że z największą przyjemnością przyjedzie na polowanie —już jutro. Och, tak się cieszę — tylko nie wiem, jak mi się uda dać mu do zrozumienia, żeby się nie wygadał, że był w Brauches wtedy, kiedy ja tam byłam. Ostatecznie to głupstwo, ale lady Katarzyna jest taka dziwaczna i drobiazgowa.

Towarzystwo ma być dość liczne: dziesięć strzelb — może będzie ktoś interesujący, chociaż obawiam się, że raczej nie.

Wtorek, w nocy

Już jest późno, prawie dwunasta, ale taka jestem rozbudzona, że siedzę i piszę. Ale muszę zacząć od samego początku, od chwili, kiedy się wszyscy zjechali.

Nadjechali dwoma pociągami zaraz po południu, a lord Robert był z drugą grupą i zjawił się akurat podczas herbaty. Goście są mniej więcej tego rodzaju, co lady Katarzyna, wyglądają na bardzo pocziwych; ale jest między nimi jedna kobieta, lady Vermingham, siostrzenica lady Katarzyny, zupełnie odmienna od reszty i ta od razu mi się spodobała. Ma bardzo ładne suknie i doskonałą figurę, i kapelusz zawsze dobrze nałożony. Ma niesłychanie miły sposób bycia, ale zaraz można poznać, że złożyła wizytę z obowiązku.

Nawet całe to zgromadzenie nie przeszkodziło Mary Mackintosh rozwdzić się nad drobnymi domowymi i dziecięcymi sprawami. Siedzieliśmy właśnie w wielkim salonie. Podchwyciłam spojrzenie lady Vermingham i obie uśmiechnęłyśmy się do siebie. Było to pierwsze znaczące spojrzenie, jakie widziałam od czasu wyjazdu z Brauches. Wszyscy rozmawiali bardzo miło, ale z przerwami i niezbyt dobrze się bawiąc, kiedy Joasia i Krysia zaczęły opowiadać

o swoich robótkach i próbowały zdobyć zamówienia, a Jessie i Maggie także — przyniosły okazy do oglądania i ustanowiły ceny. Nie mogłabym zebrać, choćby na dobroczynność.

Było mi nieprzyjemnie i wstyd za nie, ale one nic sobie z tego nie robiły, a ich ofiary przyjmowały to ze stoicyzmem.

Nasz proboszcz w Brauches zawsze robił się taki czerwony i zdenerwowany, kiedy miał o coś prosić. Zaraz można było poznać, że to jest dżentelmen — ale kobiety widocznie mają inną naturę.

Niecierpliwie oczekiwałam herbaty.

Mimo że wszyscy tutaj są bardzo dobrzy i uprzejmi, panuje jakaś przygnębiająca atmosfera sztywności i nudy, która zatruwa każdego, kto zjawi się w Tryland. Coś w rodzaju tych maksym kaligrafowanych i haftowanych: „Złoto próbuje się ogniem, a serce cierpieniem” — ten styl panuje tutaj we wszystkim.

Wszyscy oni są na przykład weseli dlatego, że wesele jest chrześcijańską cnotą, a nie dlatego że mają serce wezbrane radością i tym rozkosznym poczuciem, że żyją i że wszystko jedno, co się zdarzy, jakiego ja doznawałam w moich dobrych czasach.

We wszystkim, co robią, jest sens i jakiś morał. Na przykład teraz zaprosili gości dlatego, że do bażantów trzeba strzelców w listopadzie, że niektórych ludzi trzeba było zaprosić i dlatego jeszcze, że to im się mogło przydać do ich dobroczynności. Och, gdybym ja tak miała wielki dom i gdybym była bogata, chciałabym zbierać u siebie miłe towarzystwo, żeby dostarczyć im sposobności miłego spędzania czasu i samej zabawić się i pośmiać.

Lady Vermingham rozmawiała właśnie ze mną przed samą herbatą, gdy przybyli goście drugim pociągiem.

Staralam się być zupełnie obojętna, ale mimo to czułam ogromne podniecenie, gdy lord Robert wszedł do pokoju. Och, jaki on był piękny w tej chwili, taki szykowny, prosty i giętki!

Lady Katarzyna była wobec niego okropnie sztywna; takie postępowanie zbiłoby zupełnie z tropu bardzo wielu ludzi na jego miejscu, ale to właśnie jedna z najmiłszych właściwości lorda Roberta, że jest zawsze sans *gêne*.

Naturalnie zaraz mnie zobaczył i gdy tylko mógł się uwolnić, podszedł prosto do nas.

— Jak się masz, Robert! — powiedziała lady Vermingham, najwyraźniej bardzo zdziwiona, że go tu spotyka, i wdzięcznym ruchem podała mu swoje paluszki do uściśnięcia. — Jakim sposobem znalazłeś się tutaj? A dlaczego to nasz „Cam-puś” nie przyjechał? Coś w tym jest. Ja to czuję.

— No cóż, zapewne tak — roześmiał się lord Robert i przytrzymał jej rękę. Potem spojrzał na mnie z brwiami podniesionymi do góry. — Ale czy nie zechce pani przedstawić mnie panie Travers? Ku wielkiemu mojemu zmartwieniu, zdaje się, całkiem o mnie zapomniała.

Roześmiałam się i lady Vermingham przedstawiła nas sobie, a on usiadł między nami i wszyscy zaczęli pić herbatę. Lady Vermingham patrzyła jakoś tak dziwnie. — Robert, opowiedz mi wszystko — poprosiła.

— Dowiedziałem się, że jest tu pięć tysięcy bażantów do zabicia — odpowiedział lord Robert, patrząc na nią z niewinnym uśmieszkiem.

— Robercie, kłamiesz! — roześmiała się. Taka jest ładna jak się śmieje! Już nie bardzo młodziutka, ma chyba więcej niż trzydzieści lat, ale tyle ma czaru! Jest tak różna od całej rodziny Montgomeire'ów, jak tylko może się różnić jeden człowiek od drugiego.

Ja prawie się nie odzywałam, tylko oni wciąż przekomarzali się ze sobą, a lord Robert podczas tego zjadł prawie wszystkie chleb z masłem z tacki stojącej na naszym stoliku. — Jestem diabelnie głodny, lady Ver — powiedział, a ona uśmiechnęła się do niego. Widocznie bardzo go lubi.

— Robercie, tutaj nie możesz używać swojego zwykłego języka — ostrzegła go.

— Och, on się przecież nie może obejść bez swoich diabelnych diabłów — wybuchnęłam, zapominając na chwilę

o wszystkim. Potem przypomniałam sobie i urwałam. Lady Vermingham wydawała się bardzo zdziwiona.

— A więc je pani słyszała już przedtem? A ja myślałam, żeście się poznali gdzieś tylko przelotnie! — rzekła z takim komicznym, porozumiewawczym spojrzeniem, ale wyraźnie nie bardzo była zadowolona. Ja zaczerwieniłam się w najgłupszy sposób i to mnie rozdrażniło, bo na mojej skórze okropnie znać każdy rumieniec. A ona aż przechyliła się w krzesło, tak się śmiała.

— Jak to miło strzelać do pięciu tysięcy bażantów, Robercie — rzekła.

— A czyż nie? — odpowiedział lord Robert. Zjadł ostatni kawałek chleba z masłem. Potem jej powiedział, że jest miła, kochana, że strasznie się cieszy spotka wszy ją tutaj i niezmiernie jest zadowolony, że panu Campionowi wypadły jakieś inne zajęcia na ten tydzień.

— Rozkoszny jesteś, mój Robercie — odrzekła mu na to — ale tutaj musisz się nauczyć zachowywać przyzwoicie. Żadnych takich sztuczek jak te, które wyczyniałeś w Fotherin-gton, w październiku. Tak, moje dziecko. Ciotka Katarzyna postawi cię za karę do kąta. Panna Travers, która tu bawiła przez tydzień, powie ci, czy nie mam racji.

— Rzeczywiście tak jest — powiedziałam.

— Ale ja *muszę* się dowiedzieć, skąd się tu wzięłaś — rozkazywała. Na szczęście właśnie w tej chwili Malcolm, który wciąż krążył w pobliżu, przyłączył się do nas i chciał także rozmawiać. Ale lordowi Robertowi tyle przeszkadzał, co krzesło lub stół. On jest naprawdę przedziwny. Nic, ani odrobinę nie jest szorstki, tylko tak doskonale prosty i szczerzy; zawsze robi to, na co ma ochotę i zawsze musi dostać to, czego chce, a przy tym ma takie żalosne, prawie przeprasające spojrzenie. Już po dwóch minutach my oboje rozmawialiśmy ze sobą, a Malcolm i lady Vermingham ze sobą o kilka łokci dalej. Czułam się taka szczęśliwa. To on tak działa na ludzi samą swoją obecnością, ale nie wiem, w jaki sposób.

— Dlaczego pani wyglądała na tak kamiennie obojętną, kiedy tu wszedłem? — zapytał. — Bałem się, że pani jest niezadowolona z mojego przyjazdu.

Wtedy opowiedziałam mu o lady Katarzynie i o tym, jak głupio postąpiłam nie wspomniawszy jej, żeśmy się spotkali w Brauches.

— Och, w takim razie byłem tam po pani wyjeździe — odrzekł. — A może poznałem panią w Londynie?

— Nie będziemy o tym opowiadać żadnych historii. Niech sobie myślą, co chcą.

— Bardzo dobrze — roześmiał się. — Widzę już, że będę musiał używać nie lada manewrów, by z panią choć chwilę spokojnie porozmawiać, ale za to jutro stanie pani obok mnie na stanowisku, dobrze?

Powiedziałam mu, że w ogóle wątpię, czy nam będzie wolno brać udział w polowaniu i spotykać się z myśliwymi, chyba tylko przy drugim śniadaniu, ale odrzekł mi na to, że nie może uwierzyć w podobne okrucieństwo. Potem wypytywał mnie o tysiące szczegółów: co porabiałam przez czas, gdyśmy się nie widzieli i co mam zamiar robić w najbliższej przyszłości. Ma taki uroczy sposób bycia, że się jest z nim od razu jak z dobrym znajomym. Patrzy każdemu prosto w oczy z jakąś zdumiewającą szczerością. Nie widziałam jeszcze człowieka tak zupełnie bez pozy; przypuszczam, że nigdy, ani przez chwilę nie myśli o wrażeńiu, jakie sprawia. Nigdy żadne jego słowo ani postępek nie mają podwójnego znaczenia jak u pana Carruthersa. Gdyby to on na przykład powiedział, że powinnam zostać i wyjść za niego, to jestem pewna, że myślałby tak na serio i wtedy, rzeczywiście, chyba zostałabym...

— Czy przypomina pani sobie nasze pakowanie wtedy rano? — zapytał takim miłym, pieszczotliwym głosem. — Jak mi było wtedy dobrze; a pani?

Powiedziałam, że i mnie także.

— A Krzysztof wściekał się z zazdrości! Po pani wyjeździe chodził jak zraniony niedźwiedź i koniecznie chciał na poniedziałek jechać do miasta; przyjeżdżał tutaj we wtorek, prawda?

Musiałam odpowiedzieć, że nie było go i zrobiło mi się bardzo nieprzyjemnie, sama nie wiem, dlaczego.

— To dziwny, osobliwy człowiek — rzekł na to lord Robert — i cieszę się, że się pani z nim nie widziała — nie chcę go mieć na swojej drodze. Jestem bardzo samolubną bestią, wie pani?

Powiedziałam mu, że według słów pani Carruthers wszyscy mężczyźni są tacy, więc nie może mnie to źle usposobić do niego.

Roześmiał się.

— Musi mi pani jakoś dopomóc, żebyśmy mogli po obiedzie razem posiedzieć i porozmawiać. Widzę, że czerwonołłosy syn chce panią naturalnie zagarnąć dla siebie, ale ja na to nie pozwolę!

Zrobiłam dumną minę.

— Malcolm i ja jesteśmy wielkimi przyjaciółmi — rzekłam poważnie

— oprowadza mnie po golfowym placu w parku i udziela mi rad na przyszłe życie.

— Przekłęty impertynent! — wybuchnął lord Robert!

— Uważa, że nie powinnam sama mieszkać w „Claridge”, skoro wyjadę stąd, bo mógłby się ktoś na przykład we mnie zakochać. Uważa też, że byłoby dla mnie bezpieczniej, gdybym była podobniejsza do jego sióstr. Obiecałam mu, że jeżeli odwiedzą mnie goście, Weronika będzie zawsze za drzwiami.

— Och, tak się o panią obawia? Patrzcie, patrzcie! Dobrze, sędzę, że jego obawy się sprawdzą, bo i ja będę w Londynie — rzekł lord Robert.

— Ale skąd pan wie — zapytałam z bardzo poważną miną — skąd pan wie, że ja będę pana słuchać? Nie może pan przecież mówić do głuchych ludzi, prawda?

— Czy pani jest głucha? — zapytał. — Nie sędzę. W każdym razie będę próbował wyleczyć panią z jej głuchoty. Pochylił się tuż nade mną, udając, że sięga po książkę.

Och! bardzo przyjemnie spędziłam dzisiaj czas!

Nareszcie poczułam, że naprawdę żyję, że krew krąży w moich żyłach; mnóstwo miłych, śmiałych i dowcipnych rzeczy przychodziło mi na koniec języka i mówiłam je. Byliśmy tacy szczęśliwi!

Lord Robert jest tak kształtny i zgrabny; to mi się najbardziej w nim podoba. Zawsze entuzjasmowałam się pięknymi liniami. Przy tym ma zawsze takie ładne ubrania. Rozmawialiśmy i rozmawiali bez końca.

Coraz wyraźniej mi okazywał, jak bardzo się mną interesuje. Oczy jego, tak błękitne i wymowne, mówiły nawet więcej niż słowa. Lubię, jak patrzy tak z góry. Rzęsy jego są do absurdu długie i zakręcone, nie takie czarne jak moje i pana Carruthersa, ale

brunatne, miękkie i takie śliczne rzucają cienie i naprawdę nie umiem powiedzieć, dlaczego są takie pociągające. Kiedy są spuszczone i rzucają cień na policzki, ma się okropną ochotę dotknąć ich końcem palców. Nigdy nie spędziłam tak rozkosznego popołudnia. Tylko niestety tak krótko trwało.

— Musimy tak urządzić, żebyśmy mogli posiedzieć trochę razem po obiedzie — szepnęła mi, gdy jak zwykle zabrzmiał gong, dając znak, że czas się ubierać na obiad.

Natychmiast zjawiała się lady Katarzyna, narobiła wiele hałasu i zabrała wszystkich na górę do ubierania się, a mnie po drodze na schodach szepnęła, że jeżeli bardzo nie chcę, to mogę nie schodzić na dół! Znowu jej podziękowałam, lecz postanowiłam trwać w moim zamiarze przyzwyczajania się do towarzystwa.

Rzeczywiście! Mam pozostać w moim pokoju, kiedy lord Robert jest na dole. Nigdy! Jednak gdy zesłam na dół, był tak otoczony przez klan MontgomeirWów, że nie mogłam się do niego zbliżyć, a do stołu prowadził lady Vermingham. To ona musiała tak wszystko urządzić. Ależ się wynudziłam przy stole! Z jednej strony młody Mackintosh, kuzyn męża Mary, z drugiej proboszcz. Jeden mówił wciąż o botanice szorstkim, schrypniętym głosem, ze szkockim akcentem, a drugi pożerał jedzenie i opowiadał pobożne dowcipy między dwoma kęsami.

Do samych lodów znosiłam to cierpliwie i odważnie — ale w końcu oświadczyłam, że nic mnie nie obchodzi, z czego składają się kwiaty, tylko lubię je zrywać, wachać i na nie patrzeć. Młodzieniec oniemiał ze zdumienia i już nic więcej nie mówił. Proboszczowi wystarczyło, jeżeli od czasu do czasu powiedziałam „tak” i jakoś przebrnęliśmy przez cały obiad.

Malcolm siedział naprzeciwko i większą część czasu gapił się na mnie. Nawet on byłby lepszym towarzyszem niż ten botanik, ale lady Katarzyna uznała, że sąsiedztwo tych dwu będzie czymś w rodzaju półżałoby dla mnie. W ich towarzystwie nikt nie mógłby być wesoły. Po obiedzie lady Vermingham zabrała mnie na sofę stojącą w kąciu. Nie ma tu na sofach poduszek, jak w Brauches, ale ta przynajmniej stała trochę z boku; więc chociaż nie była zbyt wygodna, mogłyśmy spokojnie porozmawiać.

— Biedne dziecko — rzekła mi — jakież nudy musiałaś cierpieć. Patrzyłam na ciebie. O czym mógł do ciebie mówić ten potomek rodu Mc Tavishów.

Powiedziałam, że on się nazywa Mackintosh, a nie Mc Tavish.

— Tak, ja wiem — odpowiedziała — ale nazywam ich umyślnie Mc Tavish, bo to jest podobne, a tak drażni Mary, że poprawia mnie za każdym razem. No i co, czy chciałabyś wyjść za mąż i stać się podobną do Mary? — w jej oczach błysnęła iskierka rozbawienia.

Odpowiedziałam, że wcale się do tego nie palę. Najpierw chcę poznać życie. Ale ona wytłumaczyła mi, że nie można poznać życia, dopóki się nie jest zameżną.

— Nawet jeżeli się jest awanturnicą, tak jak ja? — zapytałam.

— Czym?!!

— Awanturnicą — odrzekłam. — Ludzie tak się dziwią, kiedy to mówię! Muszę zostać awanturnicą, bo pani Carru-thers, wie pani, prawie wcale nie zostawiła mi pieniędzy. A w książkach nieraz o tym czytałam. Tam było napisane, że się jest awanturnicą, jeżeli się ma ładne suknie i... i rude włosy, i inne rzeczy w tym rodzaju, a nie ma się własnego domu. Pokładała się ze śmiechu.

— Ty małe głupiątko — powiedziała. — Teraz widzę, że będziemy przyjaciółkami. Tylko nie wolno ci flirtować z Robertem Varassour. On należy do mnie. To jest jedna z moich specjalnych, najmiłszych sympatyjek. No i jak, umowa stoi?

Jak żałuję, że nie miałam w owej chwili cywilnej odwagi i nie powiedziałam jej wprost, że lubię lorda Roberta i nie chcę zawierać żadnej umowy; ale człowiek nagle zaskoczony robi czasem głupstwa. Właśnie w takich okolicznościach ujawnia się, czy komuś mocno siedzi głowa na karku, a moja głowa kręciła się trochę tego wieczoru. Poza tym ona tak czarująco patrzyła na mnie i poczułam się cokolwiek dumna, że mnie o to proszą, a może też wstydziłam się okazać, że lord Robert tak bardzo mnie interesuje, zwłaszcza jeżeli on naprawdę do niej należy (choć nie wiem, co to znaczy). Powiedziałam więc, że umowa stoi i naturalnie dodałam, że nie śni mi się z nim flirtować; ale później, kiedy się zastanowiłam, że to była formalna obietnica, zrobiło mi się okropnie żal, że nigdy już nie

będę mogła spojrzeć na niego spod rzęs. I nagle, sama nie wiem dlaczego, poczułam się jak gdyby przebudzona ze snu, znużona i tak mi było jakoś głupio, jakbym miała się rozplakać.

Jednak ona potem była dla mnie taka uprzejma i serdeczna i zapraszała mnie, żebym wyjechała razem z nią i pobyła u niej, i mówiła tysiące miłych rzeczy, tak że pewnie dobrze się stało. Ale gdy wszedł lord Robert i podszedł do nas, tak trudno było mi wstać i odejść, i udawać, że mam coś do powiedzenia Malcolmowi.

Nie śmiałam często patrzeć w tamtą stronę, ale od czasu do czasu patrzyłam i wtedy zawsze widziałam oczy lorda Roberta utkwione we mnie z wyrzutem i błaganiem, a kiedy ostatni raz spojrzałam, wyraźnie zamigotał w nich gniew.

Lady Vermingham zatrzymała go przy sobie aż do chwili, gdy wszyscy rozchodzili się spać.

Było trochę muzyki i brydża, i inne nudne rozrywki w tym rodzaju, aleja siedziałam spokojnie w kącie. I nawet nie wiem, co Malcolm mówił do mnie; wcale nie słuchałam, chociaż od czasu do czasu szeptałam „Tak” albo „Nie”. A on robił się z każdą chwilą coraz bardziej ⁸empresse⁹, gdy nagle, kiedyśmy już wstawali, zdałam sobie sprawę, co on mówi:

Obiecała pani! Proszę pamiętać jutro przypomnę o dotrzymaniu obietnicy! I takie jakieś miał dziwne, niesmaczne, zamglone spojrzenie, że mnie strach obleciał. Najgorsze jest to, że zupełnie nie pamiętam, co obiecałam. Byłam w takim stanie jak lunatyczka. Może to coś całkiem okropnego, czy ja wiem? Jeżeli to coś naprawdę okropnego, w tym rodzaju na przykład, jak pocałować go, to złamię słowo czego nigdy nie robię w żadnych okolicznościach.

Och, kochany, och, kochany mój! Nie zawsze to tak łatwo śmiać się w życiu, jak kiedyś myślałam! Wolałabym gdzieś osiąść na stałe i nie musieć być awanturnicą. Czasem bywają tak trudne sytuacje... Ale czas już iść do łóżka.

Ciekawa jestem, czy lord Robert nie, po co mam być ciekawa; to już nie moja rzecz.

Trzeba zgasić światło.

⁸Empressé (franc.) **nadskakujący, uniżony.**
⁹Empressé (franc.) **nadskakujący, uniżony.**

PARK STREET, nr 300 Sobota w nocy, 19 listopada

Nie bardzo mam ochotę rozwodzić się nad resztą mojego pobytu w Tryland. To nieprzyjemne wspomnienie.

Następnego dnia po tym, kiedy ostatni raz pisałam, padał deszcz i wszyscy zeszli na śniadanie w złych humorach. Zjawili się wszyscy z wyjątkiem lady Vermingham i śniadanie było równie nudne i sztywne jak wczorajszy obiad. Byłam już przy stole, gdy wszedł lord Robert i zobaczył, że Malcolm siedzi obok mnie. Lord Robert prawie wcale się nie odzywał i spojrzał na mnie ze dwa razy z podniesionymi brwiami. Tak chciałam mu powiedzieć, że nie rozmawiam z nim i nie flirtuję od wczorajszego popołudnia, ponieważ obiecałam to lady Vermingham. Jestem ciekawa, czy się tego domyślił? Och, jak bym chciała nigdy jej tego nie obiecywać i chciałam tego ze sto razy od wczorajszego wieczoru. Najrozsądniej jednak było unikać go, bo jak miałam mu wytłumaczyć tę zmianę, która we mnie zaszła. Nie mogłam jeść i do tego drażniła mnie głupia mina Malcolma, zupełnie jakby był moim właścicielem. Zauważyłam, że drażniła ona też lady Katarzynę. Fukała na niego i było tak miło, jak tylko sobie można wyobrazić.

Śniadania tu nie są zbyt świetne, a pan Montgomeire gwałtem namawiał wszystkich na zupełną ziemniaczaną. „Doskonała rzecz na rozpoczęcie dnia, brrr!” mówił.

Lord Robert szukał czegoś po stole i nie mógł znaleźć. Wszyscy byli jakoś zgryźliwie usposobieni. Lady Katarzyna ma zwyczaj komenderowania ludźmi przy każdej okazji. Zawsze przypomina mi kurę z kurczętami, rozpościerającą skrzydła, drepczącą i gdakającą póty, aż je wszystkie sprowadzi do jednego kąta. I nawet trochę jest podobna do kury, taka okrągła z przodu. Całe kobiece towarzystwo zaraz po śniadaniu zebrało się w bawialni, od której drzwi zamknięto. Męska część towarzystwa zapewne również zgrupowała się dookoła gospodarza, aż dopiero gdy deszcz trochę ustał, dojrzałyśmy przez okno przygnębioną gromadę sportsmenów w nieprzemakalnych płaszczach lub grubych kurtkach.

Jedynym pomysłem w tym wszystkim było to, że Malcolm nie miał sposobności przypomnieć mi mojej obietnicy i czułam się dziś trochę bezpieczniejsza.

Och, cóż to za okropny ranek! O wiele gorszy, niż kiedyśmy byli sami. Prawie wszystkie te panie a przybyło ich siedem zajęły się ręcznymi robótkami.

Jedna z nich, lady Letycja Smith, wyszywała coś jedwabiami, które miała w kłębkach. Żółć się we mnie przewracała, gdy spojrzałam na tę robótkę, a do tego ta pani była bardzo krótkowzroczna i miała nieznośny zwyczaj prosić wszystkich, żeby jej nawlekali igłę. Inne robiły pończochy i trykoty, szaliki i kamizelki, i czapki, podobno dla rybaków z Morza Północnego, a jedna nawet cerowała. Zupełnie jak pokojówki podczas wolnych godzin, kiedy sobie sporządzają Bóg wie jakie stroiki i przybrania z grubego perkalu.

Zapytałam tę panią, do czego to ma służyć, a ona mi odpowiedziała, że robi śliniaczki dla dzieci z przytułków. Jeżeli coś jest stratą czasu, to chyba produkowanie takich szkaradzieństw. Pani Carruthers zawsze mówiła, że znacznie pożyteczniej jest uczyć się siedzieć spokojnie i nie kręcić się, niż zapełniać świat szkaradzieństwami tego fodzaju.

Mary Mackintosh kierowała całą rozmową. Ona i lady Letycja Smith mają małe dzieci, więc zagłębiały się w różne szczegóły z dziecinnego pokoju, a niektóre z nich szeptały sobie nawet na ucho, żebyśmy my, młode dziewczęta, ich nie słyszały. Jednak urywki dolatywały do nas i mogę zapewnić, że były bardzo nudne, tak że bynajmniej nie byłam ich ciekawa. Och, czy i ja będę taka, jak wyjdę za mąż?

Mam nadzieję, że nie.

Nic dziwnego, że żonaci panowie muszą prawić komplementy innym kobietom, skoro w domu mają żony tego rodzaju.

Próbowałam być uprzejma dla pani, która siedziała obok mnie. Należała do sekty badaczy Pisma i nosiła okulary. Próbowała mnie nawrócić, ale ja tego dnia byłam niezwykle tępa i trzeba mi było tłumaczyć po wiele razy, tak że w końcu dała mi spokój.

W końcu poczułam, że muszę zrobić coś rozpaczliwego, ale w tej samej chwili wszedł służący i powiedział, że lady Vermingham chciały mnie widzieć i że czeka na mnie w swoim pokoju; zerwałam się czym prędzej, ale gdy zamykałam drzwi, widziałam, że już zaczęły trząść głowami nad nią.

— To smutne, że ta droga Janthe prowadzi taki nie uregulowany tryb życia; jada śniadanie w swoim pokoju — to takie niedobre dla niej — etc. etc, ale dzięki niebu wymknęłam się do holu, gdzie już czekała na mnie jej pokojowa.

Trudno byłoby się domyślić, że ten wielki pokój z oknami wychodzącymi na podjazd to apartament w domu Mont-gomeire'ów. Jego wygląd był tak odmieniony! Wszędzie mnóstwo fotografii i śliczne, w złoto oprawne, przybory toaletowe, i mnóstwo cacek, i miłych fatałaszków, i kwiatów, i flakony z perfumami, i jej własne poduszki z błękitnego jedwabiu, i śliczne hafty na muślinie, a ona tak uroczo wyglądała wśród tego wszystkiego. Ciemne włosy spadały jej w lokach dookoła twarzy, a na głowie miała anielsko piękny koronkowy czepek. Paliła papierosa i pisała listy złotym piórem. Teczka z niebieskiego jedwabiu była przepełniona listami, czasopismami i depeszami. A jej negliż był naturalnie mocno wycięty i przezroczysty, jak mój. Jestem ciekawa, co by powiedział Aleksander, gdyby ją tak zobaczył, jako żywy kontrast Mary! O, wiem dobrze, którą bym wybrała, gdybym była mężczyzną. — Och, jesteś nareszcie, moja śliczna - zawołała podnosząc główkę i otaczając się kłębam dymu. - Siadaj na łóżku kobieto-wężu! Czuję, że muszę panią wyrwać z tych wszystkich świątobliwości i chciałam się przyjrzeć pani przy dziennym świetle. Tak, pani ma przedziwne włosy, z natury piękne rzęsy i figurę także wspaniałą. Widzę, że istna czarodziejka z pani i wszystkie musimy się mieć przed panią na baczości. Uśmiechnęłam się. Nie mówiła tego złośliwie i ani trochę szorstko. Ma w sobie przedziwny urok.

— A jednak mówi pani bardzo niewiele — ciągnęła dalej — ale ja czuję, że pani jest niebezpieczna! Dlatego byłam taka grzeczna dla pani; uważam, że tak jest mądrzej. W zasadzie nie znoszę dziewcząt. — Zaczęła się śmiać cicho i przeciągle. — Powiedz, czy nie zranisz mnie?

— Nie zranię nikogo — odpowiedziałam. — Chyba że ktoś mnie pierwszy zrani, a pani bardzo mi się podoba, pani jest taka ładna!

— No, więc wszystko w porządku — rzekła — w takim razie jesteśmy przyjaciółkami. Wczoraj wieczorem bałam się trochę o Roberta, bo jestem bardzo do niego przywiązana, ale po obiedzie była pani bardzo kochana i teraz wszystko już będzie

dobrze. Powiedziałam mu, że prawdopodobnie wyjdzie pani za Malcolma Montgomeire'a i żeby lepiej nie przeszkadzał temu.

— Nie zrobię nigdy nic podobnego! — zawołałam zrywając się z łóżka.

— Wolałabym umrzeć, niż spędzić resztę mego życia w Tryland.

— Czy pani wie, że on będzie kiedyś bajecznie bogaty? Mogłaby pani łatwo uzyskać wpływ na papę Montgomeire'a i zrewolucjonizować cały dom. Lepiej niech pani pomyśli o tym.

— Nie chcę — odpowiedziałam i czułam, że oczy mi zamigotały.

Wyciągnęła rękę, jakby broniąc się przed złym duchem, i znowu się roześmiała.

— Dobrze, dobrze, nie wyjdzie pani za niego. Tylko proszę nie błyskać na mnie tymi szmaragdami, bo aż się trzęsę ze strachu!

— Czyż pani wyszłaby za Malcolma? — zapytałam i znowu usiadłam.

— Niech pani sobie wyobrazi, że należy pani do kogoś podobnego!

Niech pani pomyśli, że kogdś podobnego widuje pani dzień w dzień!

Niech pani pomyśli, jak tu żyć z człowiekiem, który nie rozumie żadnego żartu, nie powie nic wesołego od początku do końca tygodnia.

Och!

— Co do tego wypuściła kłęb dymu — to mężowie są zupełnie osobną rasą. Na świecie są mężczyźni, kobiety i mężowie, i jeżeli płacą nasze rachunki i wyjeżdżają na długie polowania do Afryki, to już jest wszystko, czego można od nich wymagać. Żądać jeszcze, żeby rozumieli się na żartach, to już zbytek. Mój mąż na przykład jest bardzo niewygodny, bo niezmiennie mnie ubóstwia i opuszcza mnie najwyżej na trzy tygodnie kuracji w Hamburgu albo gdy od czasu do czasu wyjedzie na tydzień do Paryża; ale Malcolma można przecież wysłać bodaj w Góry Skaliste albo do innych tego rodzaju miejsc, bo to jest sportsmen.

— Ja mam inne pojęcie o mężu.

— Jakie masz pojęcie, kobieto-wężu?

— Dlaczego pani mnie nazywa kobietą-wężem? Ja nienawidzę węzów.

— Dlatego że pani jest taka giętka i zręczna, nie ma ani jednej prostej, kanciastej linii w pani ruchach — wygląda pani tak jakoś perwersyjnie ponętnie i tak interesująco, i tak nie po

angielsku, i zupełnie nie rozumiem, dlaczego, u Boga, ciotka Katarzyna zaprosiła tu panią do tych swoich okropnych dziewczyn. Wolałabym nie mieć moich trzech aniołków, jeżeliby dorósłszy miały być do nich podobne.

Potem pokazała mi fotografie swoich trzech aniołków — prawdziwe pieśczołki. Ale mój wygląd widocznie nie dawał jej spokoju, bo znów wróciła do tego tematu.

— Skąd się pani taka wzięła? Czy pani matka była cudzoziemką?

Powiedziałam jej, że biedna mama była raczej „wypadkiem” i że nie była nikim bardzo znacznym. Ale nie można wiedzieć, być może miała jakichś osobliwych przodków — może jestem mieszaniną z czerwonoskórymi albo z Murzynami?

Spojrzała na mnie badawczo.

— Nie, na pewno nie, pani jest Wenecjanką — tak, na pewno — jakąś przewrotną, piękną przyjaciółką doży, która odżyła w naszych czasach.

— Wiem, że jestem przewrotna — rzekłam — zawsze mi to mówiono, ale dotychczas nic jeszcze nie zrobiłam przewrotnego, ani nie miałam z tego żadnej korzyści, ani przyjemności, a chciałabym nareszcie coś z tego mieć. Znowu się roześmiała.

— Dobrze, więc niech pani jedzie ze mną do Londynu w sobotę, a zobaczymy, co się nam uda zrobić.

To brzmiało tak ponętnie, a jednak jakiś głos kazał mi odmówić. Gdyby ton jej zaproszenia był choć trochę protekcyjny, odmówiłabym w jednej chwili. Zgodziłam się jednak. Siedziałyśmy i rozmawiały długi czas, a ona mówiła mi wiele interesujących rzeczy. Świat, jak mnie zapewniała, jest rozkoszny, byle unikać nudnej pańszczyzny, mieć dobrego kucharza i kilku miłych przyjaciół. Potem opuściłam ją, bo nagle postanowiła zejść na drugie śniadanie i miała się ubierać.

— Myślę, że to nie byłoby bezpieczne zostawiać was teraz samych z Robertem — rzekła. Rozgniewało mnie to.

— Obiecałam nie flirtować z nim, czy to nie dosyć? — zawołałam.

— Wierzę ci, kobieto-wężu — powiedziała, a jej spojrzenie stało się jakieś smutne — ale ty masz dwadzieścia lat, a ja przeszło trzydzieści. A on jest mężczyzną — więc nie można

być dosyć ostrożną! — Potem roześmiała się i zostawiłam ją wsuwającą nóżki w błękitne pantofelki i dzwoniącą na pokojówkę.

Nie wiem, czy wiek tu dużo znaczy, bo ona jest o wiele, o wiele bardziej pociągająca niż jakakolwiek młoda dziewczyna i nie musi się mnie obawiać. Ale jedna rzecz mnie uderzyła, o której nieraz myślałam i dawniej: że takie zatrzymywanie mężczyzny przy sobie różnymi manewrami musi być niezmiernie przykre i poniżające we własnych oczach. *Nigdy* nie zrobiłabym tego i w żadnej okoliczności. Jeżeliby nie chciał przy mnie zostać, bo byłoby na świecie coś, co pociągałoby go bardziej, to niechby sobie jechał. Powiedziałabym: „*Je m'en fiche*”¹⁰. Przy drugim śniadaniu, na które przybyli i myśliwi — nie było takiego miłego pikniku w leśniczówce, czy w jakimś pawilonie, jak nieraz w Brauches — siedziałam między dwoma starymi dżentelmenami i starałam się być pełna szacunku, uważać i rozumieć, co mówią. Jeden z nich był bardzo miły staruszek i pod koniec zaczął mi prawić komplementy. Śmiał się i śmiał ze wszystkiego, co mówiłam.

Naprzeciwko mnie siedzieli Malcolm i lord Robert, a między nimi lady Ver. Obaj byli nachmurzeni. Nadaremnie starała się ich choć trochę rozweselić. Udało jej się to wreszcie z wielkim trudem. Ja też się nie bawiłam.

Gdy śniadanie się skończyło, lord Robert odważnie podszedł wprost do mnie.

— Dlaczego pani jest taka kapryśna? — zapytał. — Nie chcę, żeby mnie pani tak traktowała! Wie pani przecież bardzo dobrze, że przyjechałem tu tylko dla pani. Jesteśmy przecież przyjaciółmi — czy też byliśmy.

Więc dlaczego?

Mogłam zrobić tak, żeby formalnie dotrzymać mojej obietnicy, a jednak złamać ją w rzeczywistości, dając mu do zrozumienia, że była tu czyjaś interwencja. Uważałam jednak, że trzeba wypić to, czego się nawarzyło; zaczęłam wyglądać przez okno i odpowiedziałam zimno, że przecież ja zachowuję się całkiem przyjaźnie i nie rozumiem zupełnie, czego on chce, po czym zaraz zwróciłam się do mego starego dżentelmena i przeszłam z nim do biblioteki. W rzeczywistości byłam tak

¹⁰ *Je m'en fiche* (franc.) Nie obchodzi mnie to.

zimna, jak tylko mogłam nie okazując się niegrzeczną, ale przez cały czas było mi bardzo ciężko na sercu. On patrzył wciąż z takim wyrzutem i taki był zmartwiony, a przy tym było mi niemiło, że uważa mnie za kapryśną.

Nie widziałam go aż do herbaty. Ale pora picia herbaty nie jest w Tryland specjalnie przyjemna. Jest równie sztywna jak śniadanie i obiad. Lady Ver ani na chwilę nie puszczała lorda Roberta od swego boku, a natychmiast po herbacie wszyscy zaczęli grać w brydża i grali, dopóki nie nadszedł czas ubierania się do obiadu.

Można by pomyśleć, że lady Katarzyna nie zaaprobuje gry w karty, ale widocznie każdy musi mieć jakąś słabość. Ona lubi brydża i gra z największą przyjemnością.

Nie mogę opisać szczegółowo reszty pobytu. Byłam nieznośna i muszę się do tego przyznać. Los uwziął się na lorda Roberta i zsyłał mu różne przeszkody, ile razy chciał ze mną porozmawiać. Czułam, że muszę być bardzo zimna i niedobra, bo inaczej gotowam ulec; muszę się przyznać — on mnie bardzo pociąga. Nie patrzyłam już na niego ani razu spod rzes, a następnego dnia już nawet nie próbował narażać się na nowe przykrości.

Niekiedy tylko patrzył na mnie z gniewem, zwłaszcza gdy Malcolm zwieszał się nade mną; lady Ver mówiła mi potem, że był w okropnym humorze.

Była taka słodka dla mnie, jak gdyby chciała wynagrodzić mi to, że nie mogę flirtować z lordem Robertem. Naturalnie nigdy nie pozwoliłabym sobie pokazać jej, że mnie to dużo obchodzi.

Wreszcie nadszedł piątek i ostatni wieczór. Siedziałam w swoim pokoju od herbaty aż do obiadu. Nie mogłam już dłużej znosić Malcolma. Do tej pory udawało mi się wykręcać, ale wciąż wisiała nade mną ta dana mu bezmyślnie obietnica. Wymykałam mu się, ile razy zabierał się do wyjaśnienia, co to było, ale to nie przeszkadzało mu wciąż prawić mi nudnych czułych słówek, zmieszanych z pełnymi wyższości i zarozumiałości radami. Nie wiem, do czego by to doszło, lecz gdy zaraz po herbacie stał się niemożliwie czuły, zdecydowałam się rzucić bombę: — Nie wierzę ani jednemu słowu z tego, co pan mówi — wiem, że naprawdę interesuje się pan tylko Angelą Grey.

Jakby w niego piorun trzasnął, upadł na krzesło. A więc naturalnie to nie jest koń. Byłam tego pewna. Prawdopodobnie to jedna z tych osób, które znają wszyscy młodzi ludzie, jak mówiła pani Carruthers. Nazywała je nawet ich młodzieńczą odra i wietrzną ospą.

Wszyscy starzy panowie bardzo dużo rozmawiali ze mną, a nawet dwóch młodych także, ale nie miałam dzisiaj swego zwykłego humoru. Kiedyśmy się mieli rozchodzić spać w piątek wieczorem, lord Robert podszedł nagle do lady Ver, która stała trzymając mnie pod rękę.

— Zdaje się, że będę mógł pójść jutro z panią do teatru. Zatelefonuję po Campiona na czwartego, tylko niech i pani postara się o jakąś towarzyszkę.

— Spróbuję — odpowiedziała lady Ver i spojrzała mu prosto w oczy, po czym zwróciła się do mnie:

— Wiem, że to będzie okrutne zostawić cię samą zaraz pierwszego wieczoru, Ewelino (już zwracała się do mnie po imieniu; ja nigdy bym tego nie zrobiła wobec obcych), ale sądzę, że nie możesz jeszcze pokazywać się w teatrze.

— Lubię być sama — odrzekłam — pójdę wcześniej spać. Potem postanowiliśmy, że wszyscy zjedzą obiad u lady Ver i stamtąd pojedą. Wiedząc zatem, że jeszcze zobaczę lorda Roberta, nawet się z nim nie pożegnałam, a nazajutrz on wyjechał pierwszym rannym pociągiem. Cała masa gości jechała razem z nami do Londynu. Moje pożegnanie z lady Katarzyną było zimno-serdeczne.

Podziękowałam jej za uprzejmość i dobroć, jakie okazała zapraszając mnie tutaj. Nie ponowiła zaproszenia; zapewne uważa, że osoba tego rodzaju co ja, zwracająca na siebie uwagę, nie jest odpowiednim towarzystwem dla jej robiących torebki i haftujących kościelne obrusy córek. Powiedziała do lady Ver, że wprawdzie byłam bardzo starannie wychowana i kształcona przez panią Carruthers, jednak nigdy nie mogła zaaprobować jej poglądów na moje wychowanie. Ocaliwszy mnie od przebywania sam na sam z panem Carruthersem sądzi, że zrobiła wszystko, co powinna była dla mnie zrobić. Uważała, że moja pozycja będzie w przyszłości krępująca dla jej kółka. Lady Ver opowiadała mi to wszystko z wielką uciechą. Była pewna, że mnie to zabawi, bo ją to niesłychanie bawiło. Ale mnie było

dosyć gorzko i przypomniała mi się historia o chłopcach i zabach! Lady Ver od czasu do czasu wysuwa pazurki i drapie, śmiejąc się przy tym. Być może sama tego nie czuje.

Dom jest ładny i pełen pięknych rzeczy. Przyjechałyśmy zaledwie w porę, żeby spiesznie zmienić suknie i zejść na obiad. Zeszłam na dół pierwsza i zastałam lorda Roberta i pana Campiona w salonie. Sir Charles Vermingham jest w Paryżu, więc go jeszcze nie poznałam. Lord Robert gładził po włosach najstarszego aniołka, który jeszcze nie poszedł spać. Najmilsze stworzonko na świecie i takie grzeczne, zupełnie odmienne od bębnow Mary Mackintosh.

Sztywno przedstawił pana Campiona i wrócił znów do Mildred.

A we mnie zaszła jakaś reakcja po ostatnich nudnych dniach.

Spojrzałam więc panu Campionowi prosto w oczy spod rzęs i przyniosło to naturalnie taki efekt jak zwykle. Natychmiast się mną zainteresował.

Nie rozumiem, dlaczego to tak działa na tych śmiesznych mężczyzn.

Pamiętam, że pierwszy raz zauważyłam to jeszcze w szkolnym pokoju w Brauches. Pisałam właśnie nieznośne ćwiczenie na *participe passé* i byłam bardzo przejęta, gdy jeden ze starych ambasadorów przyszedł do mademoiselle. Spojrzałam na niego bystro z nieco schyloną główką, a on zniżonym głosem powiedział do mademoiselle po niemiecku, że mam najdziwniejsze oczy, jakie w życiu widział i że to spojrzenie spod rzęs to diabelska sprawka. Teraz nawet, kiedy wiem, że takie diabelskie sprawki to jest coś pociągającego, nie zapomniałam o tamtej scenie, chociaż nie miałam wtedy jeszcze piętnastu lat. Zawsze sobie postanawiałam, że gdy dorosnę i zapragnę miłych wrażeń, będę próbowała tego sposobu. Dotychczas niewiele miałam okazji poza próbami wobec pana Carruthersa i lorda Roberta.

Pan Campion siadł obok mnie na wielkiej sofie i zaczął dowodzić, że powinnam jechać z nimi do teatru. Odpowiedziałam aksamitnym głosem, że moja żałoba jest zbyt świeża, a on zaczął się usprawiedliwiać zmieszany.

Wygląda zupełnie przyzwoicie; jest zgrabny i elegancki jak lord Robert, ale nie tak przedziwnie kształtny. Rozmawiali-

śmy z dziesięć minut. Ja mówiłam bardzo mało, ale on ani na chwilę nie odwracał oczu od mojej twarzy. Przez cały czas czułam, że lord Robert kręci się niespokojnie. Bawił się porcelanową krówką stojącą na małym stolyczku i właśnie gdy służący zaanonsował przybycie pani Fairfax, upuścił ją na podłogę i stłukł.

Pani Fairfax nie jest ładna; ma miedziane włosy, ciemniejsze u nasady, i bardzo ciemną skórę — widać z boku, jak gdzieniegdzie róż siedzi grudkami. To musi być wielki kłopot tak sobie robić to wszystko, ale w każdym razie lepsze to, niż wyglądać jak Mary Mackintosh. Chodzi nieładnie, bo jedne części ciała ma za długie, a inne za krótkie. Ja lubię, żeby wszystko było na swoim miejscu i we właściwych rozmiarach — jak u lorda Roberta. Lady Ver nadeszła po chwili i wszyscy poszliśmy na obiad. Pani Fairfax bardzo dużo mówiła. Lady Ver nie nazbyt ją lubi, jak mi mówiła w pociągu, ale musiała zatelefonować do niej, bo w tak krótkim czasie nie można było znaleźć nikogo z osób, które pan Champion«lubi.

— To jest taki rodzaj kobiety, która zna wszystkich i nie ma żadnej dumy. Można ją mieć zawsze na zawołanie.

Otóż jeżeli naprawdę zostanę awanturnicą, to nie chcę być taka jak ona. Obiad był bardzo wesoły.

Lady Ver, gdy bawi z daleka od swych poważnych krewnych, jest bardzo interesująca. Mówi wszystko, co jej przyjdzie do głowy. Pani Fairfax była bardzo zmartwiona, że pan Champion odzywa się do mnie, ale że ona mnie nie obchodzi, więc nic sobie z tego nie robiłam i bawiłam się bardzo dobrze. Ponieważ towarzystwo było tak nieliczne, więc lord Robert i ja musieliśmy trochę rozmawiać ze sobą i ze dwa razy zapomniałam się i uśmiechnęłam się do niego, a on wtedy podnosił brwi do góry z tą swoją żalną miną i wyglądał wtedy tak pociągająco, że przypomniałam sobie nagle wszystko i z miejsca zawróciłam. Gdyśmy zeszli do holu, gdzie lady Ver i pani Fairfax wkładały płaszcze, lord Robert podszedł bliźutko do mnie i szepnął:

— Nie mogę pani zrozumieć. Musi być jakiś powód, że pani traktuje mnie w ten sposób, i ja go znajdę! Dlaczego jesteś tak okrutna, ty, małe tygrysiątko — i niespodziewanie ścisnął mnie za palec, że o mało nie krzyknęłam.

To mnie rozgniewało.

— Jak pan śmie robić coś podobnego! — zawołałam. — Dlatego pan sobie tak pozwala, że tu nie ma komu ująć się za mną.

Moje oczy ciskały błyskawice, ale w gardle coś mnie ścisnęło. Gdyby to był kto inny, toby mnie tylko rozgniewało, ale nie zraniło, ale on był wobec mnie w Brauches tak pełen szacunku i ja go tak lubiłam.

A jemu twarz natychmiast się zmieniła; zniknął z niej dziki wyraz i wyglądał teraz bardzo biednie.

— Och, niech pani tak nie mówi — szepnęła z przejęciem — pani sama wie, że to nieprawda.

W tej chwili podszedł do nas pan Champion w rozpiętym futrzanym płaszczu. Zaczął mi mówić różne miłe rzeczy — że się koniecznie musimy spotkać, że powinnam z nim jechać i tak dalej, aleja spokojnie powiedziałam dobranoc i zaczęłam wchodzić na schody, nie przemówiwszy już ani słowa więcej do lorda Roberta.

— Do widzenia Ewelino, kochanie — rzekła lady Ver, która zawróciła po coś do salonu, a teraz schodziła na dół. — Tak mi przykro, że cię zostawiam, ale obiecuję jutro ci to wynagrodzić i trochę cię zabawić. Wyglądasz tak bladziutko, pewnie zmęczyła cię podróż.

— Tak, jestem rzeczywiście zmęczona — odrzekłam, starając się mówić naturalnym tonem, ale przy ostatnich słowach głos mi nagle zadrżał, a że lord Robert stał tuż obok, bo rzucił się za mną aż na schody, więc obawiam się, że musiał to usłyszeć.

— Panno Travers, proszę panią — zaczął błagalnie, ale ja pobiegłam do najbliższego podestu, a lady Ver wsunęła mu rękę pod ramię i pociągnęła go za sobą; gdy doszłam do swego pokoju, usłyszałam, że drzwi wejściowe zamknęły się. I oto poszli już sobie, a ja jestem sama. Mój pokój jest bardzo wygodny i ogień pali się tak jasno. Mam duży fotel i książki, i ten mój dzienniczek, i wszystko jest takie przytulne, tylko ja czuję się tak nędznie. Nie chcę płakać i nie chcę okazać się śmiesznym tchórzem. Oczywiście to bardzo zabawne być wolną, i właściwie to wcale się nie martwię śmiercią pani Carruthers — tylko może jestem trochę zanadto samotna i przy tym... chciałabym być w teatrze. Nie, nawet nie można tego napisać.

Dobranoc, dzienniczku!

PARK STREET 300 Środa, 23 listopada

Och, jak to śmiesznie pragnąć gwiazdki z nieba, a jednak tak właśnie jest ze mną. Siedzę tu w wygodnym domu, mam uprzejmą gospodynię, nie potrzebuję na razie pieniędzy, a jednak tak się czuję nieswojo i często jestem nawet nieszczęśliwa.

Przez cztery pierwsze dni po moim przyjeździe lady Ver była bardzo dobra i uprzejma dla mnie. Starła się o moje rozrywki i po prostu mnie rozpieszczała. Jeździłyśmy jej pojazdem i robiłyśmy sprawunki i co dzień miałyśmy na drugim śniadaniu miłych gości i osiągnęłam to, co nazywają sukcesem. Przynajmniej lady Ver tak twierdzi.

Zaczynam rozumieć wszystko lepiej niż dawniej i widzę, że nie można mieć głębszych uczuć, jeżeli człowiek chce się cieszyć życiem.

Jeszcze przez dwa wieczory lady Ver wychodziła za każdym razem wyrażając niezmierny żal, że mnie zostawia samą. Domyślam się, że widywała się z lordem Robertem, ale on tu nie był, co mnie cieszy.

Jestem w prawdziwej przyjaźni z aniołkami, które są przemiłe i bardzo dobrze wychowane. Lady Vermingham zna się znacznie lepiej na wychowaniu dzieci niż Mary Mackintosh, chociaż nie rozprawia tyle o tym.

Nie chce mi się myśleć, co zrobię w najbliższej przyszłości.

Przypuszczam, że wkrótce przyzwyczaję się do takiego trybu życia, ale na razie jeszcze czuję w swoim położeniu dużo goryczy. Nie cierpię tej myśli, że ktoś może być dla mnie dobry z litości. Może to głupio z mojej strony.

Jutro ma być na śniadaniu lady Merrenden. Chciałabym ją zobaczyć, bo lord Robert mówi o niej z takim przywiązaniem! Jestem ciekawa, co się z nim dzieje, że się tu wcale nie pokazał — jestem ciekawa. Nie, naprawdę robię się śmieszna.

Lady Vermingham nie schodzi nigdy na pierwsze śniadanie; najczęściej zaprasza mnie do swego pokoju i tam dostaję śniadanie na osobnej tacce. Rozmawiamy, a ona czyta mi wyjątki ze swojej korespondencji. Zdaje się, że kocha się w niej cała masa ludzi to musi być bardzo miłe.

— To utrzymuje przy mnie Karolka — wyjaśniła mi — bo zdaje sobie sprawę, że posiada na własność to, czego tylu innych na próżno pożąda. Powiada też, że wszyscy mężczyźni z natury są zdobywcami, skłonni do walki i nie cenią tego, co zdobywają łatwo i o co nie muszą się troszczyć. Zawsze powinni mieć wrażenie, że wymkniesz im się jak sen, jeżeli choćby na chwilę tylko zmniejszą swe usiłowania, aby ci się podobać.

Naturalnie, że czasem mąż bywa przywiązany, ale serce nie zabije mu żywiej i wtedy życie jest nudne. Lady Ver twierdzi, że nie potrafiłaby żyć z człowiekiem, którego nie mogłaby przyprawić o żywsze bicie serca.

Ciekawa jestem sir Karola.

Po południu grywają przeważnie w brydża, aja rozmawiam sobie z tym, który jest na razie wychodzący i bawi mnie to, że taki pan potem strasznie nie ma ochoty wracać do gry.

Uczę się mnóstwa rzeczy.

W nocy

Pan Carruthers zjawił się dziś po południu z wizytą. Był ostatnim człowiekiem, którego spodziewałam się widzieć, gdy weszłam po śniadaniu do salonu; czekał tam na lady Ver. Byłam już ubrana jak do wyjścia i w dużym czarnym kapeluszu, w którym mi jest, na szczęście, bardzo do twarzy.

— Pani tu? — wykrzyknął, gdyśmy sobie podawali ręce.

— A tak, dlaczegoż by nie? — odrzekłam. Zachowywał się bardzo powściągliwie i z rezerwą, jakby obawiał się wplątać znowu w tę grę, która była dla niego niewygodna. To obudziło we mnie natychmiast chęć, żeby to wszystko zmienić.

— Lady Ver była bardzo uprzejma i zaprosiła mnie na kilka dni do siebie, kiedyśmy wyjeżdżały z Tryland — powiedziałam.

— Och, więc pani tu mieszka! A ja byłem w Tryland przedwczoraj — otrzymałem bardzo kunsztownie wypracowane zaproszenie od lady Katarzyny: „zjeść obiad i przespać się spokojnie”, które przyjąłem tylko dlatego, że miałem nadzieję zastać tam panią.

— Jak to uprzejmie z pana strony — rzekłam słodko. — I nic tam panu nie powiedzieli, że odjechałam razem z lady Ver?

— Ani słóweczka. Oznajmili mi tylko, że pani wyjechała do Londynu, więc przypuszczałem, że spełniła pani swój oryginalny zamiar zamieszkania w „Claridge” i wybierałem się tam odwiedzić panią któregoś dnia.

Znowu powtórzyłam, że to bardzo uprzejmie z jego strony i spuściłam oczy. Przez kilka sekund milczał i ja też.

— Jakie ma pani plany? — zapytał szorstko.

— Nie mam żadnych planów!

— Ależ musi pani w końcu mieć — to przecież śmieszne — musi pani powziąć jakąś decyzję, jak sobie ułożyć życie.

— Nie, nie mam na razie tego zamiaru — odpowiedziałam spokojnie — kiedy opuszczę ten dom w sobotę, wsiądę do dorożki i przez ten czas, gdy będziemy jechać przez Park Lane, namyślę się, dokąd ma mnie zawieźć.

Kręcił się i patrzył niepewnie, aja spojrzałam na niego spod kapelusza. Sama nie wiem, dlaczego już nie pociąga mnie tak jak dawniej. Ma coś zimnego i cynicznego w twarzy.

— Posłuchaj mnie, Ewelino — rzekł w końcu. — Coś trzeba z tobą postanowić — nie mogę pozwolić, żebyś się tak sama błąkała po świecie. Bądź co bądź jestem twoim opiekunem, musisz to przyznać.

— Nie uznaję tego ani trochę.

— Ty niemożliwe, nieznośne stworzonko, ty mała czarownico.

— Tak, i lady Vermingham mówi, że ja jestem czarownicą i wężem, i w ogóle wszystkim, co jest pociągające i złe, i że powinnam pojechać dokądś w takie miejsce, gdzie mogłabym wykazać te swoje zalety.

Anglia jest nudna—co by pan myślał o Paryżu?

Och, jak mnie bawiły te przekomarzenia się z nim. Nikomu na świecie nie lubię tak dokuczać jak właśnie jemu.

Chodził po pokoju tam i z powrotem. Mienił się na twarzy.

— Nie może pani jechać do Paryża sama. Jak pani może myśleć o czymś podobnym!

Nic nie odpowiedziałam. Doprowadziło go to do rozpacz.

— Mówiła mi pani, że krewni jej ojca poumierali, a o krewnych swojej matki pani nic nie wie? Ale kim była pani matka? Jakie było jej nazwisko? Może odnajdziemy kogoś, kogo udałoby się z panią sklecić.

— Moją matkę *nazywano* miss Tonkins.

— A więc to nie było jej nazwisko? Co pani przez to rozumie?

Nie cierpię tych pytań.

— Przypuszczam, że to było jej nazwisko. Nie słyszałam nigdy, żeby miała inne.

— Tonkins? — powtarzał. — Tonkins? — i patrzył na mnie ze swoją miną mnicha z czasów inkwizycji.

Umiem być bardzo irytująca, nie mówiąc ludziom rzeczy, które chcą wiedzieć. Nie powiedziałam też i teraz tego, co by mu wyjaśniło wiele spraw, a co pani Carruthers nieraz w napadzie gniewu ciskała mi na głowę: że ojcem biednej mamy był lord de Brandreth, a jej matką Bóg wie kto! — Widzi więc pan — zakończyłam — że nie mam żadnych krewnych, czy tak? Usiadł na sofie.

— Ewelino, a więc nic ci innego nie pozostało, musisz wyjść za mnie. Usiadłam naprzeciwko niego.

— Och, jaki pan zabawny — zawołałam. — Pan taki mądry dyplomata i tak mało zna się na kobietach. Kto, na miłość boską, przyjąłby podobną ofertę! — i zaczęłam się śmiać i śmiać bez końca.

— I co ja mam z panią zrobić! — wykrzyknął z gniewem.

— Nic! — śmiałam się ciągle. I spojrzałam na niego tym wzrokiem, który miał być „sprawką diabła”. Podszedł i przemocą wziął mnie za rękę. — Tak, pani jest czarownicą — rzekł — czarownicą, która zmienia ludzkie poglądy i postanowienia. Postanowiłem stanowczo zapomnieć o pani, wykreślić panią z mojego życia, bo pani jest dla mnie bardzo niewygodna, wie pani, ale jak zobaczyłem panią, mam tylko jedno pragnienie: *Muszę* mieć panią dla siebie — pragnę całować panią, dotykać, obejmować. Pragnę zabronić wszystkim mężczyznom patrzeć na panią — czy ty mnie słyszysz, Ewelino?

— Tak, słyszę — odpowiedziałam. — Ale to nie robi na mnie żadnego wrażenia. Pan pewno będzie okropny jako mąż. Och, ja teraz wiem już dużo o mężach — i spojrzałam na niego.

— Widziałam różnego rodzaju mężów w Tryland, a lady Vermingham opowiedziała mi resztę i jestem przekonana, że pan będzie niemożliwy w tej roli. Roześmiał się z przymusem, ale nie puszczał mojej ręki.

— Niechże mi pani opisz typy tych mężów, żebym mógł wiedzieć, do jakiego ja bym się zaliczał — powiedział poważnie.

— Najpierw jest rodzaj Mackintoshowski — pokorny, ciam-cia-ramcia, coś w rodzaju starszej niańki — zaczęłam.

— Obawiam się, że to nie mój typ.

— Potem idzie rodzaj Montgomeire, samolubny, gderający, twardy w dawaniu pieniędzy...

— Ale ja nie jestem Szkotem.

— Nie, ale co z tego — lord Kestervin był Anglikiem, a hałasował i przeklinał i co chwila łąził do stajni.

— Ja będę miał grooma.

— A wszyscy byli nieuprzejmi i obojętni dla swoich biednych żon! I nudni, i sami znudzeni. A jeden opowiadał nieskończenie długie historie, jeden był głuchy, a inny otwierał listy swojej żony, zanim zesłała na dół.

— Niech mi pani opowie o cechach doskonałych mężów, żebym się mógł ich nauczyć.

— Powinni płacić wszystkie rachunki.

— Dobrze, to mogę zrobić.

— I nie powinni się mieszać do spraw swych żon. I powinni być tacy, żeby można było ich serca zmusić do żywszego bicia.

— No, przecież pani może to zrobić z łatwością — zawołał i przysunął się do mnie bliźutko.

Cofnęłam się.

— I powinni podróżować długo i daleko, chociażby do Gór Skalistych, przez całe miesiące, i to z przyjaciółmi, mężczyznami.

— Co to, to nie! — zawołał.

— Więc widzi pan — powiedziałam — na najważniejszą rzecz pan się nie chce zgodzić! W takim razie nie ma po co mówić dalej.

— Owszem, jest po co. Pani jeszcze nie powiedziała nawet połowy tego, co trzeba. A czy oni potrafią doprowadzić serca swych żon do żywszego bicia?

— Pan tak mi ściska rękę, że mnie boli. Puścił rękę.

— Czy potrafią?

— Lady Ver mówiła, że żaden mąż nie potrafi tego zrobić, bo sam fakt, że jest mężem, sprawia, że nasze serce jest zawsze przy nim spokojne. A mąż ma nawet przywilej doprowadzania żony do ziewania; ale ona powiada, że to nic nie szkodzi i że wystarcza, aby wasze, mężowskie serca biły dla nas.

— A więc serca kobiet nie biją nigdy — jak pani powiada.

— Naturalnie, że biją! Jaki pan jest naiwny na swoje trzydzieści lat. Biją ciągle dla ludzi, którzy... och, którzy nie są mężami.

— To jest więc rezultat pani obserwacji, czy nie tak? Prawdopodobnie pani ma rację, a ja byłem szaleńcem.

— Ktoś mi mówił wczoraj przy śniadaniu, że i dla pana bije serce pewnej pięknej pani w Paryżu.

Zmienił się odrobinę na twarzy, tak odrobinę, że prawie nie było drgnienia, tylko tyle, bym mogła poznać, że odczuł moje słowa.

— Ludzie naprawdę są zbyt uprzejmi, tak się mną zajmując — ale nie zbliżyliśmy się ani trochę do celu naszej rozmowy. Kiedy pani wyjdzie za mnie? — Nie wyjdę za pana nigdy, panie Carruthers — rzekłam — chyba że zostałabym starą panną i nikt inny by mnie nie chciał. Wtedy, jeżeli będzie pan mnie bardzo błagać na kolanach, być może dam panu koniuszek mego palca — i poszłam ku drzwiom, złożywszy mu powłóczysty i głęboki ukłon. Rzucił się za mną.

— Ewelino! — zawołał zatrzymując mnie — nie jestem w ogóle gwałtownym człowiekiem, jestem raczej zimny, ale ty umiesz doprowadzać ludzi do szaleństwa. Zobaczysz, że prę-czej czy później ktoś cię zadusi — czarownico!

— Więc teraz wolę uciekać, żeby ocalić moją szyję — odrzekłam, uśmiechając się do niego przez ramię. Otworzyłam drzwi, wbiegłam na schody i z góry patrzyłam na niego przez poręcz.

— Do widzenia! — zawołałam śmiejąc się, gdy wyszedł do holu, a on, nie czekając na lady Ver, zbiegł na dół i poszedł sobie.

— Ewelino, coś ty robiła? — zapytała lady Ver, gdy weszłam do jej pokoju. Pokojówka zawiązywała jej woal dokoła kape-

lusza i drżały jej ręce przy tej robocie. Lady Ver jest dla niej niekiedy bardzo ostra, daleko gorsza niż ja dla Weroniki. — Ewelino, masz jeszcze bardziej szelmowską minę niż zwykle; natychmiast mi się wypowiadaj.

— Byłam łagodna jak baranek — odpowiedziałam.

— Więc dlaczego te dwa szmaragdy tak migocą, jeżeli wolno zapytać?

— Błyszczą radością spokojnego sumienia — odrzekłam z powagą.

— Posprzeczałaś się z panem Carruthersem. Idź już sobie, Welby!

Głupia dziewczyna! Nie widzisz, że ta woalka przyciska mi nos?

Welby odeszła pokornie. Lady Ver, ile razy ją wyłaje, zawsze potem posyła ją do teatru. Welby ją ubóstwia.

— Ewelino, jak śmiesz! Już widzę, jak to było. Słyszałam już o tym trochę od Roberta. A więc posprzeczałaś się z jedynym człowiekiem, za którego powinnaś wyjść za mąż.

— Co lord Robert może o mnie wiedzieć? — zapytałam. Rozgniewało mnie to.

— Mówił tylko, że pan Carruthers zachwycił się tobą w Brauches.

— Och!

— Krzysztof jest przecież bardzo interesujący. Należy do „ulubionych pieszczoszków wszystkich mężatek”, jak mówi Ada Fairfax, i nigdy dotychczas nie zbliżał się do żadnej panny. Powinnaś być nam wdzięczna, że w ogóle pozwalały mu patrzeć na ciebie, ty kokietko! — zamiast sprzeczać się z nim, bo już widzę, że tak było.

— Ale przecież i ja muszę mieć swoje drobne przyjemności, skoro nie mogę jeszcze bywać w teatrach — odrzekłam.

— Natychmiast mi o tym opowiedz! — rozkazywała tupiąc nóżką.

Ale jeszcze dawniej, za czasów pani Carruthers, dowiedziałam się, że lepiej swoje osobiste sprawy zachowywać dla siebie, więc trochę pożartowałam, poblagowałam i w końcu, gdyśmy wyjeżdżały na przejażdżkę, nie była ani odrobinę mądrzejsza. W parku spotkałyśmy oddział trzeciego pułku gwardii eskortujący króla, który dokonał otwarcia jakiejś wystawy czy instytucji, a teraz powracał. Jechał i lord Robert w swoim pięknym mundurze, ze wspaniałym pióropuszem — tak ślicznie wyglądał — i serce zaczęło mi nagle bić tak mocno, aż mi się zrobiło wstyd i nic nie pomogło uspokajanie się refleksjami, że tylko

niańki i kucharki tak bardzo się zachwycają mundurem. Naturalnie, że musiały to zdziałać mundur i czarny koń, bo lord Robert jest przecież dla mnie nikim. Ale przykro mi pomyśleć, że ponieważ matka mojej mamy była podobno byle kim, więc ja mogłam odziedziczyć po niej to prostackie upodobanie do mundurów.

PARK STREET nr 300 Czwartek wieczorem, 24 listopada

Lady Merrenden jest taka miła! Jej twarz należy do tych, których nawet zmarszczki nie szpecą. Jest wysoka, wdzięczna w ruchach i zgrabna, choć ma już pewnie więcej niż pięćdziesiąt lat. Wyraz oczu ma taki jak lord Robert. Przy śniadaniu była dla mnie prawie serdeczna i zdaje się nie myślała, że muszę być koniecznie zła, ponieważ mam rude włosy i zielone oczy, jak przeważnie myślą o mnie starsze panie.

I ja też usiłowałam być dla niej miła. Nie robiła żadnych aluzji do mego osamotnienia, nie powiedziała nic nietaktownego, tylko zaprosiła mnie do siebie na śniadanie w taki sposób, jak gdybym była królową i mogła swoją obecnością przynieść zaszczyt jej domowi. Widziałam, że lady Ver z jakiegoś powodu nie życzy sobie, bym tam poszła; wynajdywała przeróżne wymówki, że chce mnie mieć tylko dla siebie, ale lady Merrenden, również stanowczo nalegała i w końcu postanowiono, że będę u niej w sobotę tego dnia, gdy lady Ver wyjedzie do swego ojca do Northumberland, a ja pojedę... dokąd? Niestety, gdybym to ja wiedziała. Gdy lady Merrenden wyszła, lady Ver powiedziała, że stare panie, które nie malują sobie włosów i nie interesują się brydżem, są nudne, a potem bardzo szybko wypaliła jeden po drugim trzy papierosy (Welby znowu dziś wieczorem poszła do teatru).

Odpowiedziałam, że mnie lady Merrenden wydała się czarująca. Ona wówczas po raz pierwszy zmyła mi trochę głowę i zapanowało między nami dłuższe milczenie; ale potem nagle

zaczęła bardzo dużo mówić, usadowiła się wygodnie na sofie — siedziałyśmy w jej osobistym saloniku, małym, przytulnym z francuskimi meblami, mnóstwem cacek, a obitym niebieskim jedwabiem. Twierdziła, że jest zaziębiona i musi zostać w domu. Przebrała się w śliczny szlafroczek, ale nie zauważyłam, żeby kaszlała albo miała katar.

— Charlie telegrafował, że wraca dziś w nocy—oznajmiła mi.

— Jakże to miło dla pani — rzekłam z sympatią. — Będzie pani mogła znów robić tak, żeby jego serce mocno biło.

— Na razie jednak będzie to niezbyt wygodne. Będę musiała być dla niego uprzejma, opowiadać mu o wszystkim i słuchać jego opowiadań i znosić jego względy, a ja się czuję taka chora — wreszcie zakaszłała, a potem rzekła: — Jaki dziś śliczny listopadowy dzień. Och, tak bym chciała móc przejść się po parku.

Uznałam, że byłoby okrucieństwem dłużej jej dokuczać, toteż wyjawiałam jej, że mam zamiar przejść się trochę z aniołkami.

— Tak, to ci dobrze robi, drogie dziecko — powiedziała wesoło — a ja zostanę tutaj i będę pielęgnować mój katar.

— Na później dzieci zaprosiły mnie na herbatę do swego pokoju, a ja przyjąłam zaproszenie — dodałam.

— To prawdziwy klejnot ta dziewczyna-wąż, domyślna i cienka jak włos — roześmiała się. — Czy znasz historię Torquilstone'a? — zapytała, gdy byłam już przy drzwiach. Wróciłam, choć sama nie wiem, dlaczego mnie to zainteresowało. — Brat Roberta — właściwie przyrodni brat — księżę Torquilstone, jest, jak może wiesz, prawie kaleką, ale jest kompletnie *toqué*¹¹ na jednym punkcie, mianowicie ich błękitnej krwi. Nie chce się wcale żenić, ale jeżeli mu się spodoba, może nie zostawić Robertowi nic oprócz gołego tytułu. — Tak — powiedziałam. — Matka Torquilstone'a była pokojówką, stary księżę ożenił się z nią będąc jeszcze małoletnim; a że po roku czy dwóch przeniosła się szczęśliwie do swoich znakomitych przodków, więc ożenił się po raz drugi, ale to już znacznie później, z lady Etelwidą Fitz Walter, matką lorda Roberta. Toteż między

¹¹ *Togué* (franc.) — postrzelony, stuknięty.

Robertem i księciem Torquillstone jest chyba różnica szesnastu lat.

— W takim razie dlaczego on jest tak *toqué* na punkcie błękitnej krwi, jeżeli ma taką plamę w rodowodzie?

— Właśnie dlatego. Uważa to za nieszczęście; powiada, że nawet gdyby nie był potworkiem, nie ożeniłby się, żeby tej plamy nie przekazywać dalszym pokoleniom Torquillstone'ów; toteż jeżeli Robert nie ożeni się z kimś, kto by miał rodowód mogący zadowolić austriackiego księcia, odda wszystko na dobroczynne cele i nie zostawi mu ani grosza.

— Biedny lord Robert — rzekłam, ale czułam, że mnie palą policzki.

— Tak, czy to nie przykre dla niego? Wobec tego nie może się żenić, dopóki jego brat nie umrze; bo w Anglii nie ma nikogo odpowiedniego.

— Ostatecznie nie jest to takie smutne — rzekłam — pozostaje mu jeszcze zawsze rozkoszna rola pieszczoszka mężatek — i roześmiałam się.

— Ty dzika kotko! — powiedziała, ale nie gniewała się.

— Mówiłam już pani, że drapię tylko wtedy, gdy mnie kto zadrapie — odrzekłam i wyszłam z pokoju.

Aniołki już wyszły na przechadzkę, więc Weronika poszła ze mną odszukać je. Szłyśmy prędko aleją od strony Stanhope Gate, upatrując w oddali błękitnych pluszowych płaszczków, gdy spotkałyśmy pana Carruthersa.

Przystanął i zawrócił za mną.

— Ewelino, taki byłem zły na ciebie wczoraj — rozpoczął — bliski już byłem wyjazdu z Londynu i pozostawienia cię swojemu losowi, ale zobaczyłem cię znowu i... — urwał.

— Pan sądził, że warto odwiedzić Paryż? — zapytałam z niewinną minką.

— Co oni ci naopowiadali? — zapytał posępnie, ale był wyraźnie zmieszany.

— Powiedzieli, że dziś jest piękny listopadowy dzień, że giełda jest miejscem bardzo nudnym i że gdyby nie było na świecie brydża, wszyscy popełniliby z nudów samobójstwo. Właśnie o tym rozmawialiśmy na Park Street.

— Pani bardzo dobrze wie, co mam na myśli. Co oni pani opowiedzieli o mnie?

— Nic prócz tego, że jest piękna francuska pani, która pana ubóstwia i której pan też jest oddany; a ja odnoszę się do tego z sympatią. Lubię Francuzki, bo tak ładnie umieją nosić kapelusze.

— To śmieszne plotki! W ogóle nie uważam, żeby Park Street było dla pani odpowiednim miejscem pobytu. Myślałem, że pani myśli poważniej i nie zajmuje się podobnymi bajeczkami.

— Dostosowuję się do mojego towarzystwa — roześmiałam się i czekałam na Weronikę, która z szacunkiem pozostała w tyle. Nadeszła ociągając się. Zwykle, jako Francuzka, gani angielską swobodę w obcowaniu, ale czuje się w obowiązku pomóc panu Carruthersowi. Poddała myśl, że może pobiegłaby naprzód i zatrzymała panienki. I wskazała na trzy błękitne płaszczyki w oddali.

— Tak, proszę to zrobić — rzekł pan Carruthers i zanim mogłam ją zatrzymać, już się oddaliła.

Zdraj czyni! Myślała o swym wygodnym życiu i ładnym pokoju w Brauches, jestem pewna!

Świeże, chłodne powietrze uderzyło mi do głowy jak wino. Poczułam się dziwnie wesoła i beztroska. Mówiłam panu Carruthersowi wszystko, co mi tylko przyszło do głowy, tak jak kiedyś Malcolmowi; tylko teraz było to o wiele zabawniejsze, bo pan Carruthers nie jest czerwonowłosym Szkotem i zna się na rzeczy.

Widocznie był to dzień spotkań, bo gdyśmy doszli do końca alei, zobaczyliśmy lorda Roberta idącego leniwie w naszą stronę.

Spochmurniał jak noc, gdy nas dostrzegł.

— Halo! Bob — zawołał wesoło pan Carruthers. — Nie widziałem cię od wieków. Może byśmy razem zjedli dzisiaj obiad. Mam lożę na operę i staram się przekonać pannę Travers, żeby też z nami poszła. Powiada, że o ile wie, lady Vermingham nie jest dziś wieczorem zajęta, więc moglibyśmy gdzieś razem zjeść obiad, a potem pójść do teatru, jak myślisz? Lord Robert zgodził się, lecz zaraz dodał:

— Panna Travers na pewno nie zechce pójść, bo mówi, że jest w zbyt ciężkiej żałobie.

W jego głosie brzmiała irytacja.

— Usiądę w głębi łoży i nikt mnie nie zobaczy — odpowiedziałam — a ja tak bardzo lubię muzykę!

— W każdym razie trzeba będzie wcześniej zawiadomić lady Vermingham — rzekł pan Carruthers. Lord Robert oznajmił, że właśnie do niej idzie i powie jej o naszym planie.

Wiedziałam o tym! Błękitny szlafroczek i róże u gorsu, i koronkowy czepeczek, i to zaziębienie, to wszystko nie było bez przyczyny.

Żałuję, że to napisałam; to podle z mojej strony, a ja nigdy nie bywam podła; widocznie ten wschodni wiatr tak na mnie podziałał.

Czwartek w nocy, 24 listopada

— Nareszcie zdecydowałaś się dopłynąć do portu — tymi słowami powitała mnie lady Ver, gdy około szóstej, nie słysząc głosów, weszłam do jej pokoju. (Pan Carruthers odprowadził mnie do samych drzwi, a potem poszłam na herbatę do dziecinnego pokoju, jak było zaplanowane). — Skoro już zdecydowałaś się raz pójść na operę, to może i na obiad pójdziesz z nami do Williego. Nie chcę być w domu, gdy Charlie powróci z Paryża. W taki wietrzny dzień, jak dzisiaj, będzie w niemożliwym humorze.

— Bardzo dobrze — odrzekłam.

Po co taka awanturnica jak ja ma być wrażliwa.

— I pamiętaj, że wychodzimy z domu trzy kwadransy na siódmą, pamiętaj o tym, kochanie — wołała za mną, gdy szłam się ubierać. Z zasady lady Ver traci dobrą godzinę na to, żeby się przemienić w takie urocze, ponętne stworzenie, jakim bywa zwykle wieczorem — właściwie nie ma z tym wiele roboty, bo jest z natury ładna, ale zdaje mi się, że trochę plotkuje, a trochę sprzecza się z Welby, pewnie dla rozrywki.

Dziś jednak w strachu przed małżonkiem, który wprost z przeprawy przez kanał miał wpaść w jej objęcia, ubrała się bardzo szybko i punktualnie o 6.45 zjawiała się na dole. W mgnieniu oka znalazłyśmy się w jej pojeździe i mknęłyśmy do Williego. Dotychczas tylko raz byłam w tej restauracji na śniadaniu z panią Carruthers i z ambasadorem. Jak to wesoło iść do restauracji wieczorem. Byłam podniecona jak nigdy

w życiu, a do tego jeszcze taka sytuacja! Lord Robert *fruit defendu!*¹², pan Carruthers *empresé*, a obu trzeba trzymać w karbach! Nie dałaby sobie rady nawet szesnastoletnia panienka prosto z klasztoru, jak mawiał stary hrabia Some-roff, kiedy chciał określić jakąś wyjątkowo trudną sytuację.

Czekali na nas tuż przy drzwiach i znowu zauważyłam, że obaj byli wspaniałymi typami, każdy w swoim rodzaju, i obaj wyglądali wyjątkowo dystyngowanie.

Lady Ver kiwała główką całemu mnóstwu osób, zanim usiedliśmy na naszych miejscach. Musi bardzo przyjemnie spędzać czas, mając tylu przyjaciół i znajomych. Kiedyś powiedziała mi coś, co wydało mi się bardzo prawdziwe, i zaczęłam o tym myśleć.

„Mądrzej jest starać się zaślubić przede wszystkim ten rodzaj życia, jaki się lubi. Sam człowiek mniej przy tym znaczy”. Ona zapewne tak zrobiła, ale ja chciałabym, jeśli to możliwe, mieć obie rzeczy: i Człowieka, i Życie!—Może, może!

Na tych kanapkach trzeba siedzieć ciasno obok siebie, a że naszym gospodarzem był pan Carruthers, więc on siedział obok lady Ver, a lord Robert obok mnie. Byłam niezwykle wesoła — mimo że ubrana całkiem żałobnie, bo nie miałam nawet fiołków. Było mi bardzo trudno nie rozmawiać przyjaźnie z moim sąsiadem; jego prostota i wdzięk w sposobie bycia prawie zmuszają do tego, ale jakoś starałam się skoncentrować całą moją uwagę na Krzysztofie, a jego pozostawić niejako na boku. Tylko ta jego bliskość sprawiała, że czułam — sama nie wiem dobrze, co czułam. W każdym razie prawie się nie odzywałam do niego. Lady Ver nie będzie mogła powiedzieć, że nie umiem dotrzymać zobowiązań. Nawet ona sama uznała widocznie, że niebezpieczeństwo minęło i starała się wciągnąć mnie w przyjazną pogawędkę, a wtedy lord Robert wyglądał jak szczęśliwy uczeń. Bardzo miło spędziliśmy czas. Pan Carruthers jest wzorowym gospodarzem. Ma niesłychanie miłe i wykwintne maniery dawnych dyplomatów, tylko nie ma ich fałszywych zębów i farbowanych włosów, i innych rzeczy. Chciałabym móc się w nim kochać, a nawet

¹² *Fruit defendu* (franc.) — zakazany owoc.

chciałabym, żeby jakiś głos wewnętrzny wmówił mi, że moim obowiązkiem jest wyjść za niego. Ale przeciwnie, wciąż jakiś głos we mnie mówi: „To jest absolutnie niemożliwe”. Gdy nadeszła chwila udania się na operę, lady Ver rzekła: „Ewelino, pan Carruthers zabierze cię do swojego samochodu, a mną zaopiekuje się Robert”. — Chodźże, Robercie — dodała widząc, że on się waha. — Och, lady Ver — powiedział wreszcie — najchętniej pojedę z panią, ale czy to nie będzie trochę dziwne, żeby panna Ewelina jechała sama z Krzysztofem, zważywszy jego charakter! Lady Ver rzuciła mu płomiennie spojrzenie, a Krzysztof bez wahania pociągnął mnie do swego samochodu. Lord Robert i ja byliśmy dwiema lalkami w ich rękach. Nie lubię takiej roli. Byłam zirytowana. Nie pozwoliłaby sobie tak się mną rozporządzać, gdybym była kimś, kto się liczy. Pan Carruthers wsiadł za mną i otulił mi nogi sobolowym futrem. Nie mówiłam ani słówka, myśląc sobie, że Covent Garden jest przecież niedaleko. Nie wiem sama, dlaczego czułam jakąś *malaise*¹³. On miał coś dziwnego w oczach; dojrzałam to, gdyśmy przejeżdżali obok wielkiej latarni. — Ewelino — odezwał się takim głosem, jakiego jeszcze u niego nie słyszałam — kiedy ty wreszcie skończysz się ze mną bawić — ja coraz bardziej cię kocham — czy ty wiesz? — Bardzo mi przykro to słyszeć — odpowiedziałam uprzejmie — nie chciałabym, żeby pan... Och, nie, nie, proszę... — zawołałam, ponieważ wziął mnie za rękę. — Ja... ja... ach, gdyby pan wiedział, jak ja nie znoszę, żeby mnie dotykano. Pochylił się w tył i spojrzał na mnie. Jest coś, co uderza do głowy w tej jeździe samochodem, w nocy, sam na sam z jakimś mężczyzną. Te światła migające w oknach, to ciepło futer i leciutki zapach bardzo dobrego cygara. Czułam się okropnie podniecona. Gdyby to był lord Robert, to myślę, że... Pochylił się tuż nade mną. W pierwszej chwili myślałam, że chce mnie pocałować. I co ja bym wtedy zrobiła? Czy miałabym krzyknąć, czy wyskoczyć na Leicester Square? — Dlaczego zwraca się pan do mnie po imieniu? — zapytałam, odsuwając go od siebie. — Nigdy panu na to nie pozwoliłam.

Malaise (franc.) — niepewność, niepokój.

¹³ *Fruit defendu* (franc.) — zakazany owoc.

— Szalone dziecko, będę cię nazywać jak mi się podoba. Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Nie wiem, na co ty się urodziłaś. Czy ty zawsze robisz takie wrażenie na ludziach?

— Jakie wrażenie? — zapytałam, by zyskać na czasie, bo wjeżdżaliśmy już na Long Acre.

— Takie wrażenie, że przy tobie rozprzegają się wszystkie postanowienia i zasady. Wydaje mi się, że oddałbym duszę, byle cię trzymać w ramionach.

Powiedziałam, że to całkiem nieładnie i nie dowodzi bynajmniej szacunku z jego strony mówienie w ten sposób. I że ten rodzaj miłości mnie oburza.

— W momentach otrzeźwienia sam pan mi mówił, że jestem dla pana jak najbardziej niewygodna — że pan robi co może, aby oderwać się ode mnie; a skoro tylko znajdzie się pan blisko mnie, zaczyna zaraz mówić w ten sposób! Uważam to za obrazę dla siebie — mówiłam gniewnie i pogardliwie. — Skoro wzbudzę w kimś przywiązanie i tkliwe uczucie, gotowa jestem go słuchać, ale pana, i to w ten sposób — nigdy!

— Niech pani mówi dalej — rzekł — nawet w tym półmroku wygląda pani prześlicznie w gniewie. — Nie gniewam się — odpowiedziałam. — Czuję tylko wielki niesmak. Tymczasem, dzięki Bogu, wjechaliśmy już w szereg powozów ciągnących do gmachu opery. Pan Carruthers jednak nie zwracał na to uwagi. — Kochanie moje — rzekł — nie chciałem ci dokuczyć, ale ty jesteś tak strasznie podniecająca. Powiedziałem ci prawdę, że żaden mężczyzna nie potrafiłby być zimny przy tobie.

— Och, ja wcale nie wiem, co to jest być zimnym albo nie zimnym! — odpowiedziałam zgryźliwie. — Jestem tym wszystkim zmęczona, bo nawet taki niedorostek jak Malcolm Montgomeire pozwala sobie na podobne rzeczy.

Śmiał się tak, że aż się pochylił w tył, potem rzekł z gniewem:

— Impertinent! Kark mu skręczę!

— Dzięki Bogu, już dojechaliśmy! — zawołałam widząc, że wjeżdżamy pod portyk, i westchnęłam z ulgą.

Mężczyźni są naprawdę nieznośni i męczący. Zawsze mnie będą czekać podobne sceny ze względu na moje rude włosy; naprawdę czasem chciałabym mieć włosy myszatego koloru

jak Cecylia Parker. Pani Carruthers często mawiała; „Nie przypuszczaj, Ewelino, że z twoim kolorytem będziesz miała spokojne życie”.

Lady Ver i lord Robert czekali już na nas w holu, ale od razu zauważyłam, że musiała coś mówić Robertowi, bo jego twarz w restauracji tak wesoła i *débonnaire*¹⁴, teraz była pochmurna i zacięta i nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, gdyśmy szli do łoży; łoża była obszerna i umieszczona blisko sceny, na parterze.

Lady Ver wyglądała tryumfująco; oczy jej błyszczały, a źrenice były bardzo rozszerzone i czarne. Na policzkach miała jasne rumieńce.

Wydała mi się bardzo ładna, ale nie wiem dlaczego, poczułam w tej chwili, że jej nienawidzę.

Było to szkaradnie z mojej strony, bo ona przecież była dla mnie taka dobra i teraz też troszczyła się o mnie, umieściła mnie w kąciku za firanką, skąd mogłam widzieć, a nie być widzianą, podczas gdy sama usiadła z lordem Robertem na froncie. Wystawiano *Carmen*, której dotychczas nie znałam.

Muzyka tak dziwnie na mnie działa każdy ton budzi we mnie jakieś wzruszenie. Czuję się zła, przewrotna, albo dobra, albo podniecona, przejęta, albo... albo... Och, takie dziwne jakieś uczucie, którego nie znałam, jak gdyby prąd elektryczny biegł mi od karku i jak gdybym chciała kogoś kochać i być całowana. Oj, jak to strasznie wygląda, tak wyraźnie napisane — ale nic na to nie poradzę — muzyka tak właśnie, a nie inaczej, działa na mnie — a ja obiecałam, że będę tu pisać prawdę.

Od pierwszej nuty, aż do końca, tak silnie czułam — czułam — czułam.

Och, jak ja ją rozumiem — *Carmen*. *Fruit défendu* pociągał ją tak bardzo — tego pięknego, przewrotnego i czarującego węża. Ja także chciałam tańczyć i poruszać się jak ona i nieświadomie, być może, wstrząsnął mną kilka razy dreszcz. Byłam zimna jak lód i strasznie podniecona. Przed sobą miałam tył kształtnej głowy lorda Roberta. Jaka to piękna głowa i jak on ją umie nosić! Na pierwszy rzut oka można było poznać, że *jego* matka nie była pokojówką. Nie widziałam dotąd człowieka tak pięknej i kształtnej budowy jak on.

¹⁴ *Débonnaire* (franc.) — dobroduszna.

Lady Ver mówiła coś do niego zniżonym, pieszczotliwym głosem po pierwszym akcie i podczas drugiego, i nawet gdy rozpoczął się trzeci akt. A on był z nią daleko bardziej *empresé* niż kiedykolwiek dotychczas. To... mnie raniło i drażniło — i to, i ta muzyka, i taniec, i pan Carruthers szepczący mi do ucha namiętne słówka, chociaż nie zwracałam na niego uwagi. To wszystko złożyło się na to, że i mnie zaczął ogarniać jakiś czar.

Nagle lord Robert obejrzał się i przez kilka chwil patrzył na mnie. W jego ślicznych błękitnych oczach migotał gniew, żal, a nawet — och, jak mi to przykro napisać — pogarda. Krzysztof właśnie pochylał się nad poręczą mojego krzesła w postawie pełnej oddania.

Lord Robert nic nie powiedział, ale gdyby wzrok mógł unicestwiać, to na pewno obróciłabym się w zeschnięte liście. To obudziło we mnie diabła. Co ja takiego zrobiłam, żeby mnie tak traktowano? Postępowałam zupełnie uczciwie, dotrzymując słowa danego lady Ver, a za to, och, miałam wrażenie, że mi serce pęknie.

Ten wzrok Roberta! Obudził we mnie ochotę, żeby się stać tak wyzywającą i pociągającą, jak tylko można. Pochyliłam się do lady Ver, tak że jednocześnie prawie go dotykałam, i szeptałam jej różne rzeczy, nie mówiąc do niego ani słówka. Posunęłam krzesło tak, żeby móc go widzieć kącikiem oka i żeby on mnie musiał widzieć i pozwoliłam moim ramionom i barkom trochę falować w takt tej hiszpańskiej muzyki. Och, i ja umiem tańczyć tak jak Carmen. Pani Carruthers kazała mnie uczyć tańca, gdy byliśmy w Paryżu, i lubiła na mnie patrzeć.

Słyszałam jak Krzysztof szybko oddychał.

— Mój Boże — szepnął — każdy by poszedł do piekła dla pani.

Lord Robert nagle wstał i wyszedł z łoża.

Było mi tak, jakby sztylet don Josego zagłębił się w moje serce, a nie w Carmen. Może to się wyda przesadne, ale naprawdę wszystko nagle dookoła mnie poszarzało.

Lady Ver zwróciła się do Krzysztofa.

— Co się, na Boga, Robertowi stało? — zapytała z irytacją.

— Perskie przysłowie powiada, że diabeł prześlizguje się między oddechami dwojga ust — rzekł Krzysztof. — Może coś podobnego zdarzyło się w tej łoży.

Lady Ver ostro się roześmiała, a ja siedziałam cichutko. A tymczasem na scenie wciąż śpiewano. Och, cieszę się, że ją na końcu zabito, cieszę się. Tylko jeszcze chciałabym widzieć, jak krew płynie. Jestem czasami taka dzika — dzika!

Piątek rano, 25 listopada

Znam teraz smak prochu i popiołu, bo taki smak miało moje śniadanie na drugi dzień po *Carmen*.

Lady Ver wydała polecenia, żeby jej nie przeszkadzano, więc poszłam nie do niej, tylko do jadalni, zupełnie zapomniawszy, że przyjechał pan domu. Był już tam, wysoki, pochylony, mizerny człowiek z jasnymi włosami i smutnymi, jakby zmartwionymi oczyma. Nos miał zagięty na końcu, a wyraz twarzy taki, jakby chorował na niestrawność. Siedział czytając „Daily Telegraph”, a obok stygły herbata i grzanki. Podeszłam do niego. Spojrzał bardzo zdziwiony.

— Jestem Ewelina Travers — oznajmiłam.

Mruknął: „Jak się pani ma” niezgrabnie i zupełnie machinalnie.

— Mieszkam tu czasowo — ciągnęłam — czy pan o tym nie wiedział?

— Więc zapewne chce pani zjeść śniadanie; obawiam się, że diabelnie wystygło — zmuszał się do uprzejmości. — Nie, Janthe nigdy do mnie nie pisuje. Od dwóch tygodni nie miałem żadnych wiadomości i dotychczas jej nie widziałem.

Uczono mnie od dzieciństwa być grzeczną, więc starałam się nawiązać rozmowę:

— Pan dopiero wczoraj powrócił z Paryża?

— Tak, przyjechałem koło siódmej.

— Musiałyśmy tak wcześnie wyjść z domu, bo jechałyśmy na operę.

— Wagnera zaczynają zawsze o jakichś niemożliwych godzinach — mruknął z roztargnieniem.

— Nie, to była *Carmen*, tylko przedtem byłyśmy na obiedzie z moim... z moim opiekunem, panem Carruthersem.

— Ach tak.

Oboje jedliśmy mało; herbata było zielonoczarna i ledwo letnia; nic dziwnego, że ma dyspepsję.

— Ciekawym, czy dzieci są w domu — odważył się na nowe pytanie.

— Tak — powiedziałam — byłam już dziś w dziecinnym pokoju i widziałam się z nimi.

W tej chwili wpadły trzy aniołki, ale na środku pokoju zatrzymały się, spokojnie podeszły i trochę ceremonialnie uściskały ojca. Widocznie nie uwielbiają go tak, jak lady Ver.

— Dzień dobry, tato — powiedziała najstarsza, a dwie młodsze powtórzyły chórem. — Mamy nadzieję, że dobrze spałeś i miałeś szczęśliwą podróż.

Widocznie wyuczono je tego. Ale dziecinna natura przemogła po chwili.

— Tatuśku, przywiozłeś nam nowe lalki z Paryża?

— Ja chcę taką z rudymi włosami, jak Ewelina — oświadczyła Izolda, najmłodsza.

Sir Charles wyglądał na znudzonego i zmieszanego. Ucałował swoje trzy porcelanki, niby podobne, a tak niepodobne do niego — mają budowę lady Ver, ale złote włosy i ciemne oczy, tak jak on.

— Tak, zapytajcie Harlottle'a o pakunki. Nie mam czasu z wami rozmawiać. Powiedzcie matce, że wrócę na śniadanie. — I wymówiwszy się przede mną interesem w City, uciekł z pokoju.

Nie dziwię się, że lady Ver woli lorda Roberta!

— Nie lubię taty! — zawołała Koryzanda, średnia. — Taki jest zawsze zły, a biedna mamunia czasem płacze przez niego.

— Musimy zawsze kochać tatę — recytowała Mildred niby zadaną lekcję. — Musimy kochać rodziców, dziadków, ciotki i kuzynów.

Amen. — To „amen” wymknęło się jej niechcący i zawstydziła się tego, co powiedziała.

— Chodźmy poszukać Harlottle'a — zawołała Koryzanda — on lepiej pamięta niż tato. Ostatnim razem przywiózł mi lalkę-górala, chociaż tato zapomniał, że o to prosiłam.

Wybiegły z pokoju, ucałowawszy mnie przedtem. Lubię te słodkie aniołki. Zostawszy sama poczułam się jak zdychająca ryba. Wzięłam do ręki gazetę i machinalnie przeglądałam rubrykę „Z dnia”, aż oczy moje padły na słowa: „Książę Torquilstone powrócił z zagranicy do Varassour House”. Co mnie to mogło obchodzić? Co mnie mogło obchodzić wszystko na świecie? Lord

Robert spotkał nas w przedsionku, gdyśmy wychodziły z opery. Był bardzo blady i usprawiedliwiał się przed lady Ver z nagłego odejścia. Powiedział, że miał dreszcze i musiał się napić koniaku, ale teraz jest mu już dobrze, więc może byśmy pojechali na kolację — patrzył na nią czule i gorąco namawiał, jakbym ja w ogóle nie istniała. Ale lady Ver zaczęła kapryścić.

— Nie, Robercie, pójdę do łóżka. I ja także mam dreszcze.

A ponieważ służący zaanonsował, że samochód już podjechał, wsiadłyśmy i zostawiłyśmy ich. Krzysztof otulał mnie futrem z miną posiadacza, co kiedy indziej by mnie zirytowało, w tej chwili jednak byłam jak martwa.

Lady Ver w powrotnej drodze nie mówiła ani słowa, a na dobranoc pocałowała mnie bardzo chłodno, lecz od progu zawołała:

— Jestem zmęczona, Ewelino, nie myśl, że jestem zła, dobranoc!

Jutro jest sobota i kończy się moja wizyta tutaj. Po śniadaniu u lady Merrenden mogę sobie wędrować, dokąd mi się podoba.

Sama jeszcze nie wiem, dokąd powędruję, ale chciałabym jak najdalej od Anglii, żeby zapomnieć o tutejszych ludziach, chciałabym... och, sama nie wiem, czego bym chciała.

A może wyjść za pana Carruthersa. Zjadłby mnie na przekąskę i pofrunąłby do Paryża, do kobiety, którą kocha naprawdę. Ale miałabym przynajmniej takie życie, jakie lubię, i szmaragdy rodzinne są tak piękne i kocham Brauches, i...

— Milady chciałaby się z panią widzieć — rzekł służący. Poszłam na górę.

Lady Ver leżała w przyćmionym pokoju.

— Mam straszną migrenę, Ewelino — rzekła.

— Więc będę panią leczyć — odpowiedziałam. Usiadłam obok niej i końcami palców zaczęłam wodzić po jej czole.

— Jesteś naprawdę kochanym dzieckiem, Ewelino — rzekła — i nie możesz nic poradzić...

— Na co poradzić?

— Że jesteś czarodziejką. Kiedy cię tylko poznałam, wiedziałam, że mnie zranisz i dlatego byłam dla ciebie taka grzeczna.

— Och, lady Ver, droga lady Ver — szepnęłam głęboko poruszona — za nic nie chciałabym pani zranić i naprawdę pani mnie źle sądzi. Dotrzymałam umowy co do litery.

— Tak, ja wiem, że ty chciałaś. Ale dlaczego Robert wyszedł z łóża? — zapytała gniewnie.

— Miał przecież dreszcze — odpowiedziałam niepewnym głosem.

— Dreszcze? Nie znasz Roberta. On nigdy w życiu nie miał dreszczów

— zawołała. — Och, to jest najdroższy, najlepszy chłopiec w świecie.

Przy nim uczę się wierzyć we wszystko dobre i szlachetne. Nie jest zepsuty, ale zna świat i żyje jak każdy z nas, a jednak nie uważa żadnej kobiety za łatwą zdobycz i szanuje kobiety, przynajmniej stara się je szanować. — Tak — szepnęłam, nie wiedząc co mówić.

— Gdybym miała takiego męża, na pewno nigdy bym nie ziewała — mówiła dalej — on jest taki władczy, taki absorbujący i tak zazdrosny, że nie pozwoli kobiecie spojrzeć na nikogo.

— Tak — powtórzyłam i dalej gładziłam palcami jej skronie.

— Ma tyle uczucia, taki jest delikatny i ani trochę nie brutalny — a gdybyś widziała go na koniu, nie, naprawdę on jest zanadto piękny — uniosła się i wyciągnęła ramiona tęsknym ruchem, co mnie wzruszyło.

— Czy pani od dawna go zna? — zapytałam.

— Od pięciu lat, ale do niedawna spotykałam go tylko przelotnie. Byłam zajęta kim innym. Flirtowałam z tyloma mężczyznami. Robert jedyny nigdy nie mówił mi o swej miłości. Zawsze był miły i słodki i traktował mnie jak królową, jakbym była za wysoko dla niego. I dlatego zapragnęłam, żeby mi mówił o swojej miłości. Jednak teraz widzę, że to się na nic nie zda. Ale ty go mieć nie będziesz, kobieto-wężu.

Powiedziałam mu wczoraj, że jesteś zimna jak lód i kokietujesz

Krzysztofa. A jutro usunę go z drogi i zabiorę do Northumberland. Być może złamiesz mu serce, ale musisz dotrzymać obietnicy.

Nic nie odpowiedziałam.

— Czy słyszysz? Złamiesz mu serce, bo on jest takim właśnie człowiekiem, co jak kocha, to na wieki. Inna kobieta oddałaby życie dla takiej miłości, ale ty... ty jesteś Carmen.

W każdym razie ani ona, ani żadna inna kobieta nie dowie się, kim ja jestem, a kim nie jestem. Moje serce nie jest do tego, żeby się w nim grzebały. Odpowiedziałam spokojnie:

— Carmen została zasztyletowana.

— I zasłużyła na to... czarujący, przewrotny demon! — roześmiała się i zmieniła temat rozmowy.

— Widziałaś Charliego?

— Jedliśmy razem śniadanie.

— Wesoła osobistość, prawda?

— Nie — rzekłam. — Wyglądał na zmartwionego i chorego.

— Chorego? — zapytała z niepokojem. — Och, pewnie tylko na niestrawność. — Być może.

— Gdybyś mogła zobaczyć te stosy fotografii, jakie przywozi z Paryża, zrozumiałabyś, dlaczego jest chory. — Wybuchnęła śmiechem. — W każdym razie ubóstwia mnie na swój sposób, na pewno kupi mi nowy pierścionek od Cartiera. Zobaczysz przy śniadaniu.

— Jest więc doskonałym mężem?

— Takim samym będzie Krzysztof. Tylko Krzysztof zacznie od tego, że będzie pierwszorzędnym kochankiem, bo zna się na tym doskonale, a biedny Charlie nie ma o tym pojęcia. Och! Te nudy w moim miodowym miesiącu! — Pani Carruthers mawiała, że każdy miodowy miesiąc da się porównać tylko z wizytą u dentysty albo u fotografa. To jest zło konieczne dla osiągnięcia rezultatów. — Rezultatów?

— Tak, ładnego domu, klejnotów i tak dalej.

— Och, sądzę, że miała rację. A jednak ta, która by wyszła za Roberta, miałyby obie rzeczy. Nie powiedziała, jakie obie, ale ja wiedziałam.

— Więc pani uważa, że Krzysztof będzie dobrym mężem?

— Nikt dobrze nie zna Krzysztofa. Nigdy nie wiadomo, czy mówi prawdę. Jest epikurejczykiem i analitykiem wrażeń. Nie wiem, czy coś uwielbia, czy w coś wierzy. Prawdopodobnie tylko w siebie. Na razie jest gwałtownie w pani zakochany i chce się ożenić, bo wie, że nie posiadzie cię w inny sposób. — Pani zbyt łaskawa — rzekłam ironicznie.

— Jestem tylko szczerą. Prawdopodobnie spędzałabyś z nim czas bardzo przyjemnie i utrzymałabyś go długo przy

sobie, bo sama nie jesteś w nim zakochana. Przypuszczam, że kobieta może bardzo kochać Krzysztofa i że byłby on zdolny złamać jej serce, jak złamał serce biednej Alicji Verney.

— Ależ to śmieszne! Teraz się to nie zdarza. Pani mówi jak z książki, droga lady Ver.

— Historie ze złamanymi sercami zdarzają się jeszcze niekiedy, tylko nie z książkowych powodów, a najczęściej dlatego, że nie możemy mieć tego, czego chcemy, albo utrzymać tego, co mamy — i westchnęła.

Rozstałyśmy się przyjaźnie i poszłam do mego pokoju.

Tak, najlepiej, żebym wyszła za pana Carruthersa; tak mało o niego dbam, że nawet ta pani w Paryżu nic mnie nie obchodzi. Ostatecznie jest dżentelmenem, będzie mieć dla mnie względy i szmaragdy rodzinne są takie piękne — właśnie moje kamienie. Każę je sobie oprawić u Cartiera. I koronki przydarzą mi się, i sobole... I na pewno życie będzie pełne tryumfów i przyjemności.

A jednak, och! gdyby to było możliwe, chciałabym mieć „obie rzeczy”.

PARK STREET 300 Piątek, w nocy

Śniadanie przeszło bardzo dobrze. Sir Charles powrócił z miasta w lepszym humorze i jak przepowiedziała lady Ver, przyniósł jej nowy klejnot od Cartiera. Była to broszka, nie pierścionek, ale ona i tak była uradowana i czuliła się do niego.

Spóźnił się trochę i już siedzieliśmy w ośmioro przy stole, gdy wszedł.

Wszyscy dokuczali mu pobyt w Paryżu, co przyjmował z dobrym humorem, a nawet z widoczną przyjemnością. Nie jest dowcipny, ale wygląda jak dżentelmen i jest zupełnie przyzwoitym mężem.

Oswoiłam się już zupełnie ze światem i mogę rozmawiać z każdym.

Mówię niewiele, więcej słucham, ale zwykle powiem coś takiego, co zastanawia ludzi! Bardzo miły człowiek siedział obok mnie.

Przypomniał mi starych generałów w Brauches. Toczyliśmy istną walkę na dowcipy.

Dowiedziawszy się kim jestem, powiedział mi, że znał mego tatusia, który był w tym samym pułku co on i był swego czasu

najpiękniejszym mężczyzną w towarzystwie londyńskim. Mnóstwo kobiet się w nim kochało, ale on był wielkim bałamutem. Było to może szczęściem dla niego, że umarł u szczytu powodzenia.

— Wie pani, że niegdyś był zaręczony z lady Merrenden. Była wówczas panną Zofią Varassour i bardzo mu była oddana, ale wmieszała się między nich pani Carruthers i oderwała go od niej. Była znacznie starsza od niego, bardzo sprytna i silnie się malowała.

— Biedny tatuś musiał mieć bardzo słaby charakter.

— Wszyscy mężczyźni są słabi.

— A potem ożenił się i porzucił panią Carruthers? — zapytałam z zaciekawieniem.

— T-a-k — odrzekł mój stary pułkownik. — Byłem drużbą na jego weselu?

— A jak wyglądała moja mama?

— Była najmiłym stworzeniem na świecie — odrzekł — tak milutkim jak pani, tylko że pani jest portretem ojca, z wyjątkiem włosów, które miał jasne. Nikt mi dotychczas nie powiedział, że jestem milutka. Tak mi się to podobało! Nieraz mówiono mi, że jestem pociągająca, niezwykła, boska, ale nigdy, że jestem właśnie milutka. Nie opowiadała mi już wiele o rodzicach, oprócz tego, że nie bardzo mieli z czego żyć i że nie byli zbyt szczęśliwi. Pani Carruthers już się o to postarała.

Gdyśmy się zegnali, dał mi swój adres i prosił, żebym, gdy będę go potrzebować albo zechcę go zobaczyć, napisała kilka słów do pułkownika Tomasza Cárdena. Po śniadaniu oddałyśmy z lady Ver kilka wizyt. W powrotnej drodze do domu była dla mnie bardzo serdeczna. Ubolewała, jak jej przykro, że musi mnie samą zostawić, i koniecznie chciała wiedzieć, co ze sobą pocznę. Powiedziałam jej, że mam zamiar przenieść się do hotelu „Claridge”, gdzie zatrzymywałam się z panią Carruthers. Pobędę tam jakiś tydzień, dopóki czegoś sobie nie obmyślę.

— Ależ to niemożliwe, żebyś sama mieszkała w hotelu. Jesteś o wiele za ładna, żeby się obejść bez opiekunki — zawołała — co mogę zrobić dla ciebie?

Było mi tak dziwnie nieprzyjemnie. Och, dobrze jest być awanturnicą, ale nie wtedy, kiedy się budzi litość w przyjaciółkach.

Powiedziałam jej, że może mi się nic nie stanie przez kilka dni, skoro nie będę widywać nikogo i że napiszę do mojej dawnej mademoiselle, która wyszła za znanego poetę. Może zechce mnie wziąć na jakiś czas do siebie, jako płacącego gościa.

— To już czyste szaleństwo! Francuski poeta! Jakaś brudna, długowłosa kreatura! Naprawdę powinnaś jak najprędzej wyjść za Krzysztofa, Ewelino. Gdy jesteś urodziwa i niezameżna, nie możesz popełnić najłżejszej ekscentryczności. Inaczej wszyscy mężczyźni będą albo zbyt gorąco się tobą opiekować, albo będą impertynency.

— Och, ja wiem o tym — odpowiedziałam cicho i coś mnie ścisnęło w gardle.

— Sama napiszę do Krzysztofa — ciągnęła — napiszę coś miłego o tobie i o twoim osamotnieniu, i że ponieważ jest czymś w rodzaju twego krewnego, więc mógłby cię odwiedzić w niedzielę i zabrać do ogrodu zoologicznego. Nie siedź z nim w saloniku. Postaraj się być miła, a wszystko dobrze się ułoży. Zatelegrafuj do mnie w poniedziałek, a jeśli wszystko będzie dobrze, musisz znów przenieść się do mnie po moim powrocie.

Podziękowałam jej jak najserdeczniej. Była zupełnie szczerą. Będę mile widzianym gościem jako narzeczona Krzysztofa. Nie było się o co urażać. Miała zupełną rację.

„CLARIDGE” Sobota, 26 listopada

Lady Ver bardzo wcześnie wyjechała na pociąg i ledwo zdążyłam się z nią pożegnać. Wpadła w bardzo zły humor po odebraniu jakiegoś listu. Nie mówiła mi od kogo, o czym, tylko natychmiast po przeczytaniu powiedziała mi, że nie mogę być głupia.

— Nie igraj z Krzysztofem dłużej, bo go stracisz. Przyjdzie do ciebie na pewno, pisał do mnie, ale powiada, że nie chce iść do ogrodu zoologicznego, więc jednak musisz go przyjąć w pokoju. Będzie koło czwartej.

Milczałam.

— Ewelino — rzekła — obiecaj mi, że nie będziesz wariatką.

— Nie będę wariatką.

Wtedy ucałowała mnie i wyszła, a wkrótce potem i ja przeniosłam się do „Claridge”.

Mam tu bardzo miłe mieszkanie na jednym z wyższych pięter i gdyby to było przyzwoite, mogłabym tu zupełnie wygodnie mieszkać.

Kwadrans po pierwszej dzwoniłam do domu lady Merren-den. Byłam podniecona i zaciekawiona. Naturalnie przede wszystkim dlatego, że była kiedyś zaręczona z tatusiem, ale także i dlatego, że lord Robert kiedyś mówił mi, jak bardzo chciałby mnie tu przyprowadzić.

Lord Robert — teraz pochyła się nad lady Ver w pociągu jadącym na północ.

Lady Merrenden oczekiwała mnie w małym saloniku i wstała na powitanie.

— Bardzo się cieszę, że cię widzę, moje dziecko — rzekła — mam nadzieję, że się nie znudzisz, ale nie zaprosiłam nikogo oprócz mego siostrzeńca, Torquillstone'a. On jest zwykle tak cierpiący, że wiele twarzy naraz męczy go.

Zapewniłam ją, że najchętniej porozmawiam z nią samą. Lady Merrenden ma niezwykle ujmujące maniery i wygląda jak prawdziwie wielka dama. Nic nie może być słodsze od jej uśmiechu. I pomyśleć, że tatuś porzucił tego aniołka dla pani Carruthers. Naprawdę mężczyźni bywają czasem niezrozumiali.

— Budzisz we mnie takie odległe wspomnienia — rzekła — ja także jestem Ewelina, Zofia Ewelina, i myślę czasami, że może tak zostałaś nazwana na moją pamiątkę.

Jak dziwną, potężną siłą musi być miłość! Oto dwie kobiety, takie zupełnie przeciwieństwa, pani Carruthers i lady Merrenden, każda na swój sposób, zainteresowały się mną, dzieckiem trzeciej kobiety. Tatuś musiał być niezwykle interesujący. Pani Carruthers miała jego miniaturę na stoliku i co dzień stawiała przed nią świeżą różę. Było to jedyne tkliwsze uczucie w jej twardym sercu.

I oczy tej drugiej kobiety lśniły rozrzewnieniem, gdy mówiła po tylu latach o droгим człowieku. Choć ze względu na naszą krótką znajomość mówiła tylko ogólnikowo, widziałam jak ją to wzrusza.

W pewnej chwili wszedł książę Torquillstone. Och, co za smutny widok.

Biedny, ułomny człowiek, z ostrą, chudą twarzą i cynicznym, podejrzliwym spojrzeniem. Musi mieć niewiele więcej ponad czterdzieści lat, ale wygląda starzej, włosy ma prawie zupełnie siwe. Ani jeden rys nie przypomina lorda Roberta. Lady Merrenden przedstawiła nas sobie, a w tej chwili wszedł lord Merrenden i poszliśmy na śniadanie. Lord Merrenden mówił o polityce i o bieżących kwestiach. Wszyscy mieli miękkie, wytworne głosy i nieskazitelne maniery. Usługa była niezwykle staranna i cicha, a śniadanie bardzo proste i bardzo dobre, lecz ani połowy tych wykwintnych potraw, co u lady Ver lub w Brauches. Na stole stał tylko jeden bukiet fiołków, ale wazon był złoty i bardzo pięknego kształtu, a fiołki wielkie jak bratki.

— Pani poznała też mego drugiego siostrzeńca, lorda Roberta, prawda?

— zapytała lady Merrenden. — Mówił mi, że był w Brauches.

— Tak — odpowiedziałam i — och, jak mi to wstyd pisać — zarumieniłam się. Co ona sobie o mnie pomyśli. Czy można być tak dziecinną i śmieszna.

Książę wciąż patrzył na mnie swymi przenikliwymi oczkami; trudno było poznać, czy z aprobatą, czy z niechęcią.

— Był z nami przedwczoraj na operze. Pan Carruthers miał lożę i pojechałyśmy z lady Ver. Ja tak kocham muzykę!

— I Robert także — odpowiedziała — przypuszczam, że miło mu było spotkać pokrewną duszę. Dobra, kochana lady! Och, gdyby wiedziała, jakie uczucia miotały nami w tej loży. Na pewno ostatnim z nich była miłość do muzyki. Książę podczas tej rozmowy nie spuszczał ze mnie oczu i teraz jego wzrok był już wyraźniejszy. Niewątpliwie patrzył na mnie z niechęcią. Kawę piliśmy na górze z prześlicznych saskich filiżaneczek, a potem lord Merrenden pokazywał mi miniatury. W końcu zdarzyło się tak, żeśmy się znaleźli sami z księciem przy oknie. Jego oczy prześwidrowywały mnie na wskroś. Na szczęście mam rasowe uszy i nos, i ręce. Nic prawie nie mówił oprócz komunałów o widoku z okna. Ja byłam onieśmielona i przestraszona. Jestem pewna, że mnie nie cierpi.

— Czy mogę panią dokądś odwieźć? zapytała moja uprzejma gospodyni. — Albo może pojedzie pani ze mną, jeżeli nie ma pani nic lepszego do roboty.

Przyjęłam propozycję z radością. Czułam się osamotniona, a przy tym chciałam się trochę rozerwać przed jutrem i wizytą Krzysztofa. Wydaje mi się, że jutro będzie koniec świata.

Lady Merrenden ma bardzo piękne konie i cały zaprząg bardzo szykowny. Rozmawiałyśmy tak miło. Zapomniałam, że jestem bezdomną włóczęgą i koło piątej wróciłam do hotelu prawie w dobrym humorze.

— Proszę pamiętać, że jestem pani przyjaciółką — rzekła do mnie lady Merrenden na pożegnanie.

Dlaczego ja nie jestem szczęśliwa i dlaczego ta moja niezwykła sytuacja nie podoba mi się już tak jak dawniej. Nie mogę myśleć o Krzysztofie. Na próżno sobie powtarzam, jaki jest przystojny i jak mnie pociągał w Brauches, bo to wszystko było — zanim zjawił się Robert. Teraz pewno on i lady Ver siedzą sobie na jakiejś sofie w dużym, wiejskim salonie i rozmawiają.

Och, wolałabym, wolałabym nie zawierać z nią żadnej umowy, bo może wtedy...

„CLARIDGE" Niedziela, wieczorem

Mam bardzo dużo do napisania, a jednak zaledwie kilkanaście godzin upłynęło, gdy pisałam po raz ostatni w tej książce.

Okolo trzeciej szłam przez Grosvenor Square. Mimo mgły i wilgoci weszłam na chwilę do parku; było tam jakoś zaciszniej i cieplej i poczułam się mniej przygnębiona. Bawiło mnie, że po raz pierwszy jestem tu sama; szłam bardzo szybko, nieliczni przechodnie przemykali obok mnie i niknęli we mgle. Wreszcie weszłam na boczną ścieżkę i zmęczona usiadłam na ławce. Na drugiej ławce majaczył jakiś cień skulony i biedny. Pewno jakiś włóczęga... O czym on rozmyśla i czy jest biedniejszy ode mnie? — myślałam, kurcząc się również w pełnej przygnębienia pozycji. Nigdy w dawnych czasach, nawet gdy pani Carruthers dokuczała mi pochodzeniem biednej mamy, nie czułam się tak nieszczęśliwa jak w tej chwili. Łzy poczęły mi płynąć z oczu i nawet

ich nie ocierałam. Kto mnie zobaczy, i zresztą kogo one obchodzą. Nagle zauważyłam, że z mgły wynurza się jakaś wysoka i zgrabna postać, ale dopiero, gdy podszedł tuż blisko i schylił się nade mną, poznałam, że to był lord Robert.

— Ewelino — zawołał z niepokojem — co ci, och, co się stało? Nic dziwnego, że był zdumiony. Nie rozumiem tego, że nie wziął mnie za włóczęgę i nie przeszedł.

— Nic — odpowiedziałam i starałam się nasunąć kapelusz na oczy. Na nieszczęście nie miałam woalki.

— Dlaczego zwraca się pan do mnie po imieniu i dlaczego pan nie jest w Northumberland?

Taki był wysoki i zgrabny, a w jego twarzy nie było już gniewu, tylko niepokój i współczucie. — Byłem wczoraj na służbie i nie mogłem dostać urlopu — odrzekł szybko — ale ja nie mogę patrzeć na ciebie, jak tu siedzisz i płaczesz. Czy mogę odprowadzić cię do domu?

Zażębisz się w tej mgle. — Och, nie, jeszcze nie. Jeszcze nie chcę wracać — zawołałam, sama nie wiedząc co mówię. Usiadł obok i wsunął palce w moją mufkę, a mnie coraz gęstsze łzy spływały po twarzy. Widocznie pospolita natura mojej babki odezwała się we mnie, bo trzeba było nie mieć wstydu, żeby tak siedzieć i płakać przed lordem Robertem. — Drogie, małe, biedne dziecko, powiedz mi wszystko — prosił i ścisnął mi palce w mufce swoją silną, gorącą ręką.

— Ja... nie mam nic do powiedzenia — szepnęłam łkając — wstyd mi, że pan mnie widzi taką, tylko czułam się taka biedna.

— Dziecko drogie — rzekł — nie będziesz już biedna, ja tego nie chcę. Czy ktoś był niedobry dla ciebie — powiedz mi, powiedz — jego głos drżał niepokojem.

— To nic... to nic — wyłkałam. Nie śmiałam spojrzeć na niego.

— Słuchaj — szepnął pochylając się nade mną — chcę, żebyśmy znowu byli przyjaciółmi, jak w tych czasach, kiedyśmy razem pakowali książki. Nie wiem, co zaszło między nami od tej pory, ale Bóg widzi, że to nie moja wina.

— I ja chciałabym, żebyśmy byli przyjaciółmi. Nigdy nie chciałam, żeby było inaczej, ale nic na to nie mogłam poradzić i teraz też nie mogę.

— Musisz teraz powiedzieć mi wszystko — rozkazał ze słodką stanowczością. — Zaczawszy od tego, co cię tak nagle zmieniło w Tryland i dlaczego tak mnie unieszczęśliwiłaś.

— Nie mogę tego powiedzieć — rzekłam bardzo cicho. Nawet pospolitego pochodzenia babka nie odezwie się we mnie tak silnie, żebym miała zdradzić lady Ver.

— Och, ty mnie doprowadzisz do szaleństwa — wykrzyknął puszczając moją rękę, a potem oparł łokcie na kolanach i zsunął kapelusz na tył głowy. — Jestem chory z szału i z zazdrości. Najpierw ten brutal Malcolm, potem to kokietowanie Campiona przy obiedzie i wreszcie najgorszy ze wszystkich Krzysztof w łoży na *Carmen*. Niegodziwe, zepsute stworzenie. A jednak mam wrażenie, że to się wszystko działo z jakiegoś bezsensownego powodu, a nie tylko dlatego, by mi dokuczyć. Już na *Carmen* przyszło mi to na myśl. Gdyby nie to, prędko przestałbym o tym myśleć.

— Tak, ja wiem — szepnęłam.

— Co wiesz? — zapytał zdziwiony; potem znowu wziął mnie za rękę i usiadł bliżutko.

— Och, proszę, proszę mnie puścić, lordzie Robercie rzekłam. Drżałam z rozkosznego uczucia. Czułam, że nigdy bym go nie zapomniała, gdyby odszedł ode mnie. ».

— Proszę nie ścisnąć mnie za rękę — powtórzyłam. — To mi nie pozwala zachowywać się przyzwoicie.

— Kochanie moje — szepnął — widzę z tego, że mnie kochasz, i dlatego nie puszcę cię, póki mi nie powiesz wszyściusieńkiego.

— Och, ja nie mogę, nie mogę — tak mnie męczył, a jednak radość wzbierała we mnie falami. Od tego słowa „kochanie” czułam dreszcz w plecach. — Ewelino — rzekł posępnie — odpowiedz mi na jedno pytanie: Czy mnie kochasz, czy nienawidzisz? Bo ja, musisz wiedzieć, ja ciebie kocham. Och, jak dzika radość mnie ogarnęła, gdy to usłyszałam! Co poza tym mogło mnie obchodzić na świecie! Przez chwilę było mi jakbym słyszała jakąś cudną muzykę i zapomniałam o wszystkim oprócz nas dwojga. Nagle stanął mi przed oczyma wizerunek czekającego na mnie Krzysztofa, jego zimna, cyniczna twarz i płonące namiętnością oczy, to znowu badawcze,

pełne nagany spojrzenie księcia i nagle mimowolny okrzyk bólu wyrwał mi się z piersi.

— Kochanie, kochanie moje, co ci jest? Czy za mocno ścisnąłem rączkę? — dopytywał się tkliwie Robert.

— Nie — odparłam przerywanym głosem. — Ale nie mogę pana słuchać. Wracam zaraz do „Claridge” i muszę wyjść za mąż za pana Carruthersa.

Puścił moją rękę i rzucił się w tył.

— Dobry Boże! Więc to jednak prawda — wyjąkał. Spojrzałam na niego z obawą — twarz miał zupełnie szarą.

— Och, Robercie — zawołałam z trwogą, nie mogąc się już powstrzymać. — To nie dlatego, że ja bym tego chciała, bo ja... ja... chyba kocham ciebie, tylko dlatego, że mi nic innego nie pozostaje do zrobienia.

— A więc to tak! — zawołał, a życie i radość wróciły mu na twarz. — Więc ty myślisz, że ja pozwolę Krzysztofowi, czy jakimukolwiek mężczyźnie na świecie zabrać cię sobie, teraz, gdyś mi się do tego przyznała! — na szczęście nie było nikogo blisko, bo nagle Robert objął mnie, przycisnął do siebie i pocałował w same usta.

Och, cóż za głupstwa ludzie sobie opowiadają o niebie! Siedzieć na chmurach i śpiewać psalmy i inne rzeczy w tym rodzaju. W żadnym niebie nie może być rozkoszniej niż w ramionach Roberta — byłam zupełnie pijana ze szczęścia, gdy nagle się ocknęłam. Wiedziałam przecież, że to zupełnie niemożliwe i że muszę być rozsądna.

— Teraz należysz do mnie — mówił obejmując mnie — więc musisz zacząć od początku i opowiedzieć mi wszystko.

— Nie, nie — broniłam się słabo, starając się wyrwać i z radością czułam, że trzyma mnie mocno. — To jest niemożliwe i potem będzie nam jeszcze gorzej. Krzysztof ma przyjść do mnie o czwartej, a ja obiecałam lady Ver, że nie będę wariatką i wyjdę za niego.

— Figa dla lady Ver — zawołał szorstko — jeżeli tylko o to chodzi, zostaw to mnie — ona nigdy się ze mną nie sprzecza.

— To jeszcze nie wszystko — obiecałam jej, że nie będę... nie będę z tobą flirtować.

— Oczywiście, że nigdy nie będziesz — odparł, a ja w jego oczach wyczytałam, że umyślnie źle wytłumaczył sobie moje słowa.

— Nigdy — nigdy — nie będziesz — na pewno — mówił całując mnie po każdym słowie. — Ja sam będę dbał o to. Czasy flirtowania z ludźmi skończyły się już, mademoiselle! Kiedy już za mnie wyjdiesz, będę się bił z każdym, kto na ciebie spojrzy. — Ale ja nigdy nie wyjdę za ciebie, Robercie — rzekłam smutno i chcąc być chociaż przez kilka chwil szczęśliwa, nie wysuwałam się z jego ramion. Jak to dobrze, że była taka mgła i prawie nikt nie przechodził. Zawsze będę lubić mgły.

— Tak, wyjdiesz za mnie — mówił z wielką pewnością — i to nie później niż za dwa tygodnie. Nie pozwolę ci mieszkać samej w „Claridge”. Dziś po południu zabiorę cię do ciotki Zofii. A teraz powiedz mi jeszcze, że mnie kochasz i żałujesz tego, żeś była dla mnie taka niedobra. — Sama dotąd tego nie rozumiałam, ale widzę, że kocham cię, Robercie. Gdyśmy wracali do domu, wciąż mu tłumaczyłam, że to niemożliwe, że muszę wrócić do Krzysztofa, że lady Ver pomyśli, że złamałam dane jej słowo. Nie powiedziałam mu naturalnie o naszej umowie, ale chyba się domyślił, bo wziął mnie w krzyżowy ogień pytań na temat mego zachowania się w Tryland, na Park Street i w operze. Czułam się jak małe dziecko, z każdą chwilą coraz idiotyczniej szczęśliwa i bardziej zakochana. Wsiedliśmy do zamkniętej dorożki, a on kazał dorożkarzowi jechać do Hammersmith. Trzymałam ręce w wielkiej sobolowej mufce — prezent pani Carruthers na ostatnie urodziny, a on też wsunął tam rękę i tulił moje ręce. Nigdy nie przypuszczałam, że mufka może służyć do takiego rozkosznego celu. — Teraz, przypuszczam, już unicestwiliśmy twoje śmieszne powody do unieszczęśliwienia mnie — zaczął — jakie inne racje jeszcze skłaniają cię do sprzeciwiania się, żeby nasz ślub odbył się za dwa tygodnie? Milczałam — nie wiedziałam jak wyznać główny powód.

— Twój brat, ksiązę Torquillstone — rzekłam cicho — nie zgodzi się nigdy, żebyś się ożenił z osobą taką jak ja, bez rodziny i stosunków. Milczał przez chwilę, po czym rzekł:

— Mój brat to bardzo dobry chłopiec, tylko często jest zgryźliwy z powodu choroby. Wystarczy, żeby cię zobaczył, a zachwyci się jak wszyscy.

— Widziałam go wczoraj. Robert był zdumiony.

— Gdzie go widziałaś?

Wtedy mu powiedziałam, że poznałam lady Merrenden, że mnie zaprosiła na śniadanie, że się kochała w moim tatusiu i że na śniadaniu był książę, który cały czas przypatrywał mi się z widoczną niechęcią.

— Och, jakbym to widział — rzekł Robert, przytulając mnie mocniej do siebie. — Ciotka Zofia i ja jesteśmy wielkimi przyjaciółmi; zawsze była dla mnie jak matka, którą utraciłem w dzieciństwie. Powróciwszy z Brauches opowiedziałem jej, jak się w tobie zakochałem od pierwszej chwili i że musi mi pomóc zobaczyć się z tobą w Tryland. Gdy stamtąd przyjechałem, zobaczyła, że jestem taki nieszczęśliwy i pierwszym jej krokiem było zbliżenie się do ciebie, żeby mi jakoś dopomóc. Och, ona jest taka kochana!

— Tak, rzeczywiście — odrzekłam.

— Naturalnie, musi się tobą bardzo interesować, jeżeli kochała się w twoim ojcu! A więc wszystko dobrze, złotko, zapewne musiała znać twoją rodzinę i opowie o niej Torquil-stone'owi. Nie mamy się czego obawiać.

— Och, właśnie, że mamy — westchnęłam. — Wiem na jakim punkcie twój brat jest *toqué*. Powiedziała mi lady Ver. Najgorsze z tego jest, że moja mama zupełnie nie była „kimś”, a jej ojciec i matka zapomnieli się pobrać. Więc chociaż mamusia była bardzo ładna i bardzo dobrze wychowana w Brighton, jednak dla tatusia małżeństwo z nią było meza-lianssem. Pani Carruthers nieraz mi tym dokuczała.

— Kochanie moje — przerwał i znowu zaczął mnie całować. To ciekawe, że pocałunki dają nam takie dziwne uczucie, taki dreszcz w plecach, czy w krzyżu, jaki sprawia niekiedy muzyka, tylko o wiele, o wiele silniejszy.

— Która godzina? — zapytałam, gdy nieco doszłam do siebie.

Zapalił zapałkę i spojrzął na zegarek.

— Dziesięć minut po piątej — zawołał.

— A Krzysztof miał przyjść o czwartej — rzekłam — i gdybym cię nie spotkała przypadkiem w parku, to byłabym prawdopodobnie jego narzeczoną i starałabym się przyzwyczaić do jego pocałunków.

— Mój Boże! — powiedział jakoś dziko Robert — ja szaleję na samą myśl o tym — i tak mocno mnie przycisnął, że nie mogłam oddychać. — Nikt w świecie nie będzie cię już całował, to ja ci powiadam — mruknął przez zęby.

Naturalnie, że gdybym chciała, mogłabym zapisywać dziesiątki stronic, przypominając sobie te wszystkie miłe rzeczy, któreśmy sobie mówili, ale nawet mnie samej wydaje to się nonsensem, gdy czytam te martwe słowa, bo nie mogę przecież oddać tonu głosu Roberta ani niezwykłego czaru jego sposobu bycia, jednocześnie ubóstwiającego i władczego. Tysiące nie znanych mi dotychczas wzruszeń powstało we mnie, jak gdyby brama mojej duszy otworzyła się na radość i miłość.

Los na pewno będzie łaskawy dla zakochanych takich jak my!

Okolo szóstej wróciliśmy do hotelu, a Robert nie chciał mnie puścić na górę, dopóki nie sprawdził, że Krzysztof poszedł sobie.

Tak, dowiedzieliśmy się, że był o czwartej, czekał dwadzieścia minut i poszedł, powiedziawszy, że wróci o pół do siódmej.

— Więc napisz do niego kilka słów i oddaj portierowi — rzekł Robert.

— Napisz, że jesteś zaręczona i nie możesz się z nim widzieć!

— Nie, tego nie mogę zrobić — nie jestem zaręczona z tobą i nie będę, dopóki twoja rodzina się nie zgodzi i nie będzie dla mnie miła.

— Kochanie — rzekł błagalnie, a jego głos drżał ze wzruszenia — kochanie moje, między nami jest miłość —jakkolwiek zachowa się moja rodzina, nic nas nie zdoła rozłączyć, przysięgam ci. Napisz do Krzysztofa.

Siadłam przy stole w holu i napisałam: „Drogi Panie Carruthers, bardzo mi przykro, że mnie Pan nie zastał — zaczęłam gryźć koniec pióra namyślając się. — Niech Pan nie przychodzi do mnie dziś wieczorem.

Powiem Panu dlaczego za dzień, albo za dwa.

Szczerze życzliwa

Ewelina Travers"

— Czy tak będzie dobrze? — zapytałam i podałam Robertowi list; aby przeczytał, zanim ja zaadresuję kopertę.

— Tak — rzekł wreszcie i czekał, dopóki nie zapieczętowałam listu i nie oddałam go portierowi. Wtedy z wymownym uściskiem ręki opuścił mnie i udał się do lady Merrenden.

A ja poszłam do mego saloniku, który wydawał mi się zupełnie zmieniony. Zresztą cały świat wydawał mi się zupełnie zmieniony, jakby obracał się na innej osi.

„CLARIDGE” Niedziela w nocy, 27 listopada

Dziś wieczorem, około ósmej, kiedy odczytywałam ten dziennik, otrzymałam list od Roberta. Wewnątrz był jeszcze i drugi list, ale nie spojrzałam nawet od kogo, tak mi było pilno przeczytać, co pisze Robert.

CARLTON HOUSE TERRACE

Kochanie moje, miałem długą rozmowę z ciotką Zofią, która jest najlepsza i najśłodsza w świecie, ale obawia się, że Torquillstone będzie trochę trudny (*nie dbam o to, nic nas teraz nie może rozdzielić*). Prosiła mnie, żebym nie przychodził już dziś do Ciebie, że to dla Ciebie będzie lepiej, jeżeli nie przyjdę tak późno do hotelu. Przeczytaj jej list, a przekonasz się, jaka jest dobra i kochana. Jutro, skoro tylko skończę przekłętą służbę, wpadnę do Ciebie koło dwunastej. Kochanie moje, co za różnica z wczorajszym dniem. Wczoraj czułem się taki biedny, nieszczęśliwy, a dzisiaj! Wiem, że nie jestem Ciebie wart, ale myślę, że potrafię uczynić Cię szczęśliwą. Kocham Cię.

Dobranoc, moje Ty, własne, jedyne —

Robert.

Bądź tak dobra i przyślij mi kilka słów przez służącego. Kazałem mu zaczekać".

Nigdy dotychczas nie dostałam miłosnego listu. Co to za miła rzecz! Czułam rozkoszne dreszcze przy każdym zdaniu. Po chwili rozmarzenia ocknęłam się i sięgnęłam po list lady Merrenden. Nie mogę go tu umieszczać, bo zabrałby za dużo miejsca. Przemiły, słodki list! Obiecywała przyjąć mnie jak

najdroższą siostrzenicę i zrobić dla nas, co tylko będzie mogła. Wyrażała nadzieję, że nie wezmę jej za zbyt staromodną, lecz uważała za stosowne poradzić Robertowi, aby mnie już nie odwiedzał. W końcu pisała, że odwiedzi mnie jutro rano i wtedy naradzimy się nad wszystkim.

Weronika przypomniała mi, że służący lorda Roberta czeka za drzwiami, więc pobiegłam do stolika i zaczęłam pisać. Nigdy dotychczas nie pisałam miłosnych listów, więc nie bardzo wiedziałam, jak to zrobić.

„Z radością przeczytałam Twój list i uważam, że lady Merrenden ma zupełną rację. Będę w domu o dwunastej i będę Cię niecierpliwie oczekiwać.

Wiele miłości od
Eweliny”.

List ten wydał mi się bardzo panienkowaty, ale służący czekał za drzwiami, Weronika kręciła się niecierpliwie, a służba hotelowa właśnie wniosła obiad, więc nie chciałam go drzeć i zaczynać nowego, tylko gdy przez chwilę byłam sama, wyjęłam jeden fiołek z bukietu i wsunęłam go w kopertę. Napisawszy nazwisko na kopercie, zdałam sobie sprawę, że nie wiem, dokąd list zaadresować. List był z Carlton House, ale Roberta nie było tam już teraz skoro list przyniósł jego własny służący. Było mi przykro, że nie wiem nawet, gdzie on mieszka, i zdenerwowałam się tym, choć zwykle jestem spokojna. Kazałam przywołać służącego i zapytałam, gdzie jego pan może teraz być.

— Milord jest w Varassour House, madame — odpowiedział z szacunkiem, lecz zarazem z leciutkim zdziwieniem, że ja o tym nie wiem.

— Milord jest dziś wieczorem na obiedzie w domu, razem z jego wysokością, księciem panem.

Kiedy wreszcie zostałam sama, nie mogłam nic jeść. Weronika starała się mnie namówić. Mówiła, że jestem bardzo blada i że się pewno zaziębiłam. Miała dziś swój styl „starej mateczki”, a wtedy porzuca trzecią osobę mówiąc do mnie i nazywa mnie *mon enfant*.

— Och, Weroniko, ja się nie zaziębiłam, tylko jestem strasznie szczęśliwa!

— Mademoiselle jest na pewno zaręczona z panem Carru-thersem? Och, *mon enfant adorée* — wykrzyknęła — *que je suis contente*¹⁵.

— Dzięki Bogu, nie! — zawołałam. — Nie, Weroniko, z kimś o wiele miłszym, z lordem Robertem Varassour. Weronika była okropnie zainteresowana. Wyznała mi, że wołałaby pana Carruthersa, którego uważała za solidniejszego, ale naturalnie „milord” jest także czarujący i prędzej czy później mademoiselle zostanie księżną. A jaki rodzaj korony będzie haftowany na bieliźnie?

Musiałam jej tłumaczyć, że jeszcze przez dłuższy czas nie będzie żadnej korony ani w ogóle wyprawy. To ją trochę ostudziło.

*Un frère de duc et pas de couronne!*¹⁶

Po siedmiu latach pobytu w Anglii jeszcze się nie mogła przyzwycząić do naszych dziwnych zwyczajów.

Potem nalegała, bym się położyła zaraz po obiedzie, „żeby być ładniejszą jutro dla milorda”, a gdy mnie już ułożyła i otuliła, i skrzyła główne światło, rzekła patrząc na mnie z zachwytem przy świetle nocnej lampki: „Mademoiselle jest doprawdy prześliczna. *Mon Dieu, il ne s'embêtera pas, le Monsieur!*”¹⁷.

„CLARIDGE” Poniedziałek, rano

Jak ja mogłam żyć dawniej nie znając Roberta!

Nie rozumiem, co ja robiłam po całych dniach.

Ciekawa jestem, tak strasznie ciekawa, czy książę będzie trwać w swoim uporze i czyja znajdę w sobie dość siły, żeby się z Robertem rozstać dla jego dobra.

* *Mon enfant adorée...* (franc.) — **Moje drogie dziecko, jakże jestem zadowolona.**

* *Un frère de duc...* (franc.) — **Książęcy brat, lecz niekoro-nowany.**

¹⁵*Mon Dieu...* (franc.) — **Mój Boże, ten pan nic będzie się nudził.**

¹⁶*Mon Dieu...* (franc.) — **Mój Boże, ten pan nic będzie się nudził.**

¹⁷*Mon Dieu...* (franc.) — **Mój Boże, ten pan nic będzie się nudził.**

Przecież to tak niedawno — nie ma jeszcze czterech tygodni — kiedy byłam w Brauches i marzyłam, żeby się prędzej poruszały wskazówki wielkiego zegara życia.

Och, teraz już wiem, co porusza te wskazówki, to miłość — taka strasznie silna miłość jak nasza. Ale muszę mieć spokojną głowę i starać się przypomnieć sobie wszystkie informacje o ludziach. Wszyscy mężczyźni są zdobywcami i nigdy nie mogą być zupełnie pewni.

Niełatwo będzie dokuczać Robertowi, bo on jest taki prosty, szczerzy i serdeczny, ale trudno, muszę spróbować. Może to, że jestem tak bardzo ładna i że wszyscy mężczyźni się za mną oglądają, może to wystarczy, żeby go martwić i nie będę potrzebowała mu jeszcze oprócz tego dokuczać. Chciałabym, żeby tak było, bo kocham go tak bardzo, że wolałabym być dla niego zawsze słodka i dobra.

Robię teraz te wszystkie rzeczy, z których dawniej się wyśmiewałam. Całowałam jego list i kładąc się spać włożyłam go pod poduszkę, a dziś rano obudziłam się o szóstej i zapaliłam światło, żeby go znów przeczytać. To miejsce, gdzie jest napisane: „Kochanie moje”, jest prawie zupełnie zatarte, bo tam całowałam najczęściej.

Na wszystko inne jestem ślepa i głucha. Nic mnie nie obchodzi, czy lady Ver gniewa się, czy nie. Ja postąpiłam zupełnie uczciwie. Po co miałam się dla niej poświęcać, skoro Robert powiedział zupełnie wyraźnie, że tylko mnie kocha. Przypuszczam jednak, że musi się gniewać i że prawdopodobnie zechce się nawet mścić.

W tych dniach napiszę do niej całą prawdę, gdy tylko się przekonam, jak się rzeczy układają. Domyśla się już zapewne czegoś, skoro Robert z nią nie pojechał.

„CLARIDGE” Poniedziałek, po południu

Dziś rano o pół do jedenastej przyszła lady Merrenden, a cały pokój wypełnił się kwiatami, które przysłał Robert — całe pęki fiołków i gardenii. Ucałowała mnie i przez długą chwilę trzymała w ramionach mocno przytulając. Obie milczałyśmy. Dopiero później odezwała się trochę drżącym głosem.

— Robert jest mi tak drogi — prawie jak własne dziecko — że bardzo pragnę, by był szczęśliwy i ty także, Ewelino — czy mogę cię tak nazywać?

Ścisnęłam ją za rękę.

— Ty jesteś niby żyjącym wspomnieniem mojej młodości, tych czasów, kiedy i ja odczuwałam gwałtowną wiosenną miłość. Toteż, kochanie moje, nie muszę ci powtarzać, że możecie na mnie liczyć i że zrobię, co będę mogła, by wam dopomóc.

Potem rozmawiałyśmy i rozmawiały bez końca.

— Muszę wyznać — rzekła wreszcie — że od początku byłam nastawiona do ciebie życzliwie z powodu twego biednego ojca, ale w każdym razie mam tak dobrą opinię o Robercie, że bezwzględnie uznałabym jego wybór. Ten chłopiec ma rzadkie zalety, to jest najszczęstsza, najczystsza dusza w świecie. Nie mówię wcale — ciągnęła dalej — żeby i on do pewnego stopnia nie używał życia, jak inni młodzi ludzie z jego sfery i w jego wieku. Nie jest święty i przypuszczam, że nikt, kto żyje w naszym świecie, nie może być święty. Zapewne uprzejmi przyjaciele naopowiadają ci historii o aktorkach i innych przygodach, ale ja, która go znam dobrze, twierdzę, że zdobyłaś sobie najszlachetniejszego i najgodniejszego kochania chłopca w Londynie.

— Och, jestem tego pewna — rzekłam. — Nie wiem, dlaczego on mnie kocha, bo tak niewiele mnie widywał; ale u nas obojga zaczęło się to od pierwszej chwili. On jest taki kształtny i zgrabny.

Roześmiała się, potem zapytała, czy dobrze się domyśla, że całe nasze *contretemps*¹⁸ było spowodowane przez lady Ver.

— Nie musisz mi zresztą odpowiadać, kochanie — dodała — znam dobrze Janthe, wiem, że sama jest zakochana w Robercie i nie umie tego zwalczyć; nie mówię o niej nic złego, ale wiem, że często ulega takim atakom, które zresztą prędko przechodzą. Sądzę, że w rzeczywistości jest przywiązana do sir Charlesa.

— T-a-k — powiedziałam.

— W dziwnym świecie żyjemy, moje dziecko — ciągnęła — a prawdziwa miłość i zgodność charakterów zdarzają się

¹⁸ *Contretemps* (franc.) — niestosowna, nieodpowiednia pora.

rzadko; jednak z tego, co wiem, przypuszczam, że ty i Robert macie obie te rzeczy.

— Och, jaka pani kochana, że tak mówi! — wykrzyknęłam — A więc pani nie uważa, że ja koniecznie muszę być zła z powodu koloru moich włosów i oczu?

— Co za śmieszna myśl, moje ty słodkie dziecko! — zaśmiała się. — Kto ci to powiedział?

— Och, pani Carruthers zawsze tak mówiła... i... i... i starzy panowie, co u niej bywali, i nawet pan Carruthers nadmieniał, że muszę mieć złe skłonności. Ale pani uważa, że potrafię być dobra, prawda?

Była ubawiona, jak widziałam, ale ja mówiłam zupełnie poważnie.

— Przypuszczam, że może zepsułabyś się trochę, gdybyś wyszła za takiego człowieka jak pan Carruthers — rzekła uśmiechając się — ale jestem pewna, że będziesz dobra wiążąc się z Robertem. On nie zostawi cię samej ani na chwilę i będzie cię tak kochał, że nie znajdziesz czasu na nic innego.

— Och, tego bym właśnie chciała, być kochaną zawołałam.

— Przypuszczam, że wszystkie kobiety to lubią westchnęła. —

Wszystkie możemy być dobre, jeżeli człowiek, którego kochamy, umie nam okazywać swoją miłość. Ten chłód i powściągliwość w sposobie bycia zabijają miłość i sprawiają, że kobieta rozgląda się po świecie szukając jej gdzie indziej. Potem rozmawialiśmy o księciu.

Powiedziałam, że wiem o jego *toquade*¹⁹, a ona naturalnie знаła całą historię mojej biednej mamy.

— Muszę ci wyznać, kochanie, że księżę okaże się pewnie bardzo trudny — rzekła. — To dziwnie przesądny człowiek i uparty w najwyższym stopniu, a Roberta ubóstwia, jak zresztą my wszyscy. Nie pytałam, czy się podobam księciu, bo wiem, że nie.

— Chciałam, żebyście się spotkali w sobotę — mówiła w dalszym ciągu. — Byłam pewna, że twój czar podziała na niego, tak jak podziałał na mnie i na mojego męża — ale teraz myślę, że kto wie, czy nie lepiej było czekać. Kiedy odeszłaś,
Toquade (franc.) — bzik, mania.

¹⁹ *Contretemps* (franc.) — niestosowna, nieodpowiednia pora.

powiedział, że jesteś o wiele za piękna dla spokoju jakiegokolwiek rodziny i żałował pana Carruthersa, że ma się z tobą ożenić. Nie chciałam cię zranić, drogie dziecko; chciałam tylko, żebyś wiedziała wszystko i żebyśmy się mogły naradzić jak postąpić.

— Tak, ja wiem — odrzekłam i znowu ścisnęłam ją za rękę. Ona nie wysuwa pazurków jak lady Ver.

— Skądże on mógł się dowiedzieć czegoś o panu Carruther-sie? — zapytałam — albo o mnie i o wszystkim?

Wyglądała na zmieszaną.

— Nigdy nie można wiedzieć, skąd ludzie dowiadują się o czyichś sprawach. Wiem, że niesłychanie interesował się tobą, chciał cię spotkać i zdawało się, że nawet lepiej zna całą sprawę, niż ja sama. Obawiam się, że zbiera informacje od służby.

— Och, czy tym sposobem nie pokazuje się w nim wyraźnie pokojówka? Biedny człowiek — rzekłam. — On nic na to nie poradzi, tak jak ja nic nie mogłam poradzić, żeby się nie rozpłakać przy Robercie wczoraj w parku. Naturalnie ani księżę, ani ja nie zrobilibyśmy tego, gdybyśmy nie mieli plamy na naszym pochodzeniu, tylko że na szczęście dla mnie moją plamą nie była pokojówka i było to o jedno pokolenie wcześniej, więc się to już mniej odzywa.

Aż się przechyliła w tył, tak się śmiała.

— Ty osobliwe, ty zabawne dziecko! — mówiła. Była dwunasta i właśnie wszedł Robert.

Och, jak mi biło serce. Jeżeli zawsze tak będzie biło, gdy Robert przyjdzie, to na pewno wkrótce dostanę wady serca.

Robert wyglądał tak uroczo; nie był w miejskim ubraniu, tylko w mundurze polowym, twarz miał rozpromienioną, a oczy gorzały mu jak błękitne gwiazdy.

Zachowaliśmy się bardzo przyzwoicie. On tylko pocałował mnie w rękę, a lady Merrenden nawet przez tę chwilę patrzyła na zegarek. Ileż ona ma taktu. — Czy to nie śliczności ta moja Ewelina? Powiedz, ciotko Zofio?

— zapytał. — A podobają ci się jej miedziane włosy?

— Są piękne — odrzekła lady Merrenden.

— Kiedy zostaniemy sami, porzucam to wszystko i porozplatom.

— I szepnął — kochanie moje, ubóstw iam cię! —

tak bliźniutko, że jego wargi dotknęły mojego ucha. Ten Robert swoim wdziękiem umiałby ożywić nawet kamienny posąg.

— Jaki był Torquillstone wczoraj wieczorem? — zapytała lady Merrenden. — Czy powiedziałeś mu wszystko?

— Ani słowa — odrzekł Robert — chciałem się przedtem naradzić z wami obiema. Czy mam zaraz pójść do niego, czy mamy lepiej postarać się, żeby znowu spotkał Ewelinę i żeby ona go oczarowała, tak jak wszystkich, i dopiero wtedy mu powiedzieć?

— Och, powiedz mu wprost! — zawołałam przypominając sobie skłonność księcia do wypytywania służby i to, że Weronika wie o wszystkim. — Wtedy nie będzie mógł powiedzieć, żeśmy go oszukały.

— I mnie się tak zdaje — rzekł Robert. — Zabierz Ewelinę na śniadanie, ciociu Zosiu, a ja wrócę do niego, zjem z nim śniadanie, opowiem mu o wszystkim i przyjadę do was.

— Tak, to będzie najlepiej stwierdziła i ustaliliśmy, że za godzinę zajedzie po mnie i Robert uda się wtedy do pałacu Varassour. Zawiózł ją na dół windą i wrócił do mnie.

Nie — nawet w tej zamkniętej na zameczek książce nie opiszę tej godziny — była zanadto boska. Jeżeli już samo siedzenie w parku wydawało mi się niebem, to poznałam teraz, że są różne stopnie nieba i że Robert prowadzi mnie powoli, aż do siódmego.

Poniedziałek, po południu

Zapomniałam powiedzieć, że ranną pocztą nadszedł bilecik od Krzysztofa; śmiałam się czytając go, potem wyleciało mi to z głowy, ale gdy lady Merrenden wróciła po mnie i doszliśmy trochę do siebie — to znaczy Robert i ja, on zapytał:

— Czy nie słyszałaś przypadkiem czegoś o Krzysztofie; nie wiesz, czy otrzymał twój list?

Poszłam do sypialni i znalazłam list, a gdy wkładałam kapelusz, Robert przeczytał go głośno:

„KLUB PODRÓŻNIKÓW" Niedziela, w nocy

„*Souvent femme varie, fol qui s'y fie!*”²⁰ Mam nadzieję, że pani uznała swoją *odmianę* za wartą... odmiany.

K. C."

— Co za diabelski zuchwalec! — zawołał Robert na swój dawny sposób, kiedy to używał jeszcze „ornamentów” w rozmowie. Nie używa ich od czasu, gdy jesteśmy — och, jakże bym chciała napisać — zaręczeni.

Oczy zapłonęły mu gniewem.

— Krzysztof powinien się strzec. Będzie teraz przede mną odpowiadał za swoje zuchwalstwa.

— Bądź rozważna, droga Ewelino! — odezwała się wesoło lady Merrenden — albo narazisz się na to, że Robert porozbija głowy wszystkim mężczyznom, którzy ośmielą się choćby spojrzeć na ciebie na ulicy. On jest wściekle zazdrosny.

— Tak, wiem, że jestem — rzekł Robert poprawiając mi węzeł krawata przy bluzce, jak zwykle *sans gêne* i z gestem posiadacza, co tak bardzo mi się podoba.

Należę teraz do niego i jeżeli zawiązanie mojego krawata mu się nie podoba, to ma prawo zawiązać go inaczej. I taki jest zawsze jego sposób bycia, nic ceremonialności ani sztywności, tylko całkowita prostota i naturalność. Gdy byłam jeszcze „panną Travers”, a on „lordem Robertem”, zawsze traktował mnie z wielkim respektem, z wyjątkiem tej jednej nocy, kiedy z wściekłości ścisnął mnie za palec! Ale teraz ja jestem *jego* Eweliną, a on *moim* Robertem (sam mi to tłumaczył podczas tej rajskiej godziny), jestem jego królową i największym ukochaniem, ale jednocześnie jego własnością i należę do niego tak samo, jak jego ubranie czy zegarek. Okropnie mi się to podoba i nic a nic nie czuję się tym upokorzona, jak by kto mógł przypuszczać.

— Chodźcie, chodźcie, dzieci! — wołała lady Merrenden — bo się spóźnimy.

Pojechaliśmy; Roberta zostawiłyśmy po drodze w pałacu Varassour; to wspaniały dom, przy jednej z tych ulic, które

²⁰*Souvent femme...* (franc.) — Kobieta zmienna jest, szalony, kto jej ufa.

wychodzą na Green Park. Przed domem jest mały ogródek. Nigdy nie wchodziłam za mur, ale każdy może widzieć wspaniałą fasadę pałacu z St. James Parku. I ja ją nieraz widywałam, chociaż nie przypuszczałam, że to jest Varassour House.

— Powodzenia! — szepnęła lady Merrenden, gdy Robert wysiadł, i pojechałyśmy dalej.

Dużo ludzi było na śniadaniu w Carlton House, członkowie gabinetu ministrów, jeden głośny powieściopisarz i pewien znakomity portrecista, i dwie czy trzy czarujące kobiety, tak ładne i szykowne jak lady Ver. Inne były o mniej ciekawej powierzchowności, ale tak dobrze ułożone! Nie było żadnych takich figur jak rodzina Montgomeire. Miałyśmy rozkoszne śniadanie, a ja starałam się być jak najmniejsza i podobać się mojej drogiej gospodyni. Kiedy się wszyscy rozeszli, zaczęłyśmy być trochę niespokojne i niecierpliwie wyglądałyśmy Roberta. Aby się rozerwać, zaczęłyśmy mówić o gościach lady Merrenden.

— Mojego męża bawi to, kiedy widuje u siebie ludzi różnego rodzaju — rzekła — ale dzisiaj nie mieliśmy nikogo specjalnie interesującego; co do mnie, muszę wyznać, że autorzy i autorki nudzą mnie i często rozczarowuję się co do nich. Poznawszy ich osobiście, nie lubię już czytywać ich książek.

Powiedziałam, że całkowicie w to wierzę.

— Nie mam też tej ambicji, żeby wyszukiwać geniuszów — ciągnęła — czekam, aż sami się zjawią. Merrenden jest wielkim znawcą natury ludzkiej i bawi go rozmaitość typów.

Przypuszczam, że ja pozostawiona sama sobie ograniczyłabym się raczej do mniej znakomitych ludzi, byle należeli do mojego kółka i bylebym mogła się z nimi zżyć! Z jej słów zawsze przebijają wielkie względy dla lorda Merrendena, dla jego życzeń i upodobań.

— Zawsze czuję, jakie to musi być dla niego okropne, że nie mamy dzieci — rzekła — tytuł lorda musi się przenieść na inną linię; toteż powinnam starać się go uszczęśliwić, ile tylko mogę.

Jaka to kochana i sprawiedliwa kobieta!

W końcu zaczęłyśmy rozmawiać o Robercie. Opowiadała mi mnóstwo historii z jego dzieciństwa, różne zabawne wybryki z czasów pobytu w Eton. Jakie męstwo okazał podczas wojny,

jak go uwielbiała służba i wszyscy w Torquillstone, jaką miał popularność.

— Powinnaś tak nim pokierować, żeby wszedł do parlamentu — rzekła w końcu. Właśnie Robert wszedł do pokoju. Och, jego ukochana twarz była aż nadto wymowna, nie potrzeba tu było słów. Książę okazał się uparty, jak można się było domyśleć.

— A więc? — zapytała lady Merrenden.

Robert podszedł wprost do mnie i wziął moją twarz w dłoń:

— Kochanie — rzekł — przede wszystkim chcę, żebyś wiedziała, że kocham cię więcej niż kogokolwiek w świecie i nic mnie nie zmieni — i ucałował mnie przy swojej ciotce. Głos miał wzruszony i wszyscy czuliśmy ściskanie w gardle. Stał naprzeciwko nas, lecz wciąż trzymał mnie za rękę. — Torquillstone był straszny, już widzę — rzekła lady Merrenden. — Co on mówił? Powiedz nam wszystko, Robercie.

Ewelina także tego chce, jestem pewna. Robert był bardzo blady i zmieniony, ale dopiero teraz mogłam zauważyć, ile stanowczości jest w linii jego podbródka, ile mocy w jego drogich błękitnych oczach.

— Powiedziałem mu, że kocham Ewelinę, którą, o ile wiem, widział wczoraj, i że mam zamiar ją zaślubić.

— A on, co powiedział? — zapytała bez tchu lady Merrenden.

Ścisnęłam mocniej rękę Roberta.

— On zaczął przeklinać jak dragon, rzucił szklanekę na stół i stłukł ją — wstrętne objawy złego humoru — wstydzilem się za niego. W końcu powiedział: „Nigdy, dopóki ja będę żył i zdołam temu przeszkodzić”. Potem dodał, że słyszał już coś o moich zamiarach (domyśliłem się, że musiał przeprowadzić jakieś badania) i że rodzina Eweliny wydaje mu się mocno niezadowolająca. Więc umyślnie był tu wczoraj, żeby cię widzieć, kochanie — zwrócił się do mnie — i żeby samemu osądzić. „Dziewczyna jest szatańską pięknnością” (to są jego słowa), ma najbardziej szelmowskie, wyzywające oczy, jakie sobie można wyobrazić, a usta... Nie, ja nie mogę dalej mówić, bo oszaleję! — i oczy Roberta zamigotały.

Lady Merrenden wstała z krzesła, podeszła i wzięła mnie za drugą rękę. Zdawało mi się, że nie mogłabym w tej chwili być za wysoka i zanadto wyprostowana.

— Krótko mówiąc stanowczo odmówił swego zezwolenia; powiada, że nie mam się już czego spodziewać i rozstaliśmy się na dobre.

— Och, Robercie! — prawie krzyknęła lady Zofia. Robert otoczył mnie ramieniem, a twarz mu się rozpromieniła.

— Nie dbam o to, jakie to ma znaczenie! Jakieś nadzieje i korzyści w mglistej przyszłości — czym jest dla mnie ich strata, jeżeli tylko będę miał moją Ewelinę dla siebie.

— Ależ, Robercie najdroższy — wtrąciła lady Merrenden — absolutnie nie wyżyjesz bez tego, co on ci daje, bo cóż ty masz własnego? Około tysiąca ośmiuset funtów i wiesz przecież, kochany chłopcze, jak często jesteś w długach. Przecież na ostatnią Wielkanoc zapłacił za ciebie pięć tysięcy długów. Och, co teraz będzie! — załamała rękę.

Miałam wrażenie, że obracam się w kamień.

Czyż całe to niebiańskie szczęście znowu mi się wyśliznie? Tak, na to wyglądało, bo przecież nie wciągnę Roberta w ubóstwo i nie zniszczę mu przyszłości.

— Nie może rozporządzać się dobrami Torquillstone i tymi tysiącami akrów leżącej bezużytecznie ziemi, ale niestety posiadłości w Londynie są do jego dyspozycji. Och, ja muszę pojechać i rozmówić się z nim.

— Nie! — rzekł Robert. — To się na nic nie przyda, a będzie wyglądało, jakbyśmy prosili o łaskę. — Bardzo posmutniał, gdy lady Merrenden mówiła o jego dochodach.

— Kochanie — rzekł złamanym głosem — to prawda, że nie mogę zrobić z ciebie żebraczki. Musimy jednak pomyśleć, jakim sposobem zmiekczyć mego brata.

Wtedy ja się odezwałam:

— Robercie — rzekłam — gdybyś był jakimś Johnem Smithem, chętnie poszłabym z tobą i zamieszkała w jakiejś chatce, a nawet w norze — ale nie jesteś nim, a ja nie chciałabym *za nic* ściągać cię z twojej pozycji w świecie — to byłaby bardzo nędzna miłość. Och, mój drogi — i mocno ścisnęłam go za rękę — jeżeli wszystko nas zawiedzie, musimy się rozstać, a ty musisz zapomnieć o mnie.

Wziął mnie w ramiona i usłyszeliśmy, że drzwi się zamykają. Lady Merrenden zostawiła nas samych. Och, bolesne i boskie zarazem było to pół godzinki.

— Nigdy cię nie zapomnę i nigdy w świecie nie wezmę innej żony — rzekł wreszcie. — Jeżeli musimy się rozstać, to skończyła się dla mnie wszelka radość w życiu.

— I dla mnie także, Robercie.

Mówiliśmy sobie najnamiętniejsze zaklęcia miłosne, ale nie chcę ich tu zapisywać, zapisałam je w innej zamkniętej księdze — w księdze mojej duszy.

— Czy może przydałoby się na coś, żeby pomówił z nim pułkownik Tomasz Carden? — rzekłam nagle. — On był drużbą i świadkiem na ślubie ojca i wie wszystko o biednej mamie i pomyśl, że przecież mama była córką lorda de Brandreth, to taki stary ród i dawna baronia. Myślę, że na czystość krwi dzieci wcale nie wpływa to, czy rodzice przeszli ceremonię ślubną, czy nie. Ja... ja jednak nie znam się na tych rzeczach.

— Moje słodkie! — rzekł Robert i mimo całego zmartwienia uśmiechnął się i ucałował mnie. — Moje słodkie, słodkie maleństwo.

— Ale księżę zna wszystkie szczegóły tej historii? — zapytałam zadyszana, kiedy już byłam zdolna mówić. Gdy się jest całowaną, mówić przecież nie można.

— Troszkę zna, jak mi się zdaje. Powiada, że nie będzie o tym nawet dyskutować, bo ja powinienem być wiedzieć, jakie są jego poglądy; gdyby jednak tego nie było dosyć, wystarczającym powodem stałaby się twoja perwersyjna, zmysłowa uroda. Powiada, że nie będziesz mi wierna nawet przez rok. O mało go nie zabiłem, gdy mi wyrzycał te słowa prosto w twarz.

Poczułam, że i we mnie coś się burzy. Jakie to strasznie niesprawiedliwe, jakie okrutne. Wstałam i przejrzałam się w lustrze — wielkim zwierciadle między oknami. Skinęłam na Roberta, żeby podszedł.

— Och, powiedz mi, powiedz mi, co to jest. Czy ja naprawdę tak źle wyglądam? To chyba jakieś przekleństwo ciąży nade mną!

— Naturalnie, że nie wyglądasz źle, kochanie moje — wykrzyknął Robert. — Jesteś cudownie piękna — wysmukła, wytworna, przedziwna, jak orchidea — tylko... tylko... nie wyglądasz na zimną, i to pewno twoje czerwone włosy i te czarujące zielone oczy, i cera biała jak mleko, i czarne rzęsy,

i te purpurowe usta — to, to wszystko, wiesz, serduszko moje. Nie jesteś taka, jak bułka z masłem, jak przeważnie są nasze dziewczęta, jesteś niesłychanie ponętna i każdego, kogo zechcesz, potrafisz doprowadzić do szaleństwa. Pomyślałam o wieczorze, kiedyśmy byli na *Carmen*.

— Tak, byłam może zepsuta i przewrotna — powiedziałam — ale nigdy już nie będę, chyba tylko tyle, żebyś mnie zawsze kochał, bo jak mówi lady Ver, mężczyźni, gdy są zupełnie pewni kobiety, nudzą się i ziewają. Ale nawet zepsuci ludzie mogą bardzo, bardzo kochać i ta miłość ich uszlachetnia. Och, gdyby on wiedział, jak ja strasznie cię kocham, Robercie, jestem pewna, że byłby dobry dla nas.

— Ale jak mu to wytłumaczymy?

Nagle pewna myśl przysłała mi do głowy i przebiegł mnie dreszcz jakiegoś rozpaczliwego podniecenia.

— Czy obiecujesz mi, że nic nie przedsięweźmiesz aż do jutra? — spytałam. — Mam pewien pomysł, z którego nikomu się nie zwierzę. Wracajmy teraz do „Claridge”, a potem idź sobie i nie przychodź do mnie aż do jutra do dwunastej. Wtedy, jeżeli i to zawiedzie, pożegnamy się. To jest desperacki krok.

— I nie chcesz mi powiedzieć, co to jest?

— Nie — tylko proszę cię, zawierz mi; pamiętaj, że tu chodzi tak samo o moje życie, jak o twoje.

— Moja królewno! — szepnął. — Dobrze, zrobię to i wszystko, czego zechcesz, tylko nigdy się nie pożegnajmy. Ostatecznie jestem mężczyzną, mam mnóstwo wpływowych znajomych. Potrafię coś robić w życiu, nie tylko być gwardzistą — zdobędziemy sobie tyle pieniędzy, żeby żyć spokojnie i szczęśliwie, choć może nie będziemy bardzo znakomitymi osobami. Nigdy się z tobą nie pożegnám — czy słyszysz? Nigdy. Obiecuj mi, że nawet tego nie powtórzysz. Milczałam.

— Ewelino, kochanie moje — krzyknął z trwogą, podnosząc, jak zwykle, brwi do góry, a w jego ślicznych oczach stanęły dwie wielkie łzy. — Mój Boże! nie chcesz mi odpowiedzieć!

— Tak, chcę! — odrzekłam i odrzuciwszy całą powściągliwość na cztery wiatry, zarzuciłam mu ręce na szyję i przytuliłam się namiętnie.

— Kocham cię sercem i duszą i proszę Boga, żebyśmy nigdy nie potrzebowali się żegnać.

Gdy powróciłam do „Claridge”, po raz pierwszy w życiu popadłam w lekkie omdlenie. Lady Merrenden sama mnie odwiozła i zostawiła, zapewniwszy mnie jeszcze kilkakrotnie o swym przywiązaniu i oddaniu. Z Robertem pożegnałam się na całą dobę jeszcze w Carlton House. Oni nie znają mnie jeszcze całkowicie — nie wiedzą, co ja mogę i chcę zrobić.

„CLARIDGE” Poniedziałek, w nocy

Pragnąc wykonać mój plan, czułam, że muszę się wprawdzie trochę uspokoić i dlatego pisałam ten dziennik.

Czego byłam pewna, to tego, że kocham Roberta zbyt silnie, aby go poświęcić dla swojej miłości. Z drugiej strony wyrzec się go bez walki byłoby zbyt okrutne dla nas obojga. Jeżeli nawet matka mojej mamy była kimś nieciekawym, to całą resztę mojej rodziny stanowili dawni rycerze i dżentelmeni i modliłam się teraz do ich cieniów, żeby mi pomogli.

Potem zadzwoniłam i poprosiłam o trochę wody z lodem; popijałam ją i głęboko rozmyślałam przez kilka minut, siedząc przed biurkiem. Ręka mi nie zadrżała, choć pisałam w ogromnym napięciu ducha. Najpierw zaadresowałam kopertę, żeby się umocnić w postanowieniu.

Do

Jaśnie Oświeconego Księcia Torquillstone VARASSOUR HOUSE St.
JAMES S. W.

Potem odłożyłam kopertę na bok.

„To ja piszę ten list, Ewelina Travers — zaczęłam bez żadnego tytułu — i pytam, czy Pan zgodzi się zobaczyć ze mną, albo tutaj w moim saloniku, dziś wieczorem, albo też ja przybędę do Varassour House. Wiem, że Pański brat, lord Robert, powiedział Panu, że się kochamy i mamy zamiar się pobrać i że Pan odmówił swego zezwolenia, częściowo z powodu mojej historii rodzinnej, częściowo dlatego, że nie podoba się Panu mój typ urody. Zdaje mi się, że przywilejem przed-

stawicieli wielkich rodów, takich jak Pan, było w ubiegłych czasach wymierzanie sprawiedliwości. W mojej sprawie mógłby Pan wymierzyć mi tę sprawiedliwość przez uprzejmość i ja proszę o tę uprzejmość. Gdy trochę o tym porozmawiamy i Pan w dalszym ciągu będzie miał tę samą opinię o mnie i *przekona* mnie, że to jest potrzebne dla szczęścia Pańskiego brata, wówczas przysięgnę Panu na honor, że więcej go nie zobaczę.

Pozostaję z poważaniem Ewelina Travers".

Włożyłam szybko list do koperty i zakleiłam. Potem zadzwoniłam i list został wysłany przez posłańca hotelowego, który miał poczekać na odpowiedź. Och, jestem ciekawa, czy przeżyję jeszcze kiedyś w życiu tak emocjonujące pół godziny, jak to, podczas którego czekałam na odpowiedź.

Wreszcie nadeszła. Muszę ją koniecznie wkleić do dziennika.

VARASSOUR HOUSE St. JAMES 28 listopada

„Droga Pani — otrzymałam Pani list i ośmielam się prosić o wybaczenie, że nie stawię się dzisiaj w hotelu u Pani, czuję się jednak bardzo niezdrów; jeżeli jednak Pani zechce zrobić mi ten zaszczyt i odwiedzić Varassour House, to może przedyskutujemy kwestię, o którą Pani chodzi. Tymczasem pozwalam sobie zapewnić Panią, że można polegać na moim poczuciu sprawiedliwości.

Pozostaję z poważaniem Torquilstone".

— Samochód jego książęcej mości czeka na panią przed hotelem — oznajmił posłaniec, a ja pobiegłam do Weroniki.

Kazałam jej, żeby mi pomogła ubrać się jak najprędzej. Miałam na sobie te same rzeczy, w których widział mnie pierwszy raz. Są one żałobne i bardzo mi w nich do twarzy.

W mniej niż dziesięć minut siedziałyśmy już z Weroniką w samochodzie. Przez całą drogę nic nie mówiłam.

Byłam widocznie oczekiwana, bo gdy tylko samochód się zatrzymał, otworzono główne drzwi i mogłam dojrzeć mroczny, wspaniały hol. Siwowłose stateczny służący przeprowadził mnie między dwoma szeregami upudrowanych lokajów (Weronika została na ich łasce) przez korytarz słabo oświetlony przyciemnionymi lampami. Po czym otworzył jakieś drzwi i nie anonsując mnie, rzekł tylko: „To ta pani, Wasza Miłość”, a gdy weszłam, zamknął za mną drzwi.

Był to rozległy pokój ze ścianami wyłożonymi drewnianą boazerią w stylu Ludwika XV, najpiękniejszą z tych, jakie widziałam, wskutek przysłonięcia lamp oświetlony tak słabo, że w jego kątach było całkiem ciemno. Książę siedział wtulony w wielki fotel. Wyglądał bardzo blado i niezdrowo i miał jakiś dziwny, nieodgadniony wyraz twarzy. Trudno było sobie wyobrazić, że ten tak staro wyglądający i połamany człowiek jest bratem Roberta, choćby tylko przyrodnim.

Posunęłam się naprzód, on z trudnością powstał i oto jak rozmowa zaczęła się między nami:

— Proszę, niech pan nie wstaje — powiedziałam — jeżeli pan pozwoli, usiądę naprzeciwko.

— Wybacz mi pani mój brak grzeczności — rzekł cicho, opadając na fotel — ale mój nieznośny grzbiet bardzo mi dziś dokucza.

Tak biednie i nieszczęśliwie wyglądał w tej chwili, że poczułam prawdziwą litość.

— Och, jakże mi przykro — powiedziałam — gdybym wiedziała, że pan jest chory, nie ośmieliłabym się go dzisiaj niepokoić.

— Sprawiedliwość nie może czekać — odpowiedział z cynicznym, kwaskowatym uśmiechem. — Proszę przedstawić swoją sprawę.

Nagle przekreślił elektryczną lampę stojącą obok, tak że pełne światło padło na moją twarz. Ani drgnęłam. Z przyjemnością mogę powiedzieć, że mam mocne nerwy.

— Sprawa moja jest taka, aby zacząć od początku: Kocham pańskiego brata więcej niż wszystko w świecie.

— Możliwe; niejedna kobieta już go tak kochała—przerwał mi. — Dalej?

— I on mnie kocha — ciągnęłam nie zwracając uwagi na tę przerwę.

— Zgoda. Jest to więc sytuacja, jak zdarza się codziennie między młodymi szaleńcami. Znacie się oboje od miesiąca, zdaje mi się?

— Niecałe cztery tygodnie — poprawiłam. Roześmiał się gorzko.

— Wobec tak krótkiego czasu ta rzecz nie może być sprawą życia i śmierci.

— Jest sprawą życia i śmierci dla mnie, a charakter swego brata chyba pan zna. Może pan równie dobrze jak i ja osądzić, czy to jest kwestia życia i śmierci dla niego.

Zmarszczył się.

Dobrze. Więc o co pani chodzi?

Przede wszystkim chcę się dowiedzieć, na jakiej podstawie pan mnie potępił, jak „szatańską piękność”? I dlaczego pan twierdził, że nie będę wierna Robertowi nawet przez rok?

— Jestem, zdaje mi się, dość dobrym znawcą charakterów — odrzekł.

— Nie może pan nim być, inaczej poznałby pan, że chociaż przypadek dał mi tę nie budzącą zaufania powierzchowność, to jednak moja natura jest prawa i nigdy nie łamię danego słowa.

— Ja widzę tylko płomienne włosy, zielone, wyzywające oczy i ogólny szatański wygląd.

— Widocznie pan jest zdania, że ludzie powinni zawsze sądzić z pozorów? — rzekłam. — Bo jeżeli tak, to ja widzę przed sobą pełnego przesądów, ograniczonego, okrutnego charakteru i cynicznego człowieka, zazdrosnego o radości młodego wieku. Ale ja nie będę tak niesprawiedliwa, żeby sądzić pana na podstawie pozorów.

Zdumiony spojrzął mi prosto w oczy.

— Może rzeczywiście taki jestem. Pani ma zapewne rację.

— W takim razie, proszę, niech pan takim nie będzie — przerwałam żywo. — Niech pań będzie dla nas dobry. My tak bardzo, och, tak bardzo chcemy być szczęśliwi i oboje jesteśmy tak młodzi, a dalsze życie będzie dla nas tak bezbarwne i bezwartościowe, jeżeli pan nas rozłączy.

— Ja nie powiedziałem, że was rozłączę — odrzekł zimno. —

Powiedziałem tylko, że odmówię Robertowi wszelkich

zasiłków i zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby tytuł przeszedł na kogoś innego. Jeżeli w tych warunkach chcecie się pobrać, możecie to zrobić.

Wtedy powiedziałam mu, że zanadto kocham Roberta, żebym chciała mu zepsuć przyszłość.

— Weszliśmy sobie nawzajem w życie — mówiłam. — Nie prosiliśmy o to losu, sam nas ku sobie popchnął; próbowałam nie rozmawiać z nim, bo obiecałam to mojej przyjaciółce, która mi wyznała, że sama go kocha. Oboje z tego powodu byliśmy okropnie nieszczęśliwi i co dzień bardziej w sobie zakochani; aż wreszcie wczoraj, gdy myślałam, że już na zawsze go straciłam, spotkaliśmy się w parku i nie można już było dłużej udawać. Och, pan *nie może* złamać nam życia, podeptać całej naszej radości, dlatego że ja mam rude włosy. To byłoby tak strasznie niesprawiedliwe.

— Ty piękna syreno! — rzekł — Chcesz mi się przypodobać. Jak ty doskonale umiesz używać swoich uroków i swojej potęgi i jakież mężczyzna mógłby się oprzeć tej kuszącej twarzyczce.

Zerwałam się wściekła z gniewu.

— Jak pan śmie mówić mi podobne rzeczy! — zawołałam. — Nie chcę panu pochlebiać — i nie chcę pana prosić o żadną łaskę. Chciałam tylko, żeby pan oddał mi sprawiedliwość i przyznał, że źle osądził mój charakter — żeby pan też oddał sprawiedliwość swemu bratu, że ma prawo kochać, kogo mu się podoba. Proszę zostawić swoje niskie, podłe myśli dla siebie; Robert i ja mamy coś, co jest lepsze niż pańskie dobra i pieniądze — naszą wielką miłość najdroższą nam w świecie i cieszę się, że w naszym przyszłym życiu nie będziemy mieć nic do zawdzięczenia panu. Ja mu dam najpiękniejszy dar z siebie samej i obejdziemy się doskonale bez pana. — Powiedziawszy to wyszłam i zostawiłam go znieruchomiałego w fotelu.

Tak skończyła się nasza rozmowa o sprawiedliwości.

Nigdy nie nosiłam głowy tak wysoko. Jestem pewna, że gdyby Kleopatra szła za wozem tryumfalnym Augusta, nie kroczyłaby z większą dumą i pogardą niż ja przez hol pałacu Varassour.

Czekał na mnie stary służący i Weronika, i samochód.

— Proszę zawołać dorożkę — poleciłam i stałam jak kamienny posąg, podczas gdy jeden ze służących pobiegł na ulicę St. James po dorożkę. Potem odjechałyśmy, a mnie zęby zaczęły szczekać, a policzki płonąć — och, jaki smutny koniec moich planów i moich marzeń!

Ale co to za dzikie zwierzę ten człowiek. Co za okrutna, nędzna, pokrzywiona kreatura.

Nie pozwolę, żeby miał mnie rozdzielić z Robertem, nigdy, nigdy! Nie jest tego wart. Będę czekać na moje kochanie, a jeśli rzeczywiście mnie kocha, to kiedyś przecież będziemy szczęśliwi. Jeżeli zaś nie, to... Och, nie muszę się obawiać.

Cała jeszcze drzę z gniewu. Położę się do łóżka. Nie chcę żadnego obiadu.

Wtorek rano, 29 listopada

Weronika nie pozwoliła mi się położyć bez obiadu, zjadłam więc i owinąwszy się w stary, ale miły szlafroczek z białej krepy, usiadłam w fotelu, a Weronika szczotkowała mi i rozczesywała włosy dłużej niż przez godzinę. Tyle tego jest, że to zabiera dużo czasu.

Siedziałam przed ogniem i usiłowałam nie myśleć. Po takiej scenie człowiek czuje się jak rozbity. O pół do dziesiątej posłyszałam głosy i kroki w korytarzu i raz tylko zapukawszy wpadli do pokoju Robert i lady Merrenden.

Zerwałam się, Weronika opuściła ze zdziwienia szczotkę i zostawiła nas samych.

Obojgu błyszczały oczy, oboje byli podnieceni, a Robert jak szalony z radości. Chwycił mnie w ramiona i całował, całował, a lady Merrenden mówiła: „Ty dzielna, mądra dziewczyno, opowiedz nam wszystko”.

— O czym?

— Jak tego dokonałaś.

— Och, ja ją muszę najpierw wycałować, ciociu Zosiu — zawołał Robert. — Czy ciocia widziała coś tak bosko rozkosznego, jak ona, z tymi rozpuszczonymi włosami — i to wszystko jest moje, każdy kawałeczek!!!

— Tak, to wszystko twoje — odrzekłam smutno. — I to jest cały majątek, jaki dostaniesz.

— Chodź, kochanie moje — powiedział Robert — usiądź tu i spójrz na to.

Wyciągnął z kieszeni jakiś papier. Poznałam natychmiast pismo księcia i zdrżałam. Trzymał papier przed moimi oczyma.

„Drogi Robercie — zaczynał się list — widziałem ją. Jestem podbity. Będzie wspaniałą księżną. Przyrowadź ją jutro na śniadanie.

Twój Torquilstone”

Byłam tak wzruszona, że nie mogłam przemówić.

— Och, opowiedz nam, drogie dziecko, jak to było i coś ty zrobiła i gdzieście się spotkali? — wypytywała lady Merrenden.

Robert trzymał mnie za rękę.

Wtedy spróbowałam im wszystko opowiedzieć, a oni słuchali bez tchu.

— Byłam bardzo niegrzeczna, obawiam się — zakończyłam — ale tak się rozgniewałam.

— Ależ to wspaniale — mówił Robert — ale najlepsze to, że chciałaś mi siebie ofiarować bez żadnych widoków na bogactwo. Och, kochanie, to był najcenniejszy dar.

— Czy to nie było samolubne z mojej strony? — zapytałam. — Ale kiedy zobaczyłam twego biednego brata takiego nieszczęśliwego, kwaśnego, zbiedzonego mimo całej jego wielkości, poczułam, że dla nas, którzy wiemy, czym jest miłość, najważniejszą rzeczą w świecie jest być razem.

Lady Merrenden powiedziała potem, że ma dobrych znajomych, którzy tu zajmują apartament na pierwszym piętrze, więc zejdzie i zobaczy, czy są w domu. Powiedziała, że zaczeka na Roberta w holu; potem ucałowała nas na dobranoc i pobłogosławiła.

Jaka ona jest kochana! Jak to ładnie z jej strony, że nas zostawiła samych.

Robert i ja spędziliśmy znowu cudowną godzinę i myślę, że teraz to byliśmy już co najmniej w szóstym niebie. Robert powiada, że siódme niebo otworzy się dla nas, gdy już będziemy po ślubie — to już niedługo. Och, jestem zanadto szczęśliwa, żeby pisać porządnie.

Nazajutrz rano obudziłam się bardzo późno, a Weronika powiedziała mi, że mój salonik znowu jest pełen kwiatów. Kochany Robert!

Napisałam do Krzysztofa i lady Ver w łóżku, popijając czekoladę. Lady Ver powiedziała całą prawdę: że spotkaliśmy się z Robertem przypadkiem, odkryliśmy, że się kochamy — więc przypuszczam, że nas zrozumie.

Nie mogłam przecież złamać mu serca. Potem podziękowałam za jej dobroć, ale smutno mi było kiedy to czytałam.

Biedna, kochana lady Ver — mam nadzieję, że to nie zrani jej głęboko i że mi przebaczy.

Krzysztofowi napisałam, że uważam moją odmianę za wartą odmiany i wyraziłam nadzieję, że przybędzie na moje wesele.

Potem wysłałam Weronikę na pocztę.

Dzisiaj przenoszę się do Carlton House Terrace.

Jakaż to radość pomyśleć, że za dwa, najdalej za trzy tygodnie, jak mówi Robert, pobierzemy się, a pułkownik Tomasz Carden będzie i moim świadkiem.

Och, jaki ten świat jest piękny, jaki kochany, a jaki słodki i miły jest ten zabłocony, mglisty Londyn. Kocham wszystko, nawet błoto!

CARLTON HOUSE TERRACE Wtorek, w nocy

Robert przyszedł do mnie o dwunastej i przyniósł mi prześliczny pierścionek z brylantem i szmaragdem, a ja tańczyłam jak dziecko z zachwytu.

Z każdą godziną razem spędzoną odkrywaliśmy w sobie coraz więcej i więcej uroków i uczucia, i wszystko nam się w sobie podoba. A on jest przy tym taki rozkosznie zazdrosny i taki władczy i kocham go — och, kocham strasznie!

Uczę się mnóstwa rzeczy i jestem pewna, że jest jeszcze mnóstwo do nauczenia się.

O pół do drugiej przybyła lady Merrenden, zapakowała nas do karety i zawiozła do Varassour House. Och, z jakże odmiennymi uczuciami wchodziłam tu dzisiaj.

Pompatyczni służący przyjęli nas w pełnej gali i wszyscy troje weszliśmy do pokoju księcia.

Jak zwykle siedział wtulony w fotel, ale zaraz wstał — widocznie ma się dzisiaj lepiej. Lady Merrenden podeszła i pocałowała go w czoło.

— Drogi Torquilstone — zaczęła.

— Dzień dobry, Robercie — mruknął przywitawszy się z ciotką. —

Przedstaw mnie swojej narzeczonej.

I Robert uczynił to z wielką ceremonialnością.

— Teraz już nie będę taka niegrzeczna — powiedziałam i roześmiałam mu się prosto w twarz.

Nachylił się i pocałował mnie w czoło.

— Pani jest ślicznym, drapieżnym tygrysiem — rzekł — ale nawet rok spędzony z panią wart, żeby za to oddać życie.

Na to Robert rozpromienił się, ja znowu się roześmiałam i wszyscy poszliśmy na śniadanie.

On jednak nie jest taki zły, ten książę!

CARLTON HOUSE TERRACE 21 grudnia

Och, całe trzy tygodnie nie pisałam dziennika, ale byłam zbyt zajęta i zbyt szczęśliwa. Robiłam sobie wyprawę.

Nie ma nic miłszego w świecie niż być zaręczoną z Robertem.

Ma taki przemiły sposób bycia! Nawet gdybym była taka niegodziwa, na jaką podobno wyglądam, przypuszczam, że nigdy nie zapragnęłabym nikogo innego. Ubóstwia mnie i prosi, żebym mu rozkazywała, a potem znowu on mi rozkazuje i to mnie przyprawia o najrozkosniejsze dreszcze! A jeżeli ktoś tylko spojrzy na mnie na ulicy, co się naturalnie ciągle zdarza, to natychmiast oczy zapalają mu się gniewem.

Lady Merrenden w dalszym ciągu jest słodka i dobra dla nas, a jej takt jest ponad wszelkie pochwały.

Często teraz robię to, o czym dawniej marzyłam, to znaczy dotykam rzes Roberta koniuszkami palców.

Jak to przyjemnie!

Czy może być coś miłszego na świecie niż kochać się w kimś tak szalenie.

Gdy spojrzę na moje przeszłe życie, zanim poznałam Roberta, to wydaje mi się zupełnie, jak gdybym co dzień jadła tylko kartoflaną na obiad i nic innego.

Może to dlatego, że Robert będzie kiedyś znakomitą osobistością, ale wszyscy teraz odkryli, że jestem piękna i bardzo inteligentna. Milsze to niż zostać rudowłosą awanturnicą.

Nawet lady Katarzyna przysłała mi broszkę i serdeczny list. Będę teraz ozdabiać jej „kółko znajomych”.

Książę i ja jesteśmy wielkimi przyjaciółmi. Wyszperał jakieś szczegóły o matce biednej mamy. Okazuje się, że była Wenecjanka, nauczycielką muzyki, nazwiskiem Tonquini i uczyła siostry lorda de Brandreth. Więc może lady Ver miała jednak rację i może kiedyś... kiedyś w odległej przeszłości była naprawdę przyjaciółką jakiegoś doży.

Biedna, droga lady Ver! — zniosła to bardzo dobrze po pierwszym przykrym liście i wątpię, żeby nasze szczęście wycisnęło teraz choć jedną łzę z jej oczu. Lady Merrenden powiada, że to jest właśnie pora roku, w której lady Ver zmienia zwykle przedmiot swojej miłości, więc może i tym razem tak będzie i wszystko dobrze się ułoży.

Dała mi diamentowego węża ze szmaragdowymi oczami i wysuniętym, cienkim języczkiem. — Podobny jest do ciebie, dziewczyno-wężu— powiedziała— więc noś go w dniu wesela. Trzy aniołki będą moimi jedynymi druhnami. Robert obsypuje mnie podarunkami, a książę zapowiedział, że odda mi wszystkie klejnoty Torquilstone'ów po ślubie, a oprócz tego dał mi od siebie szmaragdy. Naprawdę polubiłam go. Krzysztof przysłał mi charakterystyczny bilecik wraz z kolczykami, które są jego prezentem ślubnym; ogromne szmaragdy, otoczone brylantami.

„Bardzo jestem zmartwiony, że nie mogę widzieć Pani w radosnym dla niej dniu, ale Paryż, jak się szczęśliwie przekonałem, ma jeszcze dla mnie ponęty.

K.C.

Ps. Proszę je nosić. Podniosą blask Pani oczu”.

I oto jutro jest moje wesele, a potem zacznie się miodowy miesiąc z Robertem — pojedziemy do siódmego nieba i... i.. jestem pewna, żadne z nas nie będzie ziewać!